

Gruenpeter:
Czas na repozytoria danych

Drozdowicz:
Zły dzień recenzenta

Pietraszkiewicz, Rott:
Rady uczelni

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 11/2021

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



**Drapieżniki:
zysk
zamiast
prawdy**

Str. 20-25

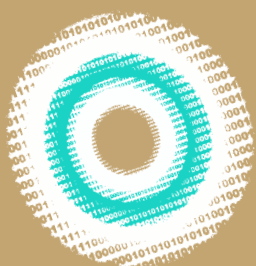
Wójcik:
Człowiek i geografia

Rymarowicz, Brynkus, Pluta:
Sprawa (nie tylko) UPK

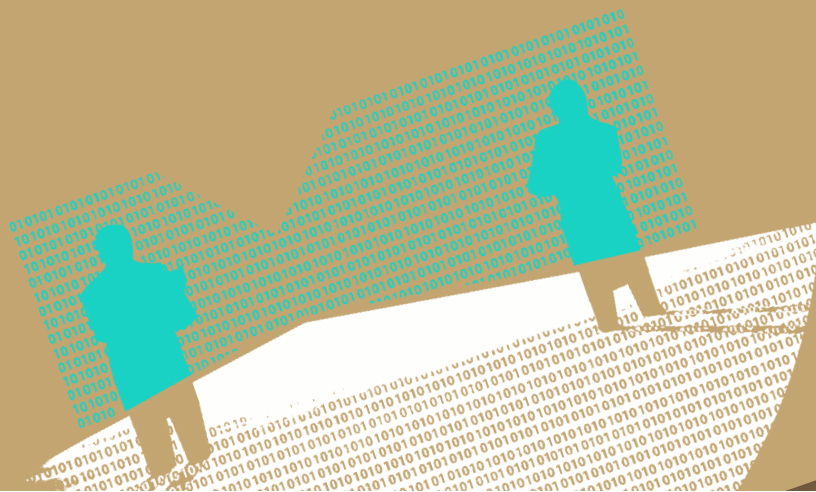
Karwowski:
Przetomowa genisteina

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
Fundacja na rzecz Nauki Polskiej
prezentują:

Monografie FNP



Sabina Macioszek
Opera, ciała, technologie



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU
Wydawnictwo Naukowe



Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

INFORMACJE I KOMENTARZE

| | |
|---|----|
| Wydarzenia | 2 |
| Nagrody FNP po raz trzydziesty – Dominika Wojtyśiak-Łańska | 6 |
| Co wynika z pełnienia funkcji publicznej? – Bartosz Wilk | 7 |
| Pół tysiąca liderów – Mariusz Karwowski | 8 |
| Za mało, by mówić o reformie – Jacek Pakuła | 9 |
| Chodzi o bezpieczne studia stacjonarne – Aleksander Temkin | 10 |
| O algorytmie humanistycznym – Grzegorz Marzec | 10 |
| Sprawa była znana od dawna – Józef Brynkus | 12 |
| Spór zbiorowy – Nina Pluta Podleszańska | 12 |
| Książka o Kołakowskim z Nagrodą Długosza | 14 |
| Zależy nam na współpracy – Krzysztof Pietraszkiewicz | 16 |
| Konsolidacja po wrocławsku | 17 |
| Latarnia kultury zaświeciła w Lublinie – Mariusz Karwowski | 18 |

SEDNO SPRAWY

| | |
|---|----|
| Czy w ministerialnym wykazie są drapieżne konferencje? – Jolanta Szczepaniak | 20 |
| Żądza pieniądza – Edward Radościński | 24 |

ŻYCIE NAUKOWE

| | |
|---|----|
| Współpraca sprzyja otwieraniu danych – Natalia Gruenpeter | 26 |
| Być recenzentem – Zbigniew Drozdowicz | 29 |
| Uczelnie 2020 – Mariusz Karwowski | 31 |
| Udowodnij, że jesteś warta tyle co kolega – Leszek Chybowski, Wojciech Przetakiewicz | 32 |

Nowe kierunki badań społecznych

| | |
|---|----|
| Ludzka twarz geografii – Marcin Wójcik | 35 |
|---|----|

ŻYCIE AKADEMICKIE

| | |
|---|----|
| Po trzech latach istnienia – Dariusz Rott | 39 |
| Tworzenie uczelni akademickich – Andrzej Kwiatkowski | 42 |
| Umowy z klauzulą – rozmowa z dr. Leszkiem Rymarowiczem, nadinspektorem pracy PIP | 46 |
| Problem (nie tylko) UPK – Piotr Kieraciński | 48 |
| Zarys patologii covidogenicznych – Stanisław Bednarek | 49 |

| | |
|---|----|
| Studia to czytanie – Jacek Raciborski, Danuta Szewczyk-Kłos, Dorota Wierzbicki-Próchniak | 52 |
| Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka | 55 |
| Ludzie to nasz największy kapitał – materiał sponsorowany | 56 |

PUBLIKUJ LUB GIŃ

| | |
|---------------------------------|----|
| W domu Innego – Marek Misiak | 60 |
|---------------------------------|----|

Z LABORATORIÓW

| | |
|---|----|
| Tama została przerwana – rozmowa z Brianem Nosekiem, dyr. Center of Open Science | 62 |
| Genisteiną w toksyczne białka – Mariusz Karwowski | 66 |
| Z królewskiej puszczy na ołtarze – Marcin Behrendt | 68 |

W STRONĘ HISTORII

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków (2)

| | |
|---|----|
| David Hilbert i Polacy – Danuta Ciesielska | 69 |
|---|----|

Kartki z dziejów nauki w Polsce (242)

| | |
|----------------------------------|----|
| Ludzie systemu – Piotr Hübner | 74 |
|----------------------------------|----|

OKOLICE NAUKI

Książki

| | |
|--|----|
| Patrząc w lustro – wiesz kim jesteś? – Marek Misiak | 77 |
| Propedeutyka poezji Miłosza – Tomasz Klusek | 77 |
| Praktyczność i Kotarbiński – Marek Lechniak | 78 |
| Infodemia – Justyna Jakubczyk | 78 |
| Planeta wielorazowego użytku – Aneta Zawadzka | 79 |
| W nowym świetle – Katarzyna Krzyżanowska | 79 |

FELIETONY

Szkiełko w oku

| | |
|---|----|
| W sprawie podyplomowego stażu lekarskiego – Piotr Müldner-Nieckowski | 76 |
|---|----|

Na marginesach nauki

| | |
|--|----|
| Na Zachodzie będą zmiany – Leszek Szaruga | 80 |
|--|----|

Projekt okładki – Sławomir Makal

Nie tylko dla archeologów

ATENY Otwarto siedzibę Polskiego Instytutu Archeologicznego w Atenach. To jednostka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, której zadaniem ma być promowanie osiągnięć naukowych i kultury polskiej. W tym celu uruchomione zostaną dwa programy: naukowy i kulturalny, na które składać się będą wykłady, seminaria, wystawy, wieczory autorskie, szkoły letnie i inne wydarzenia. Ich realizacji służyć będzie apartament w samym centrum Aten, z główną salą, pełniącą funkcję biblioteki, ale także przygotowaną do organizacji spotkań, oraz trzema pokojami gościnnymi. Zgodnie z prawem badania w Grecji mogą samodzielnie prowadzić jedynie naukowcy z tych krajów, które otworzyły tam swój instytut („szkołę zagraniczną”). Dotychczas Polacy mogli być członkami zespołów naukowych, ale bez prawa kierowania nimi. PIAA to osiemnasta „szkoła zagraniczna w Atenach”.

Śląskie Nagrody Naukowe

KATOWICE Podczas gali inauguracyjnej Śląski Festiwal Nauki uhonorowano badaczy i twórców, którzy w znaczący sposób przyczyniają się do rozwoju nauki oraz mają wybitne osiągnięcia artystyczne, jak również promują śląską naukę w kraju i za granicą. W tym roku nominowano 40 osób, spośród których kapituła pod przewodnictwem prof. Marka Pawelczyka wybrała ośmioro laureatów: historyka prof. Ryszarda Kacz-



Fot. Rafał Opalski

marka (Uniwersytet Śląski), specjalistę od metod numerycznych w technice cieplnej prof. Ryszarda Białeckiego (Politechnika Śląska), kardiologa prof. Zbigniewa Gąsiora (Śląski Uniwersytet Medyczny), chemika prof. Piotra Bałczewskiego (Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie), badacza siły i mocy mięśniowej dr. Michała Krzysztofika (AWF w Katowicach), projektanta plakatów i grafik prof. Mariana Oslislo (Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach), eksperta od nowoczesnych materiałów magnetycznie miękkich dr. hab. inż. Krzysztofa Chwastka (Politechnika Częstochowska), ekonomistę prof. Tadeusza Trzaskalika (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach). Wszyscy otrzymali nagrody finansowe w wysokości 10 tys. zł.

Doktorat h.c. – prof. Zygmunt Litwińczuk

SZCZECIN Były rektor Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie, prof. Zygmunt Litwińczuk, otrzymał tytuł doktora honoris causa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego za „nieprzeciętne osiągnięcia naukowe i organizacyjne, ogromny wkład w rozwój i promocję badań, w szczególności za zasługi dla Akademii Rolniczej i ZUT w zakresie współpracy i kształcenia kadry naukowej”. Jest 60 d.h.c. szczecińskiej uczelni. Jego działalność naukowa dotyczy m.in. zagadnień z zakresu hodowli



Fot. Jerzy Urdro

bydła i oceny jakości produktów zwierzęcych. Przyczynił się do restytucji rodzimej rasy bydła białogrzbiatego. Wcześniej najwyższą godność akademicką przyznały mu: Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach, gdzie przez 10 lat kierował Katedrą Hodowli Bydła i Oceny Mleka, a także Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie i Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu.

Hispaniści z orderami

WARSZAWA Trzech polskich hispanistów zostało odznaczonych Orderem Izabeli Katolickiej przyznawanym za cywilne zasługi dla dobra Hiszpanii lub wkład w przyjazne stosunki i współpracę z Hiszpanią na arenie międzynarodowej.



Fot. Ambasada Hiszpanii w Warszawie

Prof. Piotr Sawicki jest twórcą iberystyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Dzięki jego wysiłkom w 1990 r. stała się ona odrębnym kierunkiem studiów. Dr hab. Cezary Taracha (na fot.) kieruje Katedrą Historii i Kultury Języka Hiszpańskiego w Instytucie Historii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Ks. prof. Andrzej Witko, uznawany za jednego z najwybitniejszych w Polsce znawców sztuki hiszpańskiej, kieruje Katedrą Historii Sztuki Nowożytnej na Wydziale Historii Sztuki i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Orden de Isabel la Católica został ustanowiony w 1815 r. przez króla Ferdynanda VII dla upamiętnienia Izabeli I Katolickiej, królowej Kastylii-Leónu i Aragonii.

Zachodniopomorscy nobliści

SZCZECIN Nagrodę promującą najwybitniejsze osiągnięcia naukowców z województwa zachodniopomorskiego otrzymali w tym roku: prof. Jörg Hackmann (Uniwersytet Szczeciński), dr Xin Wen (Zachodniopomorski



Fot. UMWZ

Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie), dr hab. inż. Adam Słowik, prof. PKosz (Politechnika Koszalińska), dr hab. Katarzyna Szopik-Depczyńska, prof. USz (Uniwersytet Szczeciński), dr hab. inż. Małgorzata Sobczak, prof. ZUT (Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny w Szczecinie), dr hab. Andrzej Ossowski (Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie) prof. Leszek Chybowski (Akademia Morska w Szczecinie), prof. Kamil Kuskowski (Akademia Sztuki w Szczecinie). Wyróżnienia, zwane Zachodniopomorskimi Noblami, wręczane są od 2001 roku autorom publikacji w wysoko notowanych czasopismach oraz wdrożonych lub sprzedanych patentów.

Doktorat h.c. – Antoni Piechniczek

KATOWICE Były trener piłkarskiej reprezentacji Polski otrzymał 19 października tytuł doktora honoris causa katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego. Uchonorowano go za „wybitne osiągnięcia trenerskie, niekwestionowany i olbrzymi wkład w rozwój szeroko rozumianej kultury fizycznej, imponującą aktywność organizacyjną i społeczną oraz wieloletnią pracę dydaktyczną na rzecz kształcenia kadr instruktorskich i trenerskich w AWF w Katowicach”. Z uczelnią Piechniczek związany jest od ponad 30 lat. Dwukrotnie wprowadził polską reprezentację do mundialu: w 1982 r. zajął z nią 3 miejsce, a w 1986 r. jego zespół zakończył udział na 1/8 finału. W latach 1981-86 i 1996-97 pod jego kierunkiem Polacy rozegrali 74 spotkania, z których 26 wygrali. Prowadził także narodowe zespoły Tunezji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Fot. AWF Katowice



Doktorat h.c. – prof. Marek Pijarowski

WROCŁAW Prof. Marek Pijarowski, jeden z czołowych polskich dyrygentów, obchodzący w tym roku półwiecze działalności artystycznej, otrzymał doktorat honoris causa Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego.

Fot. Filharmonia Szczecińska



skiego. Od wielu lat związany jest z wrocławską uczelnią, w której prowadzi klasę dyrygentury, pełniąc jednocześnie funkcję kierownika Katedry Dyrygentury. Wcześniej był prorektorem wrocławskiej AMuz. W latach 2006–2019 prowadził klasę dyrygentury w Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Od 1974 do 2002 r. był dyrektorem naczelnym i artystycznym Filharmonii Wrocławskiej. Przez kolejne trzy lata pełnił funkcję dyrektora artystycznego i pierwszego dyrygenta Filharmonii im. Artura Rubinsteina w Łodzi. W ostatnich 13 latach był dyrygentem Orkiestry Symfonicznej Filharmonii im. Tadeusza Szelińskiego w Poznaniu.

Doktorat h.c. – prof. Bogdan Wojciszke

BYDGOSZCZ Badacz procesu społecznego został uhonorowany najwyższą godnością akademicką przez Uniwersytet Kazimierza Wielkiego. Prof. Bogdan Wojciszke z Uniwersytetu SWPS zajmuje się spostrzeganiem

Fot. UWV



interpersonalnym, zgodnością zachowania z wartościami, strukturą cech osobowości jako kategorii umysłowych, procesami oceniania ludzi, dynamiką uczuć w bliskim związku dwojga ludzi, godnością i produktywnością jako wartościami etycznymi współczesnych Polaków, poglądami na świat społeczny oraz konstrukcją narzędzi psychometrycznych. Kierował Instytutem Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego i Instytutem Psychologii PAN. W latach 2007–2013 pełnił funkcję dziekana Wydziału SWPS w Sopocie, z którym jest związany do dziś. Za opracowanie modelu

sprawczości i wspólnotowości jako podstawowych wymiarów poznania społecznego otrzymał w 2016 r. Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Doktorat h.c. – prof. Andrzej Kotecki

KRAKÓW Wybitny polski agronom, specjalista z zakresu szczegółowej uprawy roślin, został 15 października doktorem honoris causa Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie. Tytuł przyznano w dowód wdzięczności za jego wieloletnią współpracę z Wydziałem Rolniczo-Ekonomicznym URK, a konkretnie Katedrą Agroekologii Produkcji Roślinnej. Pod jego kierownictwem prowadzony był m.in. projekt naukowy z zakresu uprawy roślin strączkowych (soi i grochu). Prof. Kotecki kieruje Instytutem Agroekologii i Produkcji Roślinnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Specjalizuje się w agrotechnice roślin strączkowych z uwzględnieniem uprawy współrzędnej ze zbożami, rzepaku ozimego i jarego, genetycznie modyfikowanego lnu oleistego i włóknistego wykorzystywanego na cele biomedyczne oraz miskanta olbrzymiego uprawianego na cele energetyczne i pozaenergetyczne.

Fot. Jacek Olarnus



Premierowe wyróżnienie

GDAŃSK Prof. Marcin Kołaczkowski, kierownik Katedry Chemii Farmaceutycznej i Zakładu Chemii Leków Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego, otrzymał Nagrodę i Medal im. prof. Romana Kaliszana. Doceniono opracowane przez niego nowej generacji modulatory receptorów ośrodkowego układu nerwowego do terapii schorzeń psychiatrycznych i neurodegeneracyjnych. Laureat jest także twórcą nowego w skali światowej, oryginalnego kierunku badawczego – analizy ilościowych zależności struktura-retencja. Nagrodę im. Romana Kaliszana, światowo-



Fot. Zbigniew Wszeborowski

wej klasy naukowca, specjalisty z zakresu nauk farmaceutycznych, farmakologii oraz chemii analitycznej, ustanowiły w ub.r. Gdański Uniwersytet Medyczny, Naukowa Fundacja Polpharmy i Gdańskie Towarzystwo Naukowe.

Nowy szef ekonomistów

WARSZAWA/POZNAŃ Prof. Marian Gorynia z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu został nowym prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Zastąpił prof. Elżbietę Mączyńską ze Szkoły Głównej Handlowej, która pełniła tę funkcję od 2005 roku. Prof. Gorynia jest dziewiątym prezesem PTE od momentu powstania organizacji w 1921 roku. W swoich pracach badawczych zajmuje się konkurencyjnością przedsiębiorstw, strategiami przedsiębiorstw w biznesie międzynarodowym, strategiami inwestorów zagranicznych w Polsce, ekspansją firm polskich na rynki międzynarodowe, mezoekonomią oraz polityką wspierania konkurencyjności. W latach 2008–2016 był rektorem UEP.

Fot. Arch. prywatne



Medale za doradzenie

WARSZAWA Członkowie interdyscyplinarnego Zespołu doradczego ds. COVID-19 przy prezie PAN zostali uhonorowani Medalami PAN im. Mikołaja Kopernika. Doceniono ich za opracowanie kompendium wiedzy o koronawirusie SARS-CoV-2 i chorobie COVID-19 oraz przygotowanie 21 stanowisk dotyczących różnych aspektów epidemii. Zespół działa od czerwca 2020 r. Naukowcy monitorują sytuację epidemiczną, śledzą możliwe scenariusze i formułują zalecenia, np. w sprawie obowiązków szczepień przeciwko koronawirusowi. W swoich stanowiskach pisali też m.in. o wpływie pandemii na grupy mniejszościowe, szerszym dostępie do danych czy konsekwencjach pandemii dla zdrowia psychicznego (szerzej o pracy Zespołu w numerze 2/2021 FA). Medal PAN im. Mikołaja Kopernika przyznawany jest za wybitne osiągnięcia zasłużonym dla środowiska naukowego w Polsce uczonym, którzy nie są krajowymi członkami PAN. Otrzymali go: prof. Krzysztof Pyrc, dr hab. Magdalena Rosińska, dr hab. Tomasz Smiatacz, dr Aneta Afelt, dr hab. Anna Ochab-Marcinek, prof. Radosław Owczuk, dr Wojciech Paczos, dr Anna Plater-Zyberk. W skład zespołu wchodzi również profesorowie będący członkami PAN: Małgorzata Kossowska i Andrzej Rychard.

Pierwszy taki obraz

KRAKÓW Naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskali pierwszy na świecie trójfotonowy obraz tomograficzny PET. Wykonano go za pomocą tomografu J-PET skonstruowanego w Instytucie Fizyki UJ



Fot. UJ

przez zespół prof. Pawła Moskala. To prototyp urządzenia do obrazowania medycznego metodą Pozytonowej Tomografii Emisyjnej, które łączy w sobie możliwość jednoczesnego skanowania całego ciała z niekonwencjonalnymi trybami obrazowania. Jednym z nich jest wyznaczenie przestrzennego rozkładu właściwości egzotycznych atomów pozytonium (stanów związanych elektronu i pozytonu), które są produkowane w ciele pacjenta podczas badania PET. Otwiera to nowe możliwości diagnozowania nowotworów, a także umożliwia testowanie symetrii między materią i antymaterią.

Zbadali jakość wody w Wiśle

KATOWICE Trzynaście dni, prawie 1000 km, ponad 100 pobranych próbek do analizy – tak w skrócie wyglądała wyprawa naukowo-badawcza „Czysta Wisła? Why Not?”, w której uczestniczyli eksperci ze Śląskiego Centrum Wody Uniwersytetu Śląskiego. Naukowcy płynęli od Zbiornika Goczałkowickiego aż po Zatokę Gdańską. W trakcie spływu analizowali



Fot. Marek Gućka

bezpośrednio 12 parametrów wody, m.in. barwniki świadczące o obecności glonów i sinic, przewodność, zawartość tlenu w wodzie, substancje organiczne rozpuszczone w wodzie. Pobrali również próbki do analiz laboratoryjnych, w tym na obecność organizmów fitobentosowych i planktonowych. Opracowany na ich podstawie raport pozwoli wskazać rozwiązania, dzięki którym wody Wisły staną się czystsze i przez to bezpieczniejsze. Badania dostarczą ponadto argumentów za i przeciw praktykom regulowania koryt rzecznych w Polsce. Naukowcy chcą docelowo stworzyć sieć analizy jakości wód różnych europejskich rzek.

Doktorat h.c. – prof. Yuri Oganesian

LUBLIN Uznany w środowisku międzynarodowym fizyk, lider badań nad jądrami superciężkimi, został doktorem honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Uhonorowano go za wybitne osiągnięcia naukowe prowadzące do odkrycia nowych superciężkich pierwiastków chemicznych i ich izotopów oraz za owocną, trwającą blisko pół wieku, współpracę z Instytutem Fizyki UMCS. Prof. Oganesian zajmuje się syntezą i badaniem właściwości jąder atomowych. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół mechanizmu reakcji jądrowych oraz procesu rozszczepienia jąder atomowych, reakcji i właściwości jąder dalekich od stabilności, fizyki i techniki akceleratorów ciężkich jonów. Od 1958 r. pracuje w Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej koło Moskwy. Kieruje tam Laboratorium Reakcji Jądrowych im. Flerowa, w którym dokonano m.in. syntezy jąder pięciu najcięższych pierwiastków o liczbie atomowej powyżej 114: flerowa, moskowa, liwermoru, tenesu i oganesonu.



Fot. Arch. prywatne

Doktorat h.c. – prof. Wojciech Żurek

KRAKÓW Specjalista w dziedzinie fizyki kwantowej z Los Alamos National Laboratory został doktorem honoris causa dwóch uczelni: Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej. Uczony od 1981 roku prowadzi badania nad zjawiskami dekoherencji, w których wyjaśnia, jak własności klasyczne obserwowanego świata wyłaniają się w wyniku oddziaływań i korelacji układu kwantowego z innymi układami otoczenia. Udowodnił niemożność replikowania („klonowania”) nieznanych stanów kwantowych, co stanowi współcześnie podstawę kwantowej kryptografii i kwantowego przekazu informacji. Rozwinął także teorię dynamicznych przejść fazowych i podanie mechanizmu (Kibble’a – Żurka) pojawiania się w nich defektów topologicznych.



Fot. Jerzy Sawicz

Laury dla eksploratorów

ŁAŃCUT Trzej badacze otrzymało Nagrodę im. Benedykta Polaka, przyznawaną od 2015 roku za wybitne osiągnięcia eksploracyjne i badawcze. Laureatami zostali: dr inż. Wojciech Kołtąta – konserwator zabyt-



Fot. UM w Łęczycy

ków związanych z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego, dr Hacer Topaktaş Üstüner – wybitna badaczka dziejów stosunków turecko-polskich kierująca Zakładem Języka Polskiego na Uniwersytecie Stambulskim, oraz prof. David Frick – znakomity znawca polskiej literatury i historii z Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu w Berkeley. Wyróżniono doktora Macieja Grzelczyka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, laureata programu Ministerstwa Edukacji i Nauki „Diamentowy Grant”, który podczas swych badań w Tanzanii dotarł do nieznanych wcześniej malowideł naskalnych (więcej na temat badań M. Grzelczyka w FA 7-8/2018).

Agrofizycy w EPNOE

LUBLIN Instytut Agrofizyki im. Bohdana Dobrzańskiego PAN dołączył do European Polysaccharide Network of Excellence (EPNOE). To stowarzyszenie non-profit promujące badania, edukację i transfer wiedzy między środowiskiem akademickim, przemysłem i społeczeństwem obywatelskim we wszystkich dziedzinach związanych z nauką i technologią polisacharydów. Reprezentujący IA PAN Zakład Mikrostruktury i Mechaniki Biomateriałów, kierowany przez prof. Artura Zdunka, zajmuje się badaniem struktury i funkcjonalności polisacharydów ściany komórkowej, np. pektyn, hemicelulozy i celulozy, w celu zapewnienia wysokiej jakości owoców i warzyw oraz pozyskania nowych bioproduktów do zastosowań spożywczych i niespożywczych. IA PAN to czwarta instytucja z Polski będąca członkiem EPNOE (po Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie, Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytucie Biopolimerów i Włókien Chemicznych oraz Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym w Częstochowie).

Symulacje biznesowe

WROCŁAW Na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu otwarto Centrum Symulacji Procesów Biznesowych. To interaktywna pracownia komputerowa, służąca do projektowania, modelowania, wizualnej symu-



Zdjęcie: UEWr

lacji i doskonalenia procesów biznesowych z wykorzystaniem najnowszych technologii. Obiekt będzie wykorzystywany także do prowadzenia badań naukowych oraz realizacji projektów dla otoczenia biznesowego uniwersytetu jako interaktywne środowisko symulacyjne. Budynek ma konstrukcję modułową złożoną z dziewięciu połączonych ze sobą kontenerów – mobilnych systemów przestrzennych. Wydzielono w nim dwie strefy użytkowe. Pierwsza służy tworzeniu modeli procesów. W drugiej zorganizowano sześć boksów VR, gdzie po nałożeniu specjalnych gogli uczestnik weźmie aktywny udział w wirtualnych grach decyzyjnych dotyczących obszarów: produkcji, logistyki transportowej i magazynowej, a także procesów administracyjnych i handlowych.

WIB stawia na mRNA

WROCŁAW Opracowaniem nowych metod leczenia nowotworów z wykorzystaniem technologii terapeutycznego mRNA zajmą się naukowcy skupieni w konsorcjum, które wygrało pierwszy konkurs Wirtualnego Instytutu Badawczego. W naborze złożono 12 wniosków. Rekomendację ekspertów, którzy podkreślili duże zainteresowanie przemysłu farmaceutycznego technologią mRNA, stanowiącą obecnie jeden z najbardziej innowacyjnych kierunków rozwoju, otrzymał projekt kierowany

przez prof. Andrzeja Dziembowskiego z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Będzie pracował wraz z naukowcami z Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Chemii Fizycznej PAN i Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Na realizację badań otrzymali prawie 70 mln zł. WIB to pierwszy tego typu program realizowany w Polsce. Finansuje badania o wysokim potencjale komercjalizacyjnym.

Młodzi artyści, do dzieła!

PRZEMYSŁ W Państwowej Wyższej Szkole Wschodnioeuropejskiej otwarto Centrum Sztuk Projektowych. Jednostka działa w strukturze Instytutu Humanistyczno-Artystycznego PWSW. Prace nad jej utworzeniem rozpoczęły się latem 2019 roku. Pochłonęły ponad 3,6 mln zł. Na powierzchni 1200 m² mieści się siedem pracowni: trzy komputerowe (modelowania 2D i 3D oraz wizualizacji architektonicznej), malarska, projektowania architektury wnętrz, fotograficzna i grafiki warsztatowej. Zakupiono do nich m.in. profesjonalne oprogramowanie do grafiki 2D i 3D, animacji, wizualizacji i obrazowania wnętrz, skaner 3D, drukarkę 3D, laserowy ploter. Ponadto jest sala audiowizualna i galeria „Świetlik”, w której prezentowane są prace studentów. Centrum będzie służyć głównie studentom architektury wnętrz i projektowania graficznego.



Fot. PWSW

Nagroda dla badaczki z Białorusi

BIAŁYSTOK Dr Katsiaryna Kryvichanina otrzymała Nagrodę im. Lwa Sapiehy przyznaną za zasługi w kształtowaniu i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi oraz budowaniu niepodległej, demokratycznej Białorusi, uwzględniającej najlepsze tradycje historyczne Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Po raz pierwszy od 15 lat wyróżnienie wręczono poza Warszawą. Laureatka rok temu została zwolniona z Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi za sprzeciw wobec traktowania obywateli przez władze tego kraju i łamanie praw obywatelskich. W sferze jej zainteresowań naukowych znajduje się kwestia przezwyciężenia skutków awarii w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Wraz z nią nagrodę odebrał także ubiegłoroczny laureat dr Ihar Melnikau. Inicjatorami ustanowienia Nagrody im. Lwa Sapiehy były: Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego i Kolegium Europy Wschodniej we Wrocławiu.



Fot. Lukasz Nowicki

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Aneta Adamska, Katarzyna Dziedzic, Piotr Karwowski, Ewelina Kasperska, Małgorzata Kłoskiewicz, Mariusz Kopiejka, Anna Korzekwa-Józefowicz, Agnieszka Książkiewicz, Mateusz Lipka, Izabella Majewska, Jolanta Nowacka, Joanna Polak, Joanna Śliwińska, Tomasz Zieliński

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Nagrody FNP po raz trzydziesty

Już 110 osób liczy grono laureatów Nagród Fundacji rzecz Nauki Polskiej. „Polskie Noble” przyznano po raz trzydziesty. Wartość nagrody to 200 tys. zł.

W obszarze nauk o życiu i o Ziemi uhonorowano **prof. Bożenę Kamińską-Kaczmarek**, kierownik Laboratorium Neurobiologii Molekularnej w Centrum Neurobiologii Instytutu Biologii Doświad-



Fot. OneHD, Archiwum FNP

czalnej im. M. Nenckiego PAN w Warszawie, za odkrycie mechanizmów, które powodują, że glejaki złośliwe tak przeprogramowują komórki odpornościowe, aby te wspierały rozwój nowotworów mózgu. Laureatka zajmuje się zróżnicowaniem środowiska guzów mózgu oraz wpływem mikrogleju i innych komórek układu odpornościowego (makrofagów) nagromadzających się w guzie na progresję nowotworu. Jej dokonania przyczyniły się do opracowania zaawansowanych terapii w leczeniu glejaka. Celując w różne populacje makrofagów, można będzie w przyszłości zahamować rozwój guza lub odpowiednio zmobilizować układ odpornościowy chorego do walki, by mógł zwalczyć nowotwór. W tym celu uczona pracuje m.in. nad specjalistyczną platformą do kompleksowej diagnostyki i spersonalizowanej terapii w neuroonkologii. Jej odkrycia mają znaczenie nie tylko w leczeniu glejaków, ponieważ wadliwe działanie mikrogleju występuje także w chorobie Alzheimera.

W obszarze nauk chemicznych i o materiałach wyróżniony został **prof. Jacek Jemielity**, kierownik Laboratorium Chemii Bioorganicznej Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego, za



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasinska, Archiwum FNP

opracowanie chemicznych modyfikacji mRNA jako narzędzia do zastosowań terapeutycznych i badań procesów komórkowych. Dzięki stworzonym przez niego analogom (m.in. zawierającym grupy tiofosforanowe, boranofosforanowe w mostku oligofosforanowym) mRNA może być znacznie bardziej stabilne i aktywne translacyjnie. Opracowane metody umożliwiają uzyskanie pożądanego efektu terapeutycznego przy istotnie zmniejszonej dawce mRNA, co zmniejsza ryzyko wystąpienia skutków ubocznych. Syntetyczne mRNA może być wykorzystane przy tworzeniu leczniczych szczepionek przeciwnowotworo-

wych, które spowodują, że układ immunologiczny, będzie lepiej rozpoznawał chorobę i ją niszczył. Innymi obszarami zastosowania mRNA są szczepionki przeciw wirusowe, terapie genetyczne chorób rzadkich, takich jak rdzeniowy zanik mięśni (SMA) czy mukowiscydoza, a także choroby bakteryjne i medycyna regeneracyjna.

W obszarze nauk matematyczno-fizycznych i inżynierskich nagrodzono **prof. Grzegorza Pietrzyńskiego** z Centrum Astronomicznego im. M. Kopernika PAN w Warszawie za precyzyjne wyznaczenie odległości do Wielkiego Obłoku Magellana. Z jego ustaleń wynika, że WOM znajduje się w odległości 49,59 kiloparseków, czyli ok. 161 tys. lat świetlnych od Ziemi. Wyniki te stanowią obecnie solidny fundament do wyznaczania stałej Hubble'a z dokładnością około 3%. Proces pomiaru składał się z kilku elementów, które prowadziły do oszacowania dystansu do dwudziestu tzw. zaćmieniowych układów gwiazd



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasinska, Archiwum FNP

podwójnych, krążących wokół siebie i znajdujących się w omawianej galaktyce. Mierzono zaćmienia, prędkości wspomnianych gwiazd, a następnie przy użyciu prostych praw fizyki wyznaczono precyzyjne parametry fizyczne badanych obiektów oraz ich odległość. Wszystko to było możliwe dzięki trwającemu już ponad dwie dekady projektowi Araucaria, którym kieruje prof. Pietrzyński. Celem zespołu jest kalibracja kosmicznej skali odległości.

W obszarze nauk humanistycznych i społecznych doceniono **prof. Cezarego Cieślińskiego**, kierownika Zakładu Logiki na Wydziale Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, za rozwiązanie kluczowych problemów deflacionistycznej teorii prawdy. W swoich pracach nawiązuje do tradycji Szkoły Lwowsko-Warszawskiej logiki i filozofii, której początki sięgają końca XIX wieku. Jego monografia *The Epistemic Lightness of Truth* (Cambridge University Press 2017) znacząco przyczyniła się do rozwoju deflacionizmu. Według autora prawda jest raczej narzędziem do dokonywania generalizacji niż istotną cechą np. wypowiedzi. Wyrażana przez kogoś myśl, aby była prawdziwa,



Fot. Magdalena Wiśniewska-Krasinska, Archiwum FNP

nie musi wcale strukturalnie odzwierciedlać stanu rzeczy w świecie. Uczony pokazuje, że logika pozwala na precyzyjne formułowanie złożonych idei filozoficznych. Jest to istotne zwłaszcza w przypadku złożonych teorii prawdy. Prof. Cieśliński wykorzystuje narzędzia logiki, aby zaprezentować jasne i precyzyjne sformułowanie szeregu rozwa-

żanych deflacyjnych koncepcji. Bada teorie, przedstawia nieoczywiste i istotne wnioski ich dotyczące.

Nagrody FNP są przyznawane od 1992 r. Uroczystość ich wręczenia odbędzie się 7 grudnia (transmisja online na kanale FNP na YouTube).

Dominika Wojtyśiak-Łańska

Co wynika z pełnienia funkcji publicznej?

Bartosz Wilk, rca prawny, współpracownik Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska, pisze o tym, co wynika z faktu, że nauczyciele akademicki pełnią funkcje publiczne.

Wojewódzki Sąd Administracyjny we Wrocławiu w wyroku z 22 czerwca 2021 r. (IV SAB/Wr 150/21) przypomniał stanowisko sądów administracyjnych, że nauczyciele akademicki są osobami pełniącymi funkcje publiczne. Nauczyciele akademicki pełnią bowiem zadania publiczne z zakresu zapewnienia powszechnego i równego dostępu do wykształcenia, co gwarantują przepisy Konstytucji RP.

Kwalifikacja określonej osoby jako pełniącej funkcje publiczne ma kluczowe znaczenie m.in. na gruncie dostępu do informacji publicznej. Generalnie prawo do informacji publicznej podlega ograniczeniu m.in. ze względu na prywatność osoby fizycznych. Dlatego też organy administracji wydają decyzje administracyjne, na mocy których odmawiają udostępnienia informacji, dotyczących prywatności osób fizycznych.

Jednakże, wspomniane ograniczenie nie będzie miało miejsca w przypadku informacji o osobach pełniących funkcje publiczne, mających związek z pełnieniem tych funkcji, w tym o warunkach powierzenia i wykonywania funkcji (o czym stanowi art. 5 ust. 2 zdanie drugie ustawy o dostępie do informacji publicznej). Z tego powodu ujawnieniu podlegają informacje m.in. o wynagrodzeniu nauczycieli akademickich. Właśnie tej kwestii dotyczył przytoczony na wstępie

wyrok WSA we Wrocławiu, gdyż przedmiotem wniosku o udostępnienie informacji publicznej uczyniono informacje o wynagrodzeniach pracowników określonej jednostki organizacyjnej uczelni, przy czym informacje te miały zostać przekazane w formie kserokopii/skanów kart wynagrodzeń pracowników. Niemniej jednak jawność będzie dotyczyła także innych informacji, związanych z pełnieniem funkcji publicznych, np. wykształcenia, posiadanych kwalifikacji czy też informacji o prowadzonych.

Pełnienie funkcji publicznych ma istotne znaczenie także na gruncie regulacji karnych. Tytułem przykładu, przestępstwo łapownictwa, które dotyczy przyjęcia korzyści majątkowej lub osobistej albo jej obietnicę, popełnia się „w związku z pełnieniem funkcji publicznych”.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że czym innym jest „pełnienie funkcji publicznych”, a czym innym statut funkcjonariusza publicznego. Jest on ważny na gruncie regulacji karnych. W przypadku uczelni wyższej, funkcjonariuszami będą osoby pełniące kierownicze funkcje. Warto pamiętać, że znacznie pojemniejszym pojęciem jest „pełnienie funkcji publicznych”, które obejmuje – jak wskazano – wszystkich nauczycieli akademickich.



Fot. K. Bańtyzel

Prenumerata

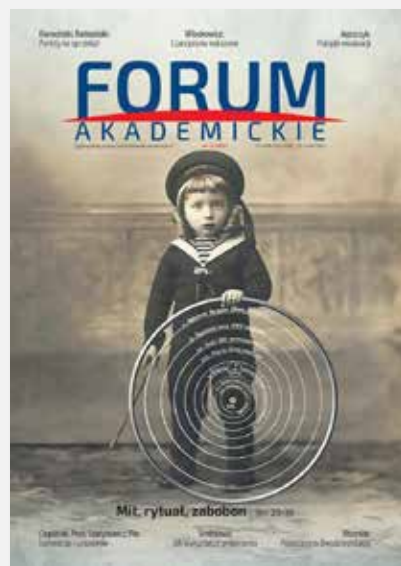
„Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”,
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty
„Forum Akademickiego” w 2022 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji będzie kosztowała 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,
w związku z czym koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok
i 86 zł za pół roku.

Redakcja



Pół tysiąca liderów

Kolejnych 56 młodych naukowców dołączyło do grona liderów wyłanianych przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Budżet tegorocznego konkursu wyniósł 80,7 mln zł. To nieco mniej niż w poprzedniej – rekordowej – edycji, gdy do finansowania skierowano 63 projekty o łącznej wartości 89 mln zł.

W XII konkursie złożono 299 wniosków na kwotę ponad 415 mln zł. To najwięcej od pięciu lat i piąty raz z rzędu, kiedy rok do roku zwiększa się liczba aplikujących. Zgodnie z założeniami maksymalna wysokość dofinansowania jednego projektu to 1,5 mln zł – takie środki otrzyma tym razem 11 naukowców. Wśród laureatów są przedstawiciele 39 instytucji, w tym aż dziesięciu instytutów należących do Sieci Badawczej Łukasiewicz. Prym wiedzie PORT – Polski Ośrodek Rozwoju Technologii, w którym realizowane będą 3 przedsięwzięcia. Najwięcej projektów uczelnianych zrealizują badacze z Akademii Górniczo-Hutniczej (6) i Politechniki Krakowskiej (4). W postępowaniu konkursowym najwyższą oceniono pomysł dr. hab. inż. Jakuba Kupeckiego z Instytutu Energetyki w Warszawie, którego celem będzie opracowanie innowacyjnego stałotlenkowego elektrolizera jako kluczowego elementu nowoczesnych magazynów energii opartych na koncepcji power-to-gas. Nowi liderzy zajmą się także m.in. technologią kompleksowego odzysku litu i wody użytkowej z odpadów wód zło-

żowych, opracowaniem inteligentnych bezchromowych materiałów ogniotrwałych nowej generacji dla przemysłu miedziowego, materiałami termoizolacyjnymi dla budownictwa wytwarzanymi z wykorzystaniem biomasy czy systemem automatycznego śledzenia i analizy ruchu wspomagającym trening sportowy.

LIDER jest najdłuższym trwającym programem w ofercie NCBR. Jego adresatami są doktoranci, nauczyciele akademicki nieposiadający stopnia doktora oraz doktorzy i doktorzy habilitowani, którzy uzyskali doktorat nie wcześniej niż w ciągu ostatnich 7 lat. Od 2009 roku (uwzględniając tegoroczne rozstrzygnięcia) wyłoniono już 498 młodych naukowców, którzy na autorskie projekty badawcze otrzymali ponad 596 mln zł. W tej grupie blisko 1/3 stanowią kobiety (w tym roku było ich najwięcej w historii – 22). Średnia wartość grantu w programie wynosi 1,2 mln zł. Tylko cztery miasta: Warszawa, Kraków, Gdańsk i Wrocław, miały w każdym konkursie przynajmniej jednego laureata. Liderów nie było jeszcze tylko w dwóch województwach: lubuskim i podlaskim. Według zapowiedzi NCBR jeszcze w tym kwartale poznamy nazwiska laureatów XIII konkursu.

Mariusz Karwowski

Dr Róża Szweda, Sieć Badawcza Łukasiewicz – PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii:

Problem zanieczyszczenia wody związkami bioaktywnymi nasila się w ostatnich latach m.in. z powodu wzrastającej konsumpcji leków. Nie w pełni metabolizowane leki trafiają do środowiska naturalnego. Szczególnie niebezpieczne są substancje chemiczne zaburzające funkcjonowanie układu hormonalnego, które mogą upośledzać rozwój oraz płodność ludzi i zwierząt. Celem mojego projektu jest opracowanie wysoce czułej i selektywnej metody detekcji bioaktywnych zanieczyszczeń wody na bazie materiałów polimerowych o zdefiniowanej sekwencji monomerycznej. Będzie ona tak zaprogramowana, żeby specyficznie oddziaływała z wybranymi analitami. Polimery będą służyły jako sondy wysyłające mierzalny sygnał w obecności określonych zanieczyszczeń. Powstanie prototyp innowacyjnego narzędzia do oznaczania bioaktywnych zanieczyszczeń wody, z którego skorzystają oczyszczalnie ścieków, a pośrednio – całe społeczeństwo.



Fot. Paweł Sudała

Dr n. med. Magdalena Koczkowska, Gdański Uniwersytet Medyczny:

Choroby nerwowo-skróne, nazywane historycznie fakomatozami, cechują się występowaniem nieprawidłowości skórnych oraz zmian guzowatych, głównie w obrębie układu nerwowego. Ze względu na wysokie ryzyko zachorowania na nowotwory oraz powikłania wieloukładowe, wczesne postawienie diagnozy jest kluczowe dla pacjentów, aby móc zapewnić im ukierunkowaną skoordynowaną opiekę specjalistów. Moim celem jest opracowanie narzędzia diagnostycznego z wykorzystaniem sekwencjonowania nowej generacji do kompleksowej diagnostyki molekularnej chorych z podejrzeniem klinicznym wybranych fakomatoz. Wysoka czułość testu umożliwi również wykrywanie somatycznych wariantów patogennych oraz zmian mozaikowych na niskim poziomie wykrywalności, co będzie mieć zastosowanie aplikacyjne do diagnostyki postaci mozaikowych.

Dr n. med. Marcin Nicós, Uniwersytet Medyczny w Lublinie:

Niedrobnokomórkowy rak płuca (NDRP) jest jednym z najczęściej występujących nowotworów. Ważnym narzędziem w jego leczeniu stała się immunoterapia. Jednak pomimo jej wysokiej skuteczności, do tej pory nie opisano mechanizmów odpowiadających za oporność na nią. Moim celem będzie zdefiniowanie podłoża genetycznego wywołującego oporność na immunoterapię u chorych na NDRP poprzez regularne badanie próbek krwi obwodowej (tzw. płynnej biopsji). Wystandaryzujemy opracowaną przez nas metodę służącą do przygotowania próbek płynnej biopsji do wysokoprzepustowego i niskokosztowego sekwencjonowania nowej generacji. Za pomocą tej techniki będziemy mogli nieinwazyjnie monitorować zmieniające się podłoża genetyczne w trakcie immunoterapii. Podejście to umożliwi wczesne wykrycie oporności na immunoterapię, pozwalając jednocześnie wdrożyć leczenie hamujące proces rozprzestrzeniania się nowotworu.



Za mało, by mówić o reformie

Polemika z projektem zmian w systemie pomocy materialnej dla studentów zaproponowanym przez dr. Marcina Kędzierskiego podczas posiedzenia KRASP w lipcu 2021 r. (oraz w FA 9/2021)

Coraz głośniejszy słycać zapowiedzi reformy pomocy materialnej dla studentów. Chodzi o stypendia i zapomogi przyznawane w szkołach wyższych, o które mogą ubiegać się studenci studiów stacjonarnych i niestacjonarnych. Problematyka ta była przedmiotem prac badaczy z UAM w Poznaniu i UE w Krakowie, finansowanych w ramach grantu NCBR „Reforma systemu pomocy materialnej dla studentów”. Projekt badawczy o wartości 2,4 mln zł realizowany był od 1 stycznia 2019 r. Czas trwania projektu i budżet pozwalały na podjęcie prac, w wyniku których powstałaby „ustawa o stypendiach”. Tak się jednak nie stało. Wydaje się, że ostatecznie w całym tym projekcie ma chodzić o: wyprowadzenie stypendiów socjalnych z uczelni do ośrodków pomocy społecznej (OPS), ustalenie centralnie minimalnej i maksymalnej wysokości stypendium socjalnego oraz przyjęcie ogólnopolskiego progu uprawniającego do ubiegania się o to świadczenie. To stanowczo za mało, aby mówić o reformie.

System pomocy materialnej dla studentów niewątpliwie wymaga zmian, a spór koncentruje się wokół głębokości projektowanych rozwiązań. Mamy do wyboru dwie drogi. Pierwsza zakłada utrzymanie aktualnego modelu, ale z poważną korektą wybranych przepisów, aby system działał sprawniej. Druga oznacza rewolucję, chociażby przez wprowadzenie wirtualnych kredytów, umarżonych w znacznej części wraz z terminowym ukończeniem studiów.

Zespół NCBR wyraźnie wskazuje, że nie chce rewolucji, ale nie przedstawia żadnych propozycji korekty tych przepisów, które sprawiają rzeczywistą trudność. Widać to na przykładzie postulatu, aby wyprowadzić stypendia socjalne do OPS. Problemem nie jest jednak organ, który przyznaje świadczenie, ale np. pojęcie rodziny studenta. Te same dylematy, które na kanwie art. 87 ust. 1 pkt 1 PSWiN obecnie mają pracownicy uczelni, będą mieć pracownicy OPS. Ciekawszy byłby postulat traktowania stypendium socjalnego jako jednego ze świadczeń rodzinnych, ale to rzeczywiście byłoby już rewolucja.

Niezrozumiałe jest pominięcie problematyki stypendiów motywacyjnych, nawet jeśli projekt NCBR zakłada wygaszanie tych świadczeń. Problemów i wyzwań tutaj nie brakuje. Chodzi m.in. o studentów I roku II stopnia. W poprzedniej ustawie był przepis, zgodnie z którym o stypendium dla najlepszych studentów można było ubiegać się pod warunkiem podjęcia studiów II stopnia w ciągu roku od ukończenia studiów I stopnia. Ustawa z 2018 r. nie zawiera takiego rozwiązania, a uczelnie samodzielnie w regulaminach świadczeń normują kwestię warunków dostępu do stypendium, zastrzeżoną przecież dla ustawy. Są więc uczelnie, które dopuszczają możliwość ubiegania się o to stypendium, jeśli student podejmuje studia II stopnia w ciągu roku – na wzór przepisów ustawy z 2005 r.; inne – nie wprowadziły żadnego ograniczenia czasowego, a jeszcze inne łączą możliwość przyznania stypendium rektora z podjęciem studiów bez żadnej przerwy. To jeden z przykładów złego prawa – oficjalnie problemu nie ma, bo studenci mogą ubiegać się o stypendium rektora. A jednak dwóch studentów z takimi samymi osiągnięciami, kontynuujących studia na dwóch różnych uczelniach może być potraktowanych zupełnie inaczej – jeden otrzyma stypendium, drugi nie. O studenta będzie mocniej zabiegać słabsza uczelnia, a przecież stypen-

dium powinno zachęcać do nauki na jak najwyższym poziomie. Student będzie mieć dylemat, czy wybrać lepszą uczelnię, czy taką, która da mu stypendium rektora. Utrzymanie takiej „autonomii” i dopuszczenie do uszczegóławiania przesłanek świadczeń może prowadzić do pozaustawowego pozbawienia studentów dostępu do pomocy materialnej.

Trzeba zmierzyć się z pytaniem, czy premiować np. wolontariat akademicki? Umyka w dyskusji również kwestia uczelnianych funduszy stypendialnych, które aktualnie nie są korzystne np. dla studentów-sportowców, a jednocześnie – dzięki drobnej zmianie prawa – pozwalałyby wynagradzać aktywnych studentów, których działalność nie wpisuje się w kryteria stypendium rektora.

Poważne zastrzeżenia dotyczą znajomości dotychczasowych regulacji, a w zasadzie niezajomości prawa. Nawet rewolucyjny system musi mieć pewne ramy prawne, inaczej czeka nas chaos. W projekcie umykają kwestie tak podstawowe, jak charakter prawny terminu do złożenia wniosku o pomoc materialną. Proponuje się również pozostawienie ograniczenia czasu-

wego w dostępie do nauki, tzw. 6 lat (art. 93 ust 1 pkt 2 PSWiN). Czy jednak chodzi o studiowanie, czy o pobieranie świadczeń? Jeszcze za rządów dr. J. Gowina resort przyjął błędne stanowisko, że chodzi o studiowanie. W okresie od VI 2020 r. do X 2021 r. zapadło ponad 60 wyroków sądów administracyjnych, które dość jednoznacznie wskazują, że chodzi o pobieranie.

Projekt NCBR niepotrzebnie koncentruje się wokół spraw już dawno rozwiązanych (np. alimenty i dochody rodziców), zamiast porządkować aksjomaty prawa stypendialnego. Organy uczelniane, ale i sądy administracyjne, coraz częściej odwołują się do słuszności w prawie oraz do nadużycia prawa. Te dwa pojęcia w zestawieniu z tzw. kamieniami milowymi orzecznictwa, pozwalają odczytać rolę, zadania i funkcje pomocy materialnej dla studentów. Po lekturze raportu można jednak odnieść wrażenie, że są to obce hasła; nie proponuje się żadnej wizji reformy.

Poszczególne świadczenia to tylko instrument wsparcia dla studentów, ale jeśli zespół NCBR podnosi, że obecny system nie odgrywa istotnej roli w wyborach edukacyjnych, to trzeba zastanowić się, czy powinien odgrywać, a jeśli tak – jakie można wprowadzić rozwiązania. Dla studentów I roku mogłoby to być stypendium na start, aby student z prowincji, zdolny, a niezamożny, mógł kształcić się w uczelni badawczej. Nie chodzi tu raczej o kierunki zamawiane, które były już przedmiotem nieudanego eksperymentu.

Zamiast oczekiwanej ustawy o stypendiach, która mogłaby uporządkować w ogóle problematykę wsparcia studentów, mamy zbiór dość luźnych pomysłów, które nie zaskłują na miano reformy.

Mgr Jacek Pakula, prawnik, pomysłodawca Ogólnopolskiej Konferencji Naukowo-Szkoleniowej pt. Pomoc materialna dla studentów

(Szczegółowe uwagi). Pakuły do projektu reformy pomocy materialnej dla studentów dra M. Kędzierskiego przedstawimy w kolejnym numerze FA)

Chodzi o bezpieczne studia stacjonarne

Aleksander Temkin, przewodniczący Komitetu Kryzysowego Humanistyki Polskiej, mówi o wnioskach z badań nt. funkcjonowania uczelni w czwartej fali pandemii i kilku związanych z tym propozycjach KKHP.

Wnioski z zebranych przez nas relacji, dotyczących stanu bezpieczeństwa kształcenia wyższego są fragmentaryczne i niekiedy opierają się na anegdotycznych sytuacjach. A jednak wiele mówią, bo powstały na podstawie obserwacji poczynionych w różnych regionach kraju i różnych typach uczelni - i w uczelniach metropolitalnych i w tych mniejszych. Mamy do czynienia z trzema problemami: złych regulacji, braku możliwości technicznych i infrastrukturalnych wykonywania pewnych przepisów, a wreszcie nieprzestrzeganie zaleceń nawet wtedy, gdy są one właściwie określone. Na niektórych uczelniach obostrzenia dotyczące masek są fakultatywne, zależą od decyzji prowadzących zajęcia, którzy często podchodzą do tej zasady jeszcze bardziej niefrasobliwie niż studenci. Obserwujemy ogromne zatłoczenie sal dydaktycznych, nawet we flagowych uniwersytetach. Na dodatek w wielu przypadkach nie ma technicznej możliwości ich efektywnego wietrzenia. To samo dotyczy innych wspólnych przestrzeni. Powszechne jest lekceważenie obowiązujących procedur zarówno przez studentów, jak i pracowników, a kadra zarządzająca uczelniami też często nie daje dobrego przykładu.

Nawiązaliśmy kontakt ze światową czołówką specjalistów od transmisji wirusa, którzy wskazują na aerozolową naturę jego przenoszenia i zakażeń. Nie chodzi zatem o dezynfekowanie klamek i blatów biurek w uczelniach. Kluczowa natomiast jest dbałość o jakość powietrza, o wentylację, ew. także filtrowanie powietrza i monitoring jego jakości. Uczelnie, również te, które starają się o zachowanie zdrowia i życia pracowników i studentów, często stawiają nacisk na trzeciorzędne potrzeby i rozwiązania, np. kładą nacisk na dezynfekcję powierzchni.

Polska nie może pozwolić sobie na byle jakie traktowanie spraw bezpieczeństwa na uczelniach i w całym systemie edukacyjnym. Polskiego społeczeństwa i gospodarki nie stać na lekceważenie bezpieczeństwa w kształceniu stacjonarnym, a takie jest potrzebne, bo odej-

ście od niego rodzi inne problemy, nie tylko jakości edukacji, ale także psychologiczne i społeczne. Problemem są bowiem nie tylko hospitalizacje i zgony, ale *long covid*, czyli długotrwałe skutki zakażenia wirusem SARS-CoV-2. Młodzież wchodząca na rynek pracy będzie cierpieła na różnego rodzaju schorzenia psychosomatyczne. To są straty, które musimy w miarę możliwości minimalizować.

Zarządzający systemem kształcenia wyższego, czyli ministerstwo, rektorzy, ale także organizacje studenckie, mają w tym procesie swoją rolę do odegrania. Wszystkie te instytucje bowiem są współodpowiedzialne za opisywany problem. W związku z tym zwróciliśmy się do Ministerstwa Edukacji i Nauki, Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Parlamentu Studentów RP, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, PAN-owskiej Komisji ds. Covid 19 i związków zawodowych o zorganizowanie okrągłego stołu, który miałby za zadanie ratowanie kształcenia stacjo-

narne. Alternatywa: albo nauczanie zdalne, albo zgoda na ofiary jest fałszywa. Mamy ten problem i musimy minimalizować straty we wszystkich obszarach, a nie przerzucać się odpowiedzialnością. Musimy usiąść do wspólnej rozmowy: jakich potrzebujemy procedur i jakie inwestycje infrastrukturalne są niezbędne do zapewnienia bezpiecznego kształcenia stacjonarnego. Nie ulega wątpliwości, że bezpieczeństwo wymaga inwestycji i to będzie kosztowało. Na pewno można zadbać o jakość powietrza, rozrzedzić grupy zajęciowe. To znacznie łatwiejsze politycznie, niż wprowadzenie obowiązkowości szczepień. W celu realizacji tego zadania trzeba używać wszystkich narzędzi, które są nam dostępne, zależnie od potrzeb i możliwości. Dla nikogo nie powinno być problemem zainwestowanie środków finansowych w czujniki jakości powietrza czy systemy wentylacyjne w obiektach uczelni. To będzie kosztować i zajmie czas, ale problem wydaje się być długotrwały, zatem i myślenie o jego rozwiązaniu musi być perspektywiczne.

Notował Piotr Kieraciński

O algorytmie humanistycznie

Potrzebna jest zmiana algorytmu podziału subwencji z perspektywy humanistycznych instytutów Polskiej Akademii Nauk.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w ostatnim „Forum Akademickim” o możliwych zmianach w algorytmie wyliczania subwencji (Piotr Kieraciński, *Algorytmiczne przymiarki*). Humanistom daje to nadzieję, że przynajmniej niektóre fatalne rozwiązania wprowadzone w 2018 r. przejdą do historii.

Należy pochwalić władze MEiN, że chcą podjąć próbę bardziej istotowych zmian. Korekta algorytmu w 2019 r. była ledwie kosmetyczna, mimo że już wtedy duża część środowiska naukowego miała świadomość, że mechanizm nie wspiera prokościowości w sposób odpowiedni. W połączeniu z nowymi współczynnikami kosztowności, które poprzednia ekipa w MEiN uznawała za nienaru-

szalną świętość, prowadził on głównie do pauperyzacji humanistyki, nawet tej reprezentującej najwyższą jakość naukową, wyrażaną m.in. kategorią A+. W niniejszym tekście chciałbym przedstawić sprawę algorytmu zarówno z punktu widzenia nauk humanistycznych, jak i instytutów PAN. Środowisko IPAN, w porównaniu z szerszym środowiskiem akademickim, jest na tyle małe, że mogłoby autorem nowego algorytmu posłużyć za poligon doświadczalny przed wprowadzeniem zmian dla uczelni, nie mówiąc już o tym, że algorytm dla IPAN jest mechanizmem dużo prostszym, pozbawionym wielu elementów, które składają się na algorytm uczelniany. Innymi słowy, algorytm dla IPAN mógłby działać już w 2022 r. Gdyby zaś nie

udało się stworzyć jednego algorytmu, który zadowoli wszystkich, to można by rozważyć współdziałanie co najmniej dwóch algorytmów, w tym jednego dla humanistyki.

Obecny algorytm dla IPAN, o czym nas informowano, powstał w oderwaniu od realnej struktury kadrowej, a także szeroko pojmowanej infrastruktury poszczególnych IPAN. Jeśli algorytm jest narzędziem kreowania polityki naukowej państwa, a nie musi uwzględniać zastanych realiów (tzn. realia powinny dostosować się do algorytmu), to wniosek jest oczywisty: twórcy obecnego algorytmu przyjęli, że z humanistyki można zrezygnować, w najlepszym razie okroić ją do roli nikomu niepotrzebnej wydmuszki. Algorytm wręcz alergicznie reaguje na takie jednostki, jak np. mój Instytut Badań Literackich, tzn. z najniższą kosztownością, z dużą infrastrukturą, np. wielką biblioteką humanistyczną i kilkoma czasopismami, w tym za 100 i 70 pkt, przede wszystkim jednak z dużą liczbą dokumentalistów, którzy wykonują wieloletnie zadania słownikowe, bibliograficzne i edytorskie, a którzy dla algorytmu są właściwie niewidzialni. Dość powiedzieć, że algorytm wylicza nam realne spadki subwencji przekraczające rok do roku przeszło 20%. A to wszystko mimo kategorii naukowej A+! Jeśli zaś w założeniu reformatorów funkcję osłonową miałyby pełnić granty, to spieszą donieść, że granty w humanistyce, także europejskie, są w zdecydowanej większości niskonakładowe, a koszty pośrednie znikome. Wreszcie algorytm okazuje się mechanizmem dyskryminującym, ponieważ wbrew duchowi Ustawy 2.0 blokuje interdyscyplinarność, np. w zakresie tworzenia szkół doktorskich (instytuty humanistyczne PAN z najniższą kosztownością są partnerem nieatrakcyjnym), a także przy ewentualnym otwieraniu drugiej dyscypliny, ponieważ jest to obciążone zbyt dużym ryzykiem finansowym.

Już w tym krótkim zarysie widać, jakie korekty powinny być wprowadzone do algorytmu dla IPAN, a może też i uczelni, jeśli mają przynieść pozytywny skutek dla humanistyki. Przede wszystkim zmianie muszą ulec współczynniki kosztowności, które dla humanistów są dewastujące. Nie może być w każdym razie tak, że najlepszą nawet kategorię naukową negatywnie równoważy się niską kosztownością, w naszym przypadku absurdalną (1.0), ponieważ z układu algorytmu, gdzie jest ona mnożnikiem, wynikałoby, że uprawianie danej dyscypliny jest darmowe. Warto rozważyć też, czy kosztowność powinna dotyczyć nie dyscyplin z osobna, ale dziedzin grupujących pokrewne dyscypliny, bo obecne wyliczenia współczynników bliższe są niekiedy pewnym potocznym wyobrażeniom o konkretnej dyscyplinie i nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. W IBL mamy np. Centrum Humanistyki Cyfrowej, które tylko dzięki grantom może w ogóle funkcjonować i się rozwijać. Tak czy owak, przymiarki

MEIN, by coś z kosztownością zrobić, są godne uznania i odnotowania, podobnie jak chęć podniesienia znaczenia kategorii naukowej.

Po drugie, w algorytmie powinien się znaleźć dodatek na utrzymanie infrastruktury badawczej o fundamentalnej dla polskiej nauki i kultury znaczeniu, np. bibliotek, archiwów, zabytków, a także redakcji czasopism i wydawnictw. Wszystkie one pełnią w naukach humanistycznych funkcję analogiczną do laboratoriów w naukach eksperymentalnych.



Po trzecie, powinna zostać wprowadzona premia pro jakościowa rekompensująca najlepszym jednostkom niskie nakłady w grantach. Inaczej bowiem niż w humanistyce IPAN ściśle i techniczne często utrzymują się czy to z komercjalizacji, czy z wysokonakładowych grantów, w których wysokie są również koszty pośrednie; subwencja z reguły stanowi tylko pewną część ich budżetu.

Po czwarte, algorytm powinien widzieć dyplomowanych bibliotekarzy, archiwistów, leksykografów i dokumentalistów. Pracownicy ci wykonują prace o fundamentalnym dla nauk humanistycznych znaczeniu, jednak nie są właściwie wyceniani przez algorytm. W efekcie osoby te zaniżają subwencję, a IPAN nie są w stanie podnieść ich rażąco niskich uposażeń. W naszym prze-

konaniu powinni oni mieć pensje na poziomie minimalnym adiunkta zgodnie z Ustawą 2.0 i ustawą o PAN, jednak na ten cel muszą być przekazane dodatkowe środki.

Oprócz wymienionej w *Algorytmicznych przymiarkach* propozycji zwiększenia stałej przeniesienia, warto by też pomyśleć o przywróceniu progu blokującego spadek subwencji dla wszystkich IPAN kategorii A+ i A w stosunku do roku poprzedzającego, tzn. minimum 100% poprzedniej subwencji przechodzi na rok kolejny. Tłumaczenie, że nie można tego zrobić, ponieważ przyznaje się środki na dyscypliny, dodatkowo świadczy na niekorzyść algorytmu, nie wspominając już o tym, że blokadę spadku stosuje się do uczelni realizujących program IDUB. Inny problem to finansowanie szkół doktorskich, które ze względu na mityczną już *iterowalność* algorytmu nie wiedzą, jaka część subwencji lidera przeznaczona jest na szkołę, co z kolei sprawia, że ministerstwo musi przekazywać liderom dodatkowe, celowane subwencje.

Twórcy obecnie obowiązującego algorytmu uważali, że ci, którzy zawsze byli niedofinansowani, mogą pracować, kosztem nawet niskich uposażeń i redukcji etatów, za jeszcze mniejsze pieniądze. Nowy algorytm będzie testem, czy ta optyka uległa zmianie.

Dr hab. Grzegorz Marzec, prof. IBL PAN,
zastępca dyrektora Instytutu Badań Literackich PAN



„Wielcy Polacy XX wieku”

to zestaw pięciu płyt CD z audycjami, które są poświęcone najwybitniejszym Polakom działającym w ubiegłym stuleciu na polu polityki, wojskowości, duchowości, nauki i kultury.

Patronem medialnym audiobooka jest „Forum Akademickie”.

Więcej na: <https://zakazanehistorie.pl/wielcypolacy/>

Na ostrzu noża

Konflikt na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie nie wygasa, mimo, że rektor Borek zamienił już ponad 480 umów czasowych na umowy na czas nieokreślony. Postanowiliśmy się przyjrzeć dokładnie, jak oceniają tę sytuację związki zawodowe „Solidarność” i „Inicjatywa Pracownicza” (wypowiedzi profesorów Józefa Brynkusa i Niny Pluty poniżej), a także jak wygląda sytuacja w innych polskich uczelniach. Dane z bazy POL-on dostarczył nam Ośrodek Przetwarzania Informacji – niosą one interesujące informacje, z których wynika, że problem ogromnej liczby zatrudnieni nauczycieli akademickich na umowach

czasowych nie dotyczy jedynie krakowskiej uczelni pedagogicznej (tekst na str. 48). Ponadto dr Leszek Rymarowicz, nadinspektor pracy, który prowadził kontrolę w UPK, wypowiedział się dla „Forum Akademickiego” na temat warunków zatrudniania na umowach czasowych w uczelniach. Znajdą tam Państwo uwagi, które mogą się przydać w realizacji polityki kadrowej w uczelniach (wywiad na str. 46).

Piotr Kieraciński

Sprawa była znana od dawna

Dr hab. Józef Brynkus, prof. UPK, historyk, zastępca przewodniczącego KU Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie NSZZ „Solidarność”, przedstawia problem czasowego zatrudnienia pracowników UPK z punktu widzenia związku zawodowego.

Problem zatrudniania na umowach czasowych w Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie dotyczył przede wszystkim pracowników naukowo-dydaktycznych, choć w pewnej mierze także administracyjnych i innych. Takie umowy były standardem i dziś są także, z tym, że zmiana przepisów Kodeksu pracy wymusza na rektorach ich stosowanie. Chodzi o przepis mówiący o tym, że nie można zatrudniać na umowie na czas określony dłużej niż przez 33 miesiące oraz że pracownik nie może być zatrudniony na trzech kolejnych umowach na czas określony, nawet gdy łączny czas zatrudnienia jest krótszy niż 33 miesiące. Z punktu widzenia ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, zwanej Ustawą 2.0, zatrudnianie na czas określony nie ma żadnego znaczenia. Ważny jest tu Kodeks pracy.

W momencie zmiany przepisów prawa pracy w 2016 roku, dotyczących zatrudniania na czas określony, uczelniana „Solidarność” podejmowała naciski na poprzedniego rektora UPK, prof. Kazimierza Karolczaka, by umowy spełniające przedstawione powyżej warunki były automatycznie przekształcane na umowy na czas nieokreślony. Efektywność tej presji była niewielka, gdyż rektor wskazywał, że umowy zawierają klauzule, których spełnienie jest konieczne, by taka umowa była przekształcona z umowy na czas określony na czas nieokreślony. Paradoks polegał na tym, że także samodzielni pracownicy nauki, a zatem już po doktoratach i habilitacjach, byli zatrudnieni na czas określony. Sam miałem taką umowę i gdy przysłano mi nową, na czas nieokreślony, trochę mnie to zdziwiło. Sądziłem, iż pan rektor Karolczak masowo przekształcał takie umowy. Jak się okazało, tak nie było. Adiunktom i asystentom nie przekształcono umów, wskazując, że aby tak się stało, muszą zro-

bić czy to habilitację, czy doktoraty. Sprawa ta stała się przedmiotem debaty w czasie kampanii wyborczej przed wyborami rektorskimi w 2020 roku. Wówczas prof. Piotr Borek, obecny rektor UPK, zadeklarował rozwiązanie problemu, czyli przekształcenie umów zawartych na czas określony na umowy na czas nieokreślony, pod warunkiem, że są spełnione kryteria zapisane w przepisach prawa pracy z 2016 roku.

Oczywiście, biorąc pod uwagę kadre naukowo-dydaktyczną, zgodnie z praktyką i prawem, na uczelniach nadal zatrudnia się na umowy na czas określony, w tym i na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, ale dotyczy to głównie asystentów, choć nie tylko.

Sytuacja na Uniwersytecie Pedagogicznym w odniesieniu do tego problemu stabilizuje się, przede wszystkim na skutek pewnego konsensusu, a nie utarczek słownych. Komisja Uczelniana „Solidarność” obserwuje, że w przypadku wystąpienia okoliczności prawnych dających możliwość przekształcania umów na czas okre-

ślony na umowy na czas nieokreślony, rektor Borek dokonuje odpowiednich zmian umów. Ze względu na dużą liczbę tych przypadków, zajmie to trochę czasu. Nasza uczelnia miała bowiem takich umów najwięcej w Polsce. Jest też pewne, że z tego powodu – czyli końca umów czasowych, w przypadku których występuje koincydencja jednego z tych dwóch warunków ich przekształcania – nikt z uczelni nie zostanie zwolniony. Trzeba też pamiętać o tym, że rektor ma prawo – takie daje mu i Ustawa 2.0, i oparty na niej Statut UP w Krakowie; przypominam, że przygotowany przez poprzedniego rektora – że nie musi umów czasowych przedłużać, jeśli spełnione są warunki prawne.



Spór zbiorowy

Dr hab. Nina Pluta Podleszańska, prof. UPK, przedstawia konflikt na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie z perspektywy Komisji Międzyzakładowej OZZ „Inicjatywa Pracownicza”.

Komitet Zakładowy Ogólnopolskiego Związku Zawodowego „Inicjatywa Pracownicza” (późniejsza Komisja Uczelniana) przy Uniwersytecie Pedagogicznym powstał 26 maja br. w reakcji na liczne budzące wątpliwości zwolnienia w ramach prowadzonej w uczelni restrukturyzacji. Jednym z problemów, którymi zajęliśmy się było

tw. umowy śmieciowe, dotyczące prawie połowy zatrudnionych wykładowców.

Obecny rektor UPK, prof. Piotr Borek w programie wyborczym zadeklarował explicite stabilność zatrudnienia i automatyczne przekształcenie umów czasowych na umowy na czas nieokreślony wszyst-

kim osobom pracującym w uczelni co najmniej 36 miesięcy, czym z pewnością zyskał sobie poparcie. Po objęciu stanowiska sprawę jednak odłożył, a na posiedzeniu Senatu w grudniu 2020 r. dowiedzieliśmy się, że „automatyczna zmiana umów czasowych” nie jest możliwa. Władze UPK powoływały się na wykładnię MEiN, która rzekomo dawała prawo do nieprzekształcania umów. Pracownicy mieli występować indywidualnie do dyrektora o ocenę pracowniczą i być opiniowani przez rady instytutu i dyscypliny. Wzbudziło to sprzeciw wielu pracowników, którzy obawiali się arbitralności i nadużyć. Natomiast 19 marca 2021 r. rektor poinformował dyrektorów jednostek, że „w związku z przeprowadzaniem w Uczelni (pisownia oryginalna – red.) programem naprawczym, którego celem jest uzyskanie równowagi finansowej, zaakceptowanym przez Ministerstwo Edukacji i Nauki [...] wszelkie umowy nauczycieli akademickich kończące się 30.09.2021 roku, w jednostkach, które posiadają ujemny wynik finansowy, nie będą przedłużane”. Komunikat ten wywołał panikę wśród pracowników, których umowy wygasły z końcem roku akademickiego. Po pewnym czasie rektor zmienił decyzję i postanowił do przedłużenia umów podchodzić „indywidualnie”, co znowu wzbudziło obawy o uznaniowość decyzji.

Pozostałe trzy związki zawodowe działające w uczelni nie reagowały wystarczająco stanowczo w tej sprawie, więc pracownicy zaczęli radzić się prawników, słać pisma do MEiN i mobilizować polityków do interpelacji. W kwietniu 2020 r. okazało się, że MEiN nie tylko odcięło się od przeprowadzanej w UPK restrukturyzacji, ale także zaprzeczyło, jakoby istniała ministerialna wykładnia dająca rektorowi prawo do nieprzekształcania umów.

W maju, na wniosek posłów Lewicy, Państwowa Inspekcja Pracy rozpoczęła w uczelni kontrolę. W jej trakcie spotykaliśmy się wielokrotnie z nadinspektorem Leszkiem Rymarowiczem i składaliśmy wnioski wskazujące liczne nieprawidłowości dotyczące zawierania umów czasowych i ich nieprzekształcania na czas nieokreślony. Sądzę więc, że przyczyniliśmy się do rozpoczęcia długiego wyczekiwanego procesu przekształcania. Nie mam wątpliwości, że piętnowaniem naruszeń prawa pracy i mobilizowaniem pracowników do składania w PIP indywidualnych wniosków naraziliśmy się, jako związek, na niechęć władz uczelni, czego wyrazem było publiczne kwestionowanie naszej legalności i utrudnianie działalności związkowej. W zastrzeżeniach do Protokołu Kontroli PIP z dn. 29 lipca 2021 rektor zastrzegł, że 1) za zastane przez niego setki umów czasowych odpowiadają poprzednie ekipy rektorskie 2) przekształcenia rozpoczął on sam jeszcze przed kontrolą PIP, zgodnie z obietnicami początku kadencji 3) nie miał świadomości skali problemu.

Podzielam opinię, że masowe zawieranie niezgodnych z prawem umów czasowych to skutek wieloletnich zaniedbań, ale zaprzeczam, jakoby obecne władze zajęły się tym problemem przed kontrolą PIP. Wedle mojej wiedzy, kolejne niezgodne z prawem umowy czasowe były zawierane także za tej kadencji rektorskiej. Natomiast wspomniane przez rektora przedłużanie umów czasowych miało charakter uznaniowy i wybiórczy, nie na takich zasadach, jakie wskazano w protokole kontrolnym PIP. Nie miało to zatem nic wspólnego z wynikającą z ustawy Kodeksu pracy koniecznością przekształcania umów czasowych umowy na czas nieokreślony. Dopiero kontrola skłoniła rektora do zajęcia się tym problemem kompleksowo i zgodnie z prawem. Stąd uważam – podobnie jak posłowie Lewicy, którzy w sierpniu br. złożyli w tej sprawie zawiadomienie w prokuraturze – że działania obecnych władz uczelni mogą nosić znamiona świadomego i uporczywego naruszania praw pracowniczych.

Komisja Zakładowa OZZ „Inicjatywa Pracownicza” przy UPK, kwestionowana miesiącami przez obecne władze uczelni, ukonstytu-

owała się zgodnie z prawem i działa legalnie w Uniwersytecie od 26 maja 2021 r. Ósmego lipca Komisja Tymczasowa przekształciła się w Komisję Zakładową, a 7 października – w Komisję Międzyzakładową. O wszystkich etapach Rektor był należycie informowany. Dlatego brak reakcji na nasze pisma przez wiele miesięcy, podważanie naszej legalności przez rektora i kanclerza, a także tolerowanie działań naruszających normy współżycia społecznego oraz szydzenie z naszego związku przez bezgranicznie popierającego rektora przewodniczącego KU NSZZ „Solidarność” na UP, Jana Fróga, uważam za rażące łamanie praw związkowych. W związku z tym złożyliśmy w sierpniu 2021 r. zawiadomienie do prokuratury o możliwości popeł-



nienia przez Rektora Borka przestępstwa, polegającego na utrudnianiu działalności związkowej.

W bieżącym roku akademickim doszło w uczelni do kolejnych przypadków jawnego łamania praw pracowniczych i związkowych. Odbieramy je jako ewidentne szykany działania naszego związku. Dwie osoby objęte prawną ochroną związkową otrzymały wypowiedzenia: jedna z powodu restrukturyzacji, przy czym wytypowanie jej nie ma żadnego związku z zastrzeżeniami do jej pracy czy merytoryczną oceną pracownika; druga osoba – była prorektorka ds. studenckich, która na wiosnę zrezygnowała z funkcji na znak protestu przeciwko działaniom rektora Borka – z powodu „utrąty zaufania pracodawcy”, a de facto za krytykę bezprawnych działań władz; trzecia osoba, prywatnie żona wiceprzewodniczącego związku, została wyjątkowo skandalicznie, bez słowa wyjaśnienia, pozbawiona najpierw funkcji Pełnomocnika Rektora ds. Osób Niepełnosprawnych (pełnionej społecznie przez 16 lat), a potem zwolniona dyscyplinarnie za rzekome nieprzestrzeganie procedur wewnętrznych. Odbyło się to bez wymaganego ustawą postępowania dyscyplinarnego i bez zasięgnięcia opinii związku zawodowego.

Skandaliczna jest manipulacja władz uczelni wynikami kontroli PIP w celu pozbywania się pracowników krytycznie nastawionych do władz. Żadnych konsekwencji za lata zaniedbań nie poniósł kierownik działu kadr, który przyczynił się do powstania gigantycznego problemu z umowami czasowymi, natomiast zwalnia się z pracy, pod pretekstem rzekomego niedopełnienia obowiązków, byłego prorektora ds. kształcenia, który zrezygnował ze współpracy z aktualną ekipą rektorską w maju br., nie mogąc się pogodzić z przypisywaną mu funkcją biernego świadka restrukturyzacji. Wadliwość uzasadnień wręczanych obecnie zwolnień, oczywiste dla każdego pracownika uczelni, wybiórcze „wskazania” do zwolnień, a przede wszystkim, jawnie bezprawne zwalnianie chronionych członków naszego związku sprawiły, że pod koniec października weszliśmy z pracodawcą w spór zbiorowy. Przedstawiliśmy rektorowi 14 postulatów, w których domagamy się m. in. zaprzestania arbitralnych zwolnień, a szczególnie cofnięcia wypowiedzeń osobom z ochroną związkową; opracowania i przeprowadzenia jednolitych i przejrzystych ocen pracowniczych, które obowiązkowo, wraz z konsultacjami z przełożonymi, poprzedzałyby zwolnienia; opracowania sprawiedliwej procedury przechodzenia na emeryturę (osoby w wieku emerytalnym są wyjątkowo pokrzywdzoną przez restrukturyzatorów grupą); przeprowadzania reform w sposób jawny, przejrzysty i demokratyczny; zaprzestania przesładowań za wyrażanie opinii i krytyki. Pracodawca nie spełnił postulatów w terminie, tradycyjnie milczy. Jeśli nie podejmie dalszych kroków, czyli nie zgłosi sporu Państwowej Inspekcji Pracy i nie podejmie rokowań, naruszy kolejny raz prawo, w tym wypadku ustawę o rozwiązywaniu sporów zbiorowych.

Książka o Kołakowskim z Nagrodą Długosza

W pierwszym dniu 25. Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, 14 października 2021 r., ogłoszono nazwisko laureata 24. Konkursu o Nagrodę im. J. Długosza, którego celem jest popularyzacja książek naukowych i popularnonaukowych z obszaru szeroko rozumianej humanistyki. Statuetkę wykonaną przez śp. prof. Bronisława Chromego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 30 tys. zł otrzymał Zbigniew Mentzel, autor książki *Kołakowski. Czytanie świata. Biografia*, opublikowanej przez Wydawnictwo Znak. Wyboru dokonało jury pod przewodnictwem prof. Władysława Stróżewskiego. W jego skład wchodzi: historyk prof. Andrzej Chwalba; prof. Andrzej Mączyński, wiceprezes Polskiej Akademii Umiejętności; prof. Ryszard Nycz, teoretyk i historyk literatury; prof. Jan Ostrowski, prezes Polskiej Akademii Umiejętności; prof. Leszek Polony, muzykolog oraz prof. Piotr Sztompka, socjolog.

Ten ostatni wygłosił laudację, którą podsumował słowami: „... zaproponowałem alternatywny tytuł *Czytanie Kołakowskiego*. Czytanie przez Zbigniewa Mentzela to czytanie wnikliwe i krytyczne, to swoista rozmowa, debata, czasem spór ze swoim mistrzem. I tych wszystkich walorów zupełnie wystarczy, aby uznać biografię wielkiego polskiego intelektualisty za nie tylko pionierską, ale wybitną i dać temu wyraz w postaci Nagrody im. Długosza za ważny wkład do polskiej humanistyki”.

Do konkursu o Nagrodę Długosza zgłoszono w tym roku 38 książek. Oprócz zwycięskiej pracy nominowano do nagrody także 9 innych pozycji: Jakuba Banasiaka *Proteuszowe czasy. Rozpad państwowego systemu sztuki 1982-1993* (Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie, Warszawa 2020); Wiki Filipowicz *Przy stole z królem. Jak ucztoowano na królewskim dworze* (Znak Horyzont, Kraków 2020); Tomasz Kizwaltera *Polska nowoczesność. Genealogia* (Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2020); Iwony Lindstedt *Kazimierz Serocki. Piszę tylko muzykę* (Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 2020); Anny Marciniak-Kajzer *Rzeczy ludzi średniowiecza. W domu* (Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020); Stanisławy Niebrzegowskiej-Bartmińskiej *Definiowanie i profilowanie pojęć w (etno)lingwistyce* (Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020); Jerzego W. Ochmańskiego *Teoria sytuacjonizmu w zastosowaniu. Prusy i Rzesza przed Trybunałem Państwa* (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2020); Miłosza Stelmacha *Przecucie końca. Modernizm, późność i polskie kino* (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2020); Przemysława Urbańczyka *Trudna historia włók. Tom 1: Wrócisz do ziemi* (Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2020).

Warto zauważyć, że aż 7 nominowanych książek zostało opublikowanych przez wydawnictwa uczelniane, w tym dwie przez Wydawnictwo UMK w Toruniu (książka M. Stelmacha w serii *Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej*), które także w poprzednich latach odnotowało sukcesy w tym konkursie.



Nagroda Gaudeamus 2021

Drugiego dnia Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, 15 października, Stowarzyszenie Wydawców Szkół Wyższych ogłosiło werdykt w Konkursie o Nagrodę Gaudeamus, którego celem jest promowanie i wyróżnienie uczelnianych oficyn wydawniczych za publikowanie najbardziej wartościowych polskich książek naukowych i dydaktycznych.

Nagrodę GAUDEAMUS otrzymało Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego za opracowaną przez Sławomira M. Nowinowskiego,

R. Stobieckiego, A. Brzezińską i M. Przybysz-Gralewską książkę „*Mama na Pana nowy zamach... . Wybór korespondencji Jerzego Giedroycia z historykami i świadkami historii 1946-2000*”. Nagrodę Targów w Krakowie dla pracy naukowej otrzymało Wydawnictwo Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu za książkę Katarzyny Schmidt-Przewoźnej *Barwienie metodami naturalnymi. Rośliny barwierskie i ich potencjał*.

Zdjęcia: Targi w Krakowie

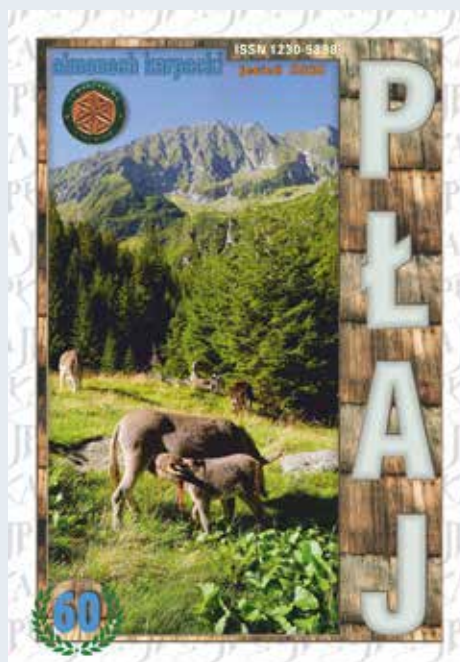


Publikacje o górach

Wydawnictwa naukowe znalazły się też w gronie laureatów 6. Międzynarodowego Konkursu „Najlepsze wydawnictwa o górach”, zorganizowanego przez Targi w Krakowie, Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego oraz Wydawnictwo „Karpacie” – Andrzej Łączyński w Krakowie. Na konkurs 45 wydawców z 8 krajów nadeszło 116 książek, czasopism i map.

Pierwsze miejsce w kategorii „Przewodniki” zajęła trzytomowa, wieloautorska praca *Geostrada Sudecka. Przewodnik geologiczny*, opublikowana przez Wydawnictwa Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie. W kategorii „Atlasy, encyklopedie, słowniki” 3. miejsce zajął „Atlas biblijny” opublikowany wspólnie przez Wydawnictwo „Bernardinum” z Pelplina oraz Instytut Geodezji i Kartografii z Warszawy. Za monografię Jacka Suchodolskiego *Architektura schronisk i zajazdów w Dolinie Dzikiej Orlicy na pograniczu polsko-czeskim* wyróżniono Oficynę Wydawniczą Politechniki Wrocławskiej.

Drugie miejsce w kategorii „Czasopisma” zdobył 60. numer Almanachu Karpackiego „Płaj” wydawanego przez Towarzystwo Karpackie, a zainicjowanego i od początku redagowanego przez niestrudzonego Andrzeja Wielochę. Opublikowano w nim wiele unikalnych prac relacjonujących ważne ustalenia o charakterze naukowym, np. z zakresie onomastyki czy historii, które znacząco wykraczały swoim charakterem poza zwykłą popularyzację. W tym sensie „Płaj” można uznać za czasopismo referencyjne w wielu obszarach wiedzy o Karpatach. Niestety, może się okazać, że jest to ostatni numer tego niezwykle zasłużonego dla upowszechniania tematyki karpackiej periodyku.



Zależy nam na współpracy

Krzysztof Pietraszkiewicz, prezes Związku Banków Polskich, Polskiego Forum Akademicko-Gospodarczego, przewodniczący Rady Politechniki Warszawskiej, inicjator utworzenia i koordynatorem Ośrodka Współpracy Rad Uczelni mówi o celach współpracy tych nowych organów w polskim systemie szkolnictwa wyższego.

Gdy w 2018 roku weszła w życie ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, w Zarządzie Polskiego Forum Akademicko – Gospodarczego uznaliśmy, że trzeba zaprosić do współpracy z PFAG członków rad uczelni wyłonionych na pierwszą, skróconą kadencję, aby wzmocnić współpracę środowisk biznesowych i akademickich. Dyskutowaliśmy przez wiele lat o tym, jakie działania i przepisy będą najlepiej służyły kształtowaniu tych relacji i w konsekwencji - rozwojowi kraju. I oto przy znaczącym udziale KRASP i Fundacji Rektorów Polskich uchwalono nowe Prawo o Szkolnictwie Wyższym, zwane Konstytucją dla nauki, a prawie równoległe uchwalono Konstytucję dla biznesu. Obie regulacje stwarzały dla kooperacji nauki i gospodarki nowe, lepsze i obiecujące ramy.

Nowe prawo nie tylko ustanowiło rady uczelni, ale także określiło ich zadania, obowiązki i uprawnienia. Rady powinny zatem monitorować uchwalanie i rozliczanie realizacji strategii uczelni, planów finansowo-rzeczowych, ale również oceniać zarządzanie uczelnią, sprzyjać budowie relacji uczelni z biznesem – nie darmo połowa składów rady to przedstawiciele gospodarki, a nie na przykład polityki. Możemy wskazywać i opiniować kandydatów na rektora, kształtować wynagrodzenia rektora, brać udział w obradach Senatu, w tym informować go o działaniach Rady. Zajmujemy się wyborem audytora, który bada finanse uczelni, współprogramujemy działania audytu wewnętrznego uczelni, ale także obserwujemy i konsultujemy programy kształcenia i badawcze, zwł. w kontekście ich zgodności z europejskimi, krajowymi, regionalnymi i sektorowymi programami rozwoju. Jednocześnie zwracamy uwagę na rozwijanie współpracy z agencjami i instytucjami rządowymi, jak NCBR, Sieć Łukasiewicz, NFOŚiGW, ale także z bankami rozwoju, czyli instytucjami, które służą współpracy nauki i gospodarki. Leży nam na sercu, aby absolwenci uczelni w trakcie studiów budowali kompetencje, które pomogą im w pracy zawodowej, zwłaszcza w odnalezieniu się w najnowszych obszarach gospodarki, w gospodarce i przedsiębiorczości 4.0. Pod nadzorem ministra edukacji i nauki, a bezpośrednio przy Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości działa 17 sektorowych rad ds. kompetencji. Dorobek niektórych jest naprawdę duży i warto z nim zapoznać uczelnie. Rady uczelni mogą być tu dobrym pośrednikiem. Chcemy kształtować i promować dobre praktyki w działalności rad uczelni. Interesujemy się problemami transferu wiedzy i technologii.

W obszarze naszych zainteresowań leżą też osiągnięcia naukowe i postulaty studentów, wyrażane przez Parlament Studentów RP, a dotyczące kształcenia, czy praktyk zawodowych. Ciekawi nas studencki ruch naukowy. Interesujemy się problemami doktorantów, zwłaszcza w zakresie tzw. doktoratów wdrożeniowych.

Innym obszarem aktywności PFAG i Ośrodka jest udział i kształtowanie programu Klubu Polska 2025 plus. Współorganizujemy jego obrady. Przypomnę, że odbyło się już ponad 110 konferencji i spotkań klubu, a 2/3 mówców to najwybitniejsi przedstawiciele polskich uczelni. Dyskutujemy tam o problemach ważnych dla Polski i świata, np. o relacjach amerykańsko-chińskich, współpracy Polski i Niemiec, wyzwaniach stojących przed Unią Europejską, przyszłości gospodarki 4.0, lukach, jakie mamy do nadrobienia jako Polska.

Zależy nam na kształtowaniu jak najlepszych relacji między organami uczelni, bo mamy nową sytuację: Senat, Radę Uczelni i rektora z wielkimi uprawnieniami. Trzeba ułożyć współpracę tych organów dla dobra wszystkich członków społeczności uczelni i dla dobra instytucji. Nie chodzi nam o napinanie muskułów, ale służenie rozwojowi naszego kraju, który nie może się odbywać bez uczelni i nauki dobrze współpracujących z otoczeniem, w tym zwłaszcza gospodarczym. Każda uczelnia ma jakieś świetne osiągnięcia i chcemy je wydobywać i pokazywać, by je upowszechnić. Zależy nam na jak największej efektywności działania uczelni i efektywności współdziałania między nauką a biznesem. W ostatnich latach udało się zwiększyć prywatne nakłady na sektor B+R, czyli badania i wdrożenia, ale wciąż jesteśmy pod tym względem na dalekich pozycjach w świecie.

Ośrodek utrzymuje regularne kontakty z ponad 80 uczelniami, a w naszych spotkaniach bierze udział 120-250 członków rad. Zapraszamy na nie przedstawicieli MEiN, KRASP, Fundacji Rektorów Polskich, RGNiSW. Chodzi o to, by naszą pracę realizować przy otwartej kurtynie. Tworzymy platformę dobrowolnej współpracy. Powołaliśmy dwunastoosobową radę programową. To ona ustala priorytety i tematy kolejnych spotkań. Musieliśmy sobie dokładnie wyjaśnić, jakie obowiązki i uprawnienia mają rady uczelni – w końcu po raz pierwszy stanęliśmy przed takimi zadaniami, a dla wielu z nas jest to zupełnie nowy świat. Ważnym dorocznym wydarzeniem dla PFAG i Ośrodka Współpracy Rad Uczelni jest Forum Akademicko - Gospodarcze. W 2022 roku odbędzie się ono w dniach 16 i 17 lutego i zapewne wniesie wiele nowych propozycji dobrze służących rozwojowi współpracy świata nauki i gospodarki. Będziemy rozmawiać o zielonej transformacji, dekarbonizacji, gospodarce 4.0, ale też wspólnej realizacji Krajowego Planu Odbudowy oraz Programu Spójności.

Idea utworzenia Ośrodka Współpracy Rad Uczelni pojawiła się zaraz po wejściu w życie Ustawy 2.0. Było widać, że współpraca, wspólne uczenie się nowych zadań jest konieczne. konkretny pomysł powstał zapewne jeszcze w 2019 roku, ale epidemia nieco pokrzyżowała nasze plany. Mieliśmy też świadomość, że pierwsze rady zostały powołane na skróconą kadencję. Z pewną powściągliwością podchodziliśmy zatem do budowania naszej inicjatywy, by nie zakłócać procesu wyboru nowych władz rektorskich, a potem wyłaniania nowych rad uczelni. Gdy po wyborach rektorskich w 2020 roku zostały powołane nowe rady – czasami w podobnym składzie, ale na nowe kadencje, pojawiło się pole do rozwoju Ośrodka. Nasze spotkania rozpoczęliśmy on-line latem 2020 roku. Staraliśmy się pokazać radom uczelni, jaka jest pozycja polskich uczelni w międzynarodowych rankingach, ale też jak działać, by ta pozycja była wyższa, jak funkcjonować w środowisku międzynarodowym. Nie ukrywamy tego, że istotne jest dla nas zwiększanie nakładów na polską naukę. Inwestowanie w badania, budowanie silnych ośrodków naukowych, udział w programach europejskich są niezmiernie ważne. Każda złotówka zainwestowana w naukę, przynosi w dłuższej perspektywie znaczące, wielokrotne korzyści.

Notował Piotr Kieraciński

Więcej o radach uczelni w artykule Dariusza Rotta na str. 39

Konsolidacja po wrocławsku

We Wrocławiu podjęto już dwie nieudane próby konsolidacji uczelni publicznych. Pierwsza miała raczej ideowy, niż konkretny charakter. Wiele lat temu prof. Tadeusz Szulc, rektor Akademii Rolniczej we Wrocławiu zaproponował, aby w wyniku konsolidacji – w formie czegoś w rodzaju uniwersytetu federacyjnego, którego istnienia nie przewidywało jednak polskie prawo – publicznych szkół wyższych Wrocławia utworzyć Uniwersytet Dolnośląski. Swoją propozycję szczegółowo opisał, ale nie miejsce tu na powtarzanie. Rzecz zakończyła się, zanim się na dobre rozpoczęła. Zupełnie inaczej było z drugą próbą. Bardzo konkretnie do konsolidacji podeszły Uniwersytet Wrocławski i Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu w okresie kadencji rektorskich prof. Marka Bojarskiego na UWr i prof. Romana Kołacza na UPWr. Powołano komisje i zespoły problemowe, przeprowadzono szczegółowy audyt, kto co wnosi w wianie do nowej uczelni, starano się zobrazować, jak mogłaby ona wyglądać. Przyjęto to postać opasłego tomu – białej książki konsolidacji. Kolejne istotne z punktu widzenia połączenia uczelni tematy poddawano pod głosowania Senatów, by wreszcie postawić kropkę na „i”. W pewnym momencie sprawa jednak utknęła w miejscu i w ten sposób skończyła się tuż przed szczęśliwym finałem. Konsolidacje dużych podmiotów szkolnictwa wyższego nie są bowiem proste, a polskie prawo nie daje wielkich szans, ani nie finansuje odpowiednio tak wielkich przedsięwzięć, jak robią np. rządy Finlandii czy Francji.

Teraz temat wrocławski powraca w nowej konfiguracji. Do konsolidacji przymierzają się Uniwersytet Wrocławski, Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu i Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Rektorzy prof. Przemysław Wiszewski z UWr, prof. Piotr Ponikowski z UMWr i prof. Andrzej Rokita z AWF podpisali list intencyjny, wyrażając wolę połączenia potencjałów badawczych i dydaktycznych.

Ścisłsza współpraca ma wzmocnić pozycję ośrodków naukowych, które działając razem będą poważnym partnerem dla polskich instytucji finansujących i zyskają większe możliwości budowania konsorcjów ubiegających się o większe dofinansowanie ze środków unijnych.

- Tuż przed świętem nauki wrocławskiej (15 listopada – red.) mówimy o potrzebie budowy silnej jednostki uniwersyteckiej. Podpisany list intencyjny otwiera nam możliwości do dalszego działania. Bardzo ważne jest dla nas wsparcie, którego udzieliły nam władze samorządowe, podkreślając, że silny ośrodek akademicki jest wartością dla całego regionu – zwraca uwagę prof. Przemysław Wiszewski, rektor Uniwersytetu Wrocławskiego. Tu warto przypomnieć o powołanym przez władze miasta Wrocławskim Centrum Akademickim i Akademii Młodych Uczonych i Artystów, a to nie jedyny fakt świadczący o zainteresowaniu wrocławskiego samorządu szkolnictwem wyższym i nauką.

Konsolidacja ma ułatwić prowadzenie wspólnych badań, wymianę kadry naukowo-dydaktycznej i poprawę standardów zarządzania, co przekłada się wprost na pozycję ośrodków. Nie chodzi jednak tylko o pieniądze i miejsce w światowych rankingach uczelni. Według inicjatorów przedsięwzięcia ma ono także służyć sprostananiu wyzwaniom współczesnego świata: bezpieczeństwu zdrowotnemu, rozwojowi technologicznemu, wzmocnieniu dobrostanu mieszkańców miasta i regionu oraz umocnieniu wartości obywatelskich i znaczenia Wrocławia na mapie Europy i świata.

- Połączenie naszych potencjałów to możliwość realizacji dużych, śmiałych, innowacyjnych projektów naukowych. Ale to również wielka okazja dla naszych studentów do współpracy, realizowania wspólnych kierunków dydaktycznych i badawczych. „Razem możemy więcej” – ta idea leży u podstaw łączenia potencjałów ośrodków naukowych na całym świecie. Nie przypadkiem w zestawieniach najlepszych uniwersytetów dominują te, które w swoich strukturach posiadają wydziały, prowadzące badania w różnych dziedzinach – zauważa prof. Piotr Ponikowski, rektor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu.

Wśród takich ośrodków są np. Harvard University czy Stanford University, które kształcą m.in. ekonomistów, prawników, lekarzy, inżynierów. Na rodzimym rynku za sztandarowe uchodzi połączenie Akademii Medycznej w Krakowie z Uniwersytetem Jagiellońskim (1993 r.), w wyniku czego utworzono Collegium Medicum UJ z trzema wydziałami. Z kolei w Bydgoszczy w 2004 r. Akademia Medyczna została połączona z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika, tworząc Collegium Medicum UMK. Bodaj najpełniejszym z punktu widzenia wszechstronności badań i kształcenia jest Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, który działa w obszarach nauk humanistycznych, społecznych, przyrodniczych, inżynierskich i medycznych, a ma też kierunki artystyczne i teologię.

O tym, jaką drogę wybiorą UWr, UMWr i AWF Wrocław zdecydują senaty uczelni w najbliższych latach. Podpisanie listu intencyjnego przez rektorów otwiera drogę do pozyskania środków na analizę procesu integracji. Konieczna jest dogłębna ekspertyza, dotycząca korzyści i ryzyk, związanych z połączeniem oraz szerokie konsultacje ze społecznościami akademickimi trzech podmiotów, które powinny popierać, a nie jedynie akceptować nowe rozwiązania.

- Jestem przekonany, że po opracowaniu takiego materiału senaty uczelni będą jeszcze raz zajmować się tą sprawą i podejmować decyzje na przyszłość – zapowiada prof. Andrzej Rokita, rektor Akademii Wychowania Fizycznego. Projekt jest otwarty, jego inicjatorzy widzą możliwość dołączenia innych uczelni, gotowych do partnerskiej, merytorycznej rozmowy o przyszłości nauki we Wrocławiu i regionie.

MK, PK



Latarnia kultury zaświeciła w Lublinie

Przez trzy dni Lublin był stolicą kultury studenckiej. Swoje talenty muzyczne, teatralne, taneczne, filmowe, a także w visual art czy lifestyle'u prezentowało ponad 150 młodych artystów z całej Polski. Zorganizowano 57 występów, seansów, wystaw, warsztatów i paneli dyskusyjnych. W tych ostatnich głos zabrało 25 przedstawicieli instytucji centralnych i samorządowych oraz organizacji studenckich. W sumie w Ogólnopolskim Forum Kultury Studenckiej wzięło udział blisko 300 osób.

Wydarzenie było zwieńczeniem projektu zainicjowanego przed dwoma laty. Przez ten czas dokonano sieciowania akademickich centrów kultury (w przedsięwzięcie zaangażowało się 15 ośrodków) oraz przeprowadzono analizę stanu kultury studenckiej (o wynikach pisaliśmy w numerze 1/2021 FA). Forum odbywało się w legendarnej „Chatce Żaka”, gdzie od blisko sześciu dekad studenci znajdują przestrzeń do doświadczania i tworzenia kultury. To tu działały teatry alternatywne: „Gong 2”, „Provisorium”, „Grupa Chwilowa”, „Scena 6”, tutaj swoje kariery zaczynali Beata Kozidrak, Krzysztof Cugowski i Jan Kondrak, w tym wreszcie miejscu narodziły się tak ważne dla środowiska festiwale, jak „Bakcynalia” czy „Mikołajki Folkowe”.

– Mimo że kultura studencka jest zawieszona między resortami, nie do końca wiadomo, pod czyją kuratelą ma się znajdować, to powinna tkwić przede wszystkim mentalnie w naszych głowach – zainicjowała dyskusję Izabela Pastuszko, dyrektor „Chatki Żaka” i pomysłodawczyni Forum.

Od tego tematu trudno było uciec. Choć tematyka paneli dotyczyła różnorodnych zagadnień – od źródeł działalności twórczej i animacyjnej przez media akademickie po biznesowy model rozwoju kultury –

zarówno na scenie, jak i w rozmowach kuluarowych najczęściej poruszano kwestię zmian systemowych, tak aby akademickie instytucje kultury mogły pozyskiwać środki na działalność z różnych źródeł. Na razie dla Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego są jednostkami uniwersyteckimi, a nie kulturalnymi, z kolei po środki z Ministerstwa Edukacji i Nauki nie mogą sięgać, bo ich działalność nie ma charakteru naukowego. Ważną deklarację w tym kontekście złożył Mateusz Adamkowski, dyrektor Departamentu Mecenatu Państwa MKiDN. – Jesteśmy jako resort otwarci na wspieranie również tego segmentu kultury, bo doceniamy jego znaczenie. To lubelskie Forum niech będzie dobrym zacznym dialogu, jak by to zaangażowanie miało wyglądać – wyraził swoje oczekiwania przedstawiciel MKiDN.

Wtórował mu gospodarz wydarzenia, rektor UMCS prof. Radosław Dobrowolski. – Dobrze by było wspólnymi siłami doprowadzić do takiego stanu rzeczy, żeby sformalizować i tak umiejscowić kulturę studencką, aby rektorzy nie mieli dylematu co do adresu, pod którym należy ubiegać się o środki, a resorty potrafiły odpowiednio skierować strumień finansowania.

Dodał, że jego przepis na kulturę studencką jest dość prosty: najlepiej nie przeszkadzać, niczego nie narzucać, pole do działania zostawić młodym ludziom. – Należy stworzyć im taki ekosystem, w którym mogą realizować swoje pasje, dać przestrzeń, gdzie mogliby się spełniać.

Potwierdzeniem jego słów był towarzyszący debatom przegląd działań artystycznych. Wystąpiły m.in. zespoły: „Głośne szept” z Politechniki Lubelskiej, „Space Swans” z PWSZ w Chełmie i Kwintet Nadęty z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. W stre-



Forum Kultury Studenckiej tworzą:

Akademickie Centrum Kultury i Mediów UMCS „Chatka Żaka” w Lublinie, Akademickie Centrum Kultury „Alternator” Uniwersytetu Gdańskiego, Akademickie Centrum Kultury i Sztuki „Od Nowa” Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Akademickie Centrum Kultury Politechniki Częstochowskiej, Akademickie Centrum Kultury Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Centrum Kultury i Kształcenia Ustawicznego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Centrum Kultury Studenckiej „Mrowisko” Politechniki Śląskiej w Gliwicach; Centrum Kultury Studenckiej Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, Centrum Nauki i Kultury Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, Strefa Kultury Studenckiej Politechniki Wrocławskiej, Strefa Kultury Studenckiej Uniwersytetu Szczecińskiego; Studenckie Centrum Kultury Uniwersytetu Opolskiego, Studenckie Radio Żak Politechniki Łódzkiej, Uczelniany Ośrodek Kultury Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach, Uniwersyteckie Centrum Kultury Uniwersytetu w Białymstoku

fię ruchu i słowa zaprezentowała się m.in. Grupa Tańca Flamenco z Uniwersytetu Gdańskiego, a studenci Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu porwali publiczność opartym na musicalu *Mamma Mia* show z piosenkami zespołu ABBA. Ponadto można było obejrzeć kilkanaście etiud stworzonych przez młodych filmowców, poznać kulturę i obyczaje Słowian oraz stworzyć świat z... papieru. Nie zabrakło miejsca dla miłośników fotografii.

– Gdy jako studenci przychodzimy na uczelnię, oczekujemy, że kilka lat kształcenia da nam dobry zawód. Ale czy ktoś pomyślał, że w tym okresie mamy też zdobyć kompetencje, które kształtują człowieka nie tylko na poziomie zawodowym? Kultura studencka to two-

żenie sztuki dla innych, ale też okazja do rozwoju osobistego i społecznego. Bez tego ogniwa nie można mówić o uniwersytecie kompletnym – przekonywał Mateusz Grochowski, przewodniczący Parlamentu Studentów RP. Przyznał jednocześnie, że z zaciekawieniem oczekuje efektów, jakie przyniesie Forum. Ma nadzieję, że dla wielu jednostek stanie się ono impulsem do działania.

– Jestem przekonana, że to wydarzenie będzie przełomowe w historii polskiej kultury studenckiej XXI wieku – oceniła Izabela Pastuszko.

Na zakończenie uczestnicy podpisali deklarację, w której zobowiązali się do stałej współpracy na rzecz twórczego rozwoju młodych ludzi oraz całej społeczności akademickiej. W uczelniach będących członkami projektu kształci się prawie 200 tys. żaków. „Naszym celem jest wypracowanie strategii w zakresie wspierania inicjatyw podejmowanych przez studentów w obszarze kultury i sztuki” – napisano w dokumencie.

Jednym z jego sygnatariuszy został Rafał Wiśniewski, dyrektor Narodowego Centrum Kultury. – Wiele się o kulturze studenckiej mówi, ale od jakiegoś czasu nie obserwujemy jakichś znaczących ruchów. Dlatego przy okazji tego wydarzenia można powiedzieć, że otwieramy stare wino w nowej butelce. Forum ma pokazać dobre praktyki usieciowienia, różne działania kulturotwórcze, więziotwórcze. Choć Lublin nie ma bezpośredniego dostępu do morza, chciałbym, aby stał się latarnią wyznaczającą kierunek, w którym kultura studencka ma podążać – podsumował Wiśniewski, który otrzymał nagrodę Mecenas Kultury Studenckiej.

Według zapewnień organizatorów Forum ma mieć charakter cykliczny i co roku odbywać się w innym ośrodku akademickim.

Mariusz Karwowski

fot. Bartosz Proll



Czy w ministerialnym wykazie są drapieżne konferencje?

Gwałtowny rozkwit drapieżnych wydawców pojawił się tam, gdzie system szkolnictwa wyższego kładł nadmierny nacisk na publikowanie i przewidywał gratyfikacje dla naukowców za liczbę publikacji lub wystąpień, a nie za ich jakość.

Drapieżne konferencje mają wiele wspólnego z drapieżnymi czasopismami – istnieją dla zysków. Pojawiają się w każdej dziedzinie nauki, a ich organizatorzy operują w każdej części świata. Ich celem jest osiągnięcie jak największego zysku poprzez zapewnienie jak największej liczby sesji, dlatego konferencje nie skupiają się na określonym zagadnieniu czy temacie, są kierowane do jak najszerzej publiczności.

Istnieje wiele wyznaczników drapieżnych konferencji. Przede wszystkim nie są one organizowane przez towarzystwa lub instytucje naukowe (ani inne jednostki przy nich afiliowane), ale przez firmy, które wyspecjalizowały się w organizowaniu tego typu wydarzeń. Ich celem nie jest akademicka debata czy prezentacja naukowych treści, tylko profit. W praktyce drapieżne konferencje organizowane są bez dbania o poziom naukowy wydarzenia, chodzi tylko o zebranie opłat rejestracyjnych oraz opłat za pokonferencyjne publikacje, które, tak jak w przypadku drapieżnych czasopism, nie są poddawane zabiegom redakcyjnym oraz rzetelnemu procesowi recenzyjnemu.

Dear Professor/Author/Researcher

Podobnie jak w przypadku drapieżnych czasopism, wabienie prelegentów odbywa się poprzez maile. Zaproszenia niekoniecznie dotyczą dziedziny, w której działa uczony, mogą też być pełne dziwnych zwrotów i błędów, ukrywać informacje o organizatorze i nachalnie zachęcać do zgłoszenia udziału, wystąpienia lub współorganizowania konferencji. Jeden z badaczy w ciągu roku otrzymał na swoją skrzynkę ponad dwieście zaproszeń na fałszywe konferencje odbywające się głównie w Europie, Ameryce Północnej i Azji od 18 różnych firm. Co więcej, bez zgody i wiedzy zainteresowanych organizatorzy drapieżnych konferencji posługują się danymi i zdjęciami badaczy, a na stronach internetowych umieszczają logotypy popularnych, renomowanych instytucji (np. Royal Society of Chemistry).

Drapieżne konferencje niejednokrotnie „podszywają się” pod spotkania o wysokim standardzie, a ich nazwy są ludzko podobne do cyklicznych konferencji organizowanych przez prestiżowe instytucje naukowe. Czasami nazwa konferencji różni się jedynie interpunkcją, na przykład myślnikiem, i łatwo to przeoczyć, stając się ofiarą drapieżnika. Celowo nazwy konferencji tworzone są tak, by uzyskać taki sam akronim, jakim posługują się legalne konferencje, np. International Conference on Artificial Neural Networks (ICANN), konferencja organizowana przez European Neural Network Society, kontra International Conference on Advanced Neuroengineering and Neuroimaging organizowana przez drapieżną organizację WASET. Firmuje ona też 15. International Conference on Traffic and Transport Psychology (ICTTP), o czym ostrzega organizator oryginalnej konferencji ICTTP, VTI (Swedish National Road and Transport Research Institute). Wkrótce przyjmie się pewnie termin „hijacked conferences” na kształt tzw. porwanych czasopism.

Jak rozpoznać drapieżne konferencje?

To, czy ma się do czynienia z drapieżną konferencją, uczestnik jest w stanie ocenić w stu procentach podczas jej trwania, oceniając niską jakość spotkań, słabą organizację, wątpliwą wartość dla nauki oraz niską jakość pokonferencyjnych materiałów. Przyjmowane są bowiem wszelkie nadesłane (i opłacone) teksty, następnie publikowane z pominięciem procesu recenzyjnego. Ma to swoje uzasadnienie – wielu organizatorów drapieżnych konferencji zaczynało jako drapieżni wydawcy. Badając to zjawisko, jeden z dziennikarzy zgłosił na konferencję propozycję wykładu pt. *The Biomechanics of How Pigs Fly*. Organizator tekst zaakceptował, twierdząc, że uzyskał pozytywną recenzję naukową, wystarczyło tylko wnieść opłatę konferencyjną w wysokości 999 dolarów. Inny badacz zgłosił tekst napisany przez wybieranie losowych słów podawanych przez

funkcję autouzupełniania w iPhone'ie na International Conference on Atomic and Nuclear Physics, konferencję organizowaną przez OMICS Group. W ciągu trzech godzin od zgłoszenia tekst został zaakceptowany.

Co ważniejsze, organizatorzy drapieżnych konferencji ukrywają swoją prawdziwą tożsamość i prawdziwą lokalizację siedziby, aby nie dało się zbyt łatwo wyśledzić czysto komercyjnego charakteru przedsięwzięcia. A gdy ich drapieżny charakter zostanie ujawniony, następuje zmiana nazwy, pojawia się nowa domena i wszystko działa dalej. Przykładowo jeden z największych drapieżników, działający w środowisku naukowym, OMICS Group, wykorzystywał cztery marki, pod skrzydłami których organizowane były konferencje: Conference Series, Pulsus Group, EuroSciCon i Life Science Events. Jeśli te marki zostaną „spalone”, w ich miejsce po prostu stworzone zostaną nowe. Inny zidentyfikowany organizator drapieżnych konferencji, American Society for Research (ASR), który w praktyce był komercyjną firmą z Chin, po zdemaskowaniu kontynuował organizowanie konferencji jako Asian Society for Researchers. Dlatego lepiej nie przyjmować zaproszenia na International Conference on Educational and Information Technology (ICEIT), za której organizację rzeczona firma odpowiada.

Jedną z firm, które zdominowały rynek drapieżnych konferencji, jest WASET (World Academy of Science, Engineering and Technology), którego harmonogram zaplanowany jest na najbliższych kilka lat. W praktyce danego dnia nie odbywa się jeden „event”, ale tysiące konferencji z różnych dyscyplin. W 2020 roku WASET zorganizował 313.745 konferencji, czyli średnio 857 dziennie, w bieżącym roku mają odbyć się 343.283 konferencje (941 dziennie), a w 2022 roku zaplanowano 345.063 konferencje (945 dziennie). Nie wiadomo, ile rocznie odbywa się drapieżnych konferencji, ale badacze zakładają, że liczebnie znacznie przewyższają te wiarygodne, organizowane przez faktyczne instytucje naukowe.

Kryteria do zidentyfikowania drapieżników

Ale ważniejsze jest, by taką konferencję rozpoznać, zanim uiszczona zostanie opłata za udział, aby ostatecznie nie tracić czasu ani pieniędzy. Już kilka lat temu zaproponowano zestaw kryteriów, które sprawdzają się podczas identyfikowania drapieżnych konferencji. Nie mamy tu jednak do czynienia z amatorami, drapieżniki w środowisku naukowym potrafią się coraz lepiej kamuflować. Przez to skala funkcjonowania drapieżnych konferencji jest trudna do oszacowania, a granice między wiarygodnymi a drapieżnymi konferencjami się zacierają.

Dlatego nie można twierdzić, co często pojawia się w literaturze, że drapieżne konferencje są problemem tylko dla niedoświadczonych, młodych naukowców. Wobec profesjonalnie wyglądających stron internetowych, wypełnionych nazwiskami prominentnych badaczy i prestiżowymi logotypami, nie zawsze łatwo odróżnić fałszywą konferencję od prawdziwej.

Nie wszyscy są ofiarami

Nie można też nie brać pod uwagę, że autorzy celowo publikują w drapieżnych czasopiśmie i biorą udział w drapieżnych konferencjach, zdając sobie sprawę z ich charakteru. Gwałtowny rozkwit drapieżnych wydawców pojawił się tam, gdzie system szkolnictwa wyższego kładł nadmierny nacisk na publikowanie i przewidywał gratyfikacje dla naukowców za liczbę publikacji lub wystąpień, a nie za ich jakość. Poniżej opisano przykłady z kilku państw azjatyckich.

Sytuacja miała miejsce choćby w Indiach. W 2010 roku University Grants Commission (UGC), główna instytucja odpowiedzialna za wyznaczanie i utrzymanie standardów kształcenia i badań naukowych w sektorze szkolnictwa wyższego w Indiach,

zaczęła oceniać naukowców na podstawie wskaźnika Academic Performance Index (API), opierającego się na liczbie publikacji. Natomiast w 2013 roku powstała regulacja, według której doktoranci muszą przedstawić minimum dwie publikacje, zanim otrzymają doktorat. Postawiono na ilość, a za kryterium naukowości czasopisma uznano posiadanie przez nie numeru ISSN. Otworzyło to drogę do korupcji i rozwoju fałszywych czasopism. Po latach działania dziurawego systemu, wskutek nacisków środowiska akademickiego zatrwożonego liczbą pseudonaukowych czasopism, w których publikowali indyjscy badacze, UGC przygotowała tzw. białą listę czasopism – UGC Approved List of Journals. Opublikowano ją w 2017 i obejmowała 32.659 tytułów. W 2018 roku usunięto z niej 4.305 drapieżnych czasopism. Z kolei od 2019 roku obowiązującą listą dla indyjskich naukowców jest UGC-CARE List of Quality Journals.

W 2016 roku w Turcji wprowadzono nową politykę wsparcia finansowego dla badaczy tureckich (Ex-post funding system, EPFS), w której wynagradzano naukowców w zależności od liczby publikacji i wystąpień na konferencjach. W jednym z badań zanalizowano liczbę referatów tureckich autorów wygłoszonych na potencjalnie drapieżnych konferencjach w ciągu dwóch lat przed wprowadzeniem nowego systemu i dwóch lat po jego wprowadzeniu. Okazało się, że liczba referatów wygłaszanych na „wątpliwych” konferencjach wzrosła zaskakująco (z 49 w latach 2014-2015 do 408 w latach 2016-2017). Innymi słowy, po wdrożeniu nowego systemu finansowania nastąpił 732-procentowy wzrost liczby publikacji, którego nie można wytłumaczyć wzrostem liczby badaczy.

W Korei Południowej naukowcy nie dostaną rządowego dofinansowania, jeśli chcą brać udział w drapieżnych konferencjach. Wnioskując o fundusze i granty rządowe na zagraniczne konferencje badacze muszą wypełnić wnioski, rozpatrywane przez recenzentów z Koreańskiej Narodowej Fundacji Badań (National Research Foundation of Korea, NRF). Ociana jest w ten sposób naukowa wartość (i potencjalnie drapieżny charakter) imprezy. Działanie to jest pokłosiem analizy udziału koreańskich naukowców – ponad 1300 osób z czołowych państwowych uczelni – w konferencjach organizowanych przez największych drapieżników: WASET i OMICS. Koreański rząd zapowiedział nawet ewentualne działania dyscyplinarne oraz żądanie zwrotu środków na badania od osób, które wielokrotnie i celowo biorą udział w fałszywych konferencjach, czego konsekwencją może być niewłaściwe prowadzenie badań.

Czarna lista drapieżnych konferencji

Niestety nie ma oficjalnej listy fałszywych konferencji, czyli czegoś na kształt Listy Bealla, która pomogłaby naukowcom zdecydować, czy wziąć udział w danym wydarzeniu. Dlaczego nikt się tego nie podjął? Przyczyn jest wiele, zaczynając od ustalenia obiektywnych kryteriów oceny wiarygodności poszczególnych imprez. Nie zawsze rozpoznanie drapieżnych konferencji jest możliwe na podstawie informacji zawartych na stronie. Praktycznie nie ma białych list (oprócz CORE), które pozwoliłyby oceniać wiarygodność i wykluczyć drapieżne wydarzenia organizowane w każdej dziedzinie nauki. W obu przypadkach – białych i czarnych list – wymagana byłaby ciągła aktualizacja danych i linków oraz stała weryfikacja jakości materiałów konferencyjnych pod względem nietypowych zmian w liczbie publikacji czy afiliacji autorów. Podobnie bowiem jak w przypadku drapieżnych czasopism konferencja dopiero z czasem może nabrać drapieżnego charakteru. Dodajmy do tego fakt, że jedne konferencje mogą łączyć się z innymi albo być przez nie wchłaniane oraz zmieniać nazwy i akronimy.

Przykład wymienionych archiwalnych źródeł, których autorzy starali się walczyć z drapieżnikami, pokazuje, że twórcza

takiej bazy byłby narażony na pozwy ze strony drapieżnych firm oraz na ostrą krytykę ze strony środowiska naukowego. Wspomina o tym sam Jeffrey Beall zaskoczony tym, do jakiego stopnia badacze, którzy publikowali w jednym lub kilku czasopiśmie drapieżnego wydawcy, stawali się jego największymi obrońcami.

Brak źródeł do weryfikowania drapieżnych konferencji

Przy weryfikacji konferencji warto skorzystać z serwisu Think Check Attend (<https://thinkcheckattend.org/check/>) – to międzynarodowa inicjatywa, której celem jest udzielanie wskazówek i pomoc naukowcom przy wyborze zaufanych konferencji, w których będą uczestniczyć i prezentować swoje badania. Świetnym rozwiązaniem są rankingi zweryfikowanych konferencji naukowych. Chodzi przede wszystkim o CORE Conference Portal (The Computing Research and Education Association of Australasia), zbierający informacje o konferencjach z dziedziny informatyki. Jeśli dana konferencja jest w nich indeksowana, potwierdza to jej wiarygodność. Niestety tego typu białych list jest niewiele.

Innym sposobem weryfikacji są czarne listy, zbierające informacje o wątpliwej jakości konferencjach oraz ich organizatorach. Nie jest ich jednak wiele, np. Kscien Predatory Conferences. W przeszłości funkcjonowało kilka zestawień oraz blogów informujących i ostrzegających przed drapieżnymi konferencjami (np. Roth's List (lub Caltech list), Dolos list, <http://fake-conferences.blogspot.com/>, <http://www.scamorama.com/conferences.html> lub <http://bogus-conferences.blogspot.com/>), ale obecnie można je znaleźć tylko w archiwach internetu. Przyczyn zakończenia ich działalności można się tylko domyślać. Dobrym rozwiązaniem jest korzystanie z list drapieżnych wydawców (np. z krążących po sieci i aktualizowanych list Bealla), które w większości przypadków obejmują też firmy organizujące drapieżne konferencje.

Na czym opiera się ministerialny wykaz materiałów z konferencji?

Nie tylko wyróżnia publikacje konferencyjne z informatyki, ale opiera się też na dwóch specjalistycznych bazach: DBLP Computer Science Bibliography oraz The Computing Research and Education Association of Australasia (CORE). Pierwsze z tych źródeł uchodzi w środowisku za miarodajne i jest regularnie aktualizowane, jednak co do drugiego można mieć pewne zastrzeżenia. Przede wszystkim w związku z obszarem działalności członków i użytkowników CORE, który skupia się na regionie Pacyfiku i konferencjach w takich krajach jak USA, Azja, Australia i Nowa Zelandia. I nawet w związku z tym konferencje z tych państw oceniane są wyżej niż konferencje europejskie. Co jest zupełnie zrozumiałe, skoro CORE ma rekomendować wartościowe czasopisma i konferencje społeczności naukowej Australazji. Ale większy problem widać w kwestii aktualności danych.

Lista konferencji ujętych w wykazie – opierająca się na edycji CORE2018 – już jest zdezaktualizowana. Wystarczy porównać ją z edycją najnowszą, tj. CORE2021. Wersja sprzed trzech lat liczy 1631 pozycji, podczas gdy bieżąca – 977 konferencji.

Z różnych względów z bazy CORE usunięto kilkaset pozycji, jednak w polskim wykazie nie zostało to zaktualizowane. Tymczasem, analizując poszczególne pozycje w wykazie, ustalono, że 632 konferencje połączyły się z innymi, zakończyły już swoją działalność lub nie zostały znalezione (brak ich w edycji CORE2021), otrzymały status not found lub discontinued. Znalaziono też 100 konferencji, które są w wykazie CORE2018, ale zostały usunięte w edycji CORE2020 lub CORE2021 z uwagi

na tematykę (dotyczą matematyki, edukacji, inżynierii, zarządzania, bibliotekoznawstwa i in.) albo są konferencjami multidyscyplinarnymi. Dodatkowo z wykazu usunięto 19 konferencji, co do których pojawiły się uwagi związane z jakością recenzji (brak opisanego procesu recenzyjnego, recenzowanie tylko abstraktów, nieudostępnianie materiałów konferencyjnych i in.). W związku z tym aktualny wykaz powinien liczyć około 900 pozycji, a nawet więcej, uwzględniając nowo dodane konferencje, które pojawiły się w CORE2021.

Czy konferencje w ministerialnym wykazie są wolne od drapieżników?

Wracając jednak do wykazu w obecnej postaci, jest kilka konferencji, co do których można mieć podejrzenia o drapieżny charakter. Głównie z uwagi na to, że ich organizatorzy wymienieni zostali wśród potencjalnie drapieżnych wydawców na liście Bealla. Dotyczy to na przykład konferencji organizowanych przez IBIMA Publishing (np. International Business Information Management) [pisał o tym E. Radosiński w numerach FA 3, 4 i 7-8/2021 – red.], WSEAS (np. FIRA Robot World Congress) oraz IARIA (np. International Conference on Internet Monitoring and Protection, International Conference on



Mobile Ubiquitous Computing, Systems, Services and Technologies czy International Conference on Digital Society). Z rozważą należy też wybierać konferencje organizowane przez American Council on Science and Education (<https://americancse.org/>, <https://www.american-cse.org/>) w wykazie np. International Conference on Parallel and Distributed Processing Techniques and Applications oraz pod „marką” WORLDCOMP (tj. World Congress in Computer Science, Computer Engineering, and Applied Computing). W istocie stoi za nimi Hamid Arabnia, profesor z University of Georgia, któremu kilka lat temu zarzucano organizowanie lipnych konferencji w celu wzbogacenia się. Oczywiście konferencji, za którymi stoją potencjalnie drapieżni wydawcy i drapieżni organizatorzy może być więcej, w przypadku każdej należałoby ustalić, jaka organizacja faktycznie stoi za zorganizowaniem wydarzenia. Jednak nie zawsze wyłuskanie potrzebnych faktów jest proste, a drapieżne podmioty mogą ukrywać się pod szyldem wiarygodnie brzmiących organizacji.

Niepokojąca jest też skala, z jaką drapieżni organizatorzy, zwłaszcza WASET, kradną nazwy i akronimy konferencji. Po wpisaniu zapytania w Google wiarygodne konferencje wielokrotnie łądowały na dalszych pozycjach listy wyników, nato-

miast na pierwszych znajdowały się linki do potencjalnie drapieżnych wydarzeń o identycznych tytułach, których organizatorem jest World Academy of Science, Engineering and Technology. To pokazuje, że w wykazie warto dostarczyć dodatkowych informacji o danej konferencji, np. nazwa organizatora, linki do bieżącej konferencji czy przeszłych edycji itp. W przypadku czasopism naukowych dodatkowym weryfikatorem jest ISSN, zaś w przypadku konferencji trzeba opierać się tylko na nazwie i akronimie, a to za mało.

Głównym powodem, dla którego drapieżne konferencje stały się tak dużym problemem, jest to, że naukowcy i instytucje w zasadzie nie robią wiele, aby rozwiązać ten problem. Podejmuje się niewiele działań, aby ostrzec przed nimi naukowców oraz odradzić udział w tego typu wydarzeniach lub pomoc w ich organizacji. Co więcej, powiązania między drapieżnymi organizatorami konferencji a drapieżnymi wydawcami są powszechne, a referaty konferencyjne są akceptowane do publikacji w czasopismach drapieżnych za dodatkową opłatą. Niestety wielu badaczy postrzega takie możliwości publikacji jako bonus, a nie problem.

Jolanta Szczepaniak, redaktor i kierownik zespołu Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej



Żądza pieniądza

Zdaniem A. Oviedo-Garcii, priorytetem MDPI jest interes własny kosztem dobrych praktyk edytorskich i wydawniczych. Do takiego wniosku upoważniona zidentyfikowana przez nią skala samocytowań oraz cytowań z innych artykułów wydawanych pod egidą MDPI.

W prestiżowym, wydawanym przez Oxford Academic czasopiśmie „Research Evaluation” (IF – 3,434) ukazał się (11 sierpnia 2021 r.) artykuł Marii de los Angeles Oviedo-Garcii *Journal citation reports and the definition of a predatory journal: The case of the Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI) z następującą konkluzją*: opisane w artykule badania wskazują, że periodyki wydawane przez MDPI spełniają definicję wydawnictwa drapieżnego (predatory journal) podaną przez „Nature” (Grudniewicz et. al., „Nature” 2019, 576). Definicja „Nature” ma treść następującą: „Drapieżne czasopisma i wydawcy (Predatory journals and publishers) to podmioty, dla których priorytetem jest maksymalizowanie zysku własnego. Aby to osiągnąć, wydawcy ci stosują nierzetelne praktyki redakcyjne i wydawnicze, zasady ich działalności są nieprzejrzyste, w pozyskiwaniu artykułów stosują praktyki agresywnego i nieuczciwego marketingu”. Innymi słowy, zdaniem A. Oviedo-Garcii, priorytetem MDPI jest interes własny kosztem dobrych praktyk edytorskich i wydawniczych. Do takiego wniosku upoważniona zidentyfikowana przez A. Oviedo-Garcie skalą samocytowań oraz cytowań z innych artykułów wydawanych pod egidą MDPI.

Swoje opinie autorka artykułu w „Research Evaluation” sformułowała na podstawie analizy 53 czasopism wydawanych przez MDPI, które są indeksowane przez Journal Citation Reports (JCRs). A zatem można uznać, że są to czasopisma, które na tle pozostałych, nieindeksowanych przez JCRs periodyków wydawanych przez MDPI reprezentują najwyższy poziom edytorski. Autorka publikacji w formułuje także zalecenie tej treści: „rekomenduję naukowcom, instytucjom edukacyjnym, zarządzającym bazami danych o publikacjach naukowych, aby zrewidowali relacje zawodowe z tego typu periodykami”.

Kryteria mogły zostać zaniżone

Przypomnijmy, że chiński koncern MDPI (MultiDisciplinary Digital Publishing Institute) specjalizuje się w wywieśzaniu w sieci artykułów naukowych. Poza siedzibą główną (Bazylea, Szwajcaria) MDPI ma biura rozsiane po całym w świecie, także w Polsce, w Krakowie. W rankingu światowym firma ta jest piątym, mierząc liczbą wydanych publikacji, wydawnictwem naukowym. Natomiast w kategorii Open Access jest niekwestionowanym światowym liderem. W 2020 r. MDPI wydawało ok. 300 czasopism, z czego 71 miało przypisanego Impact Factor. W tym samym roku otrzymało 381 tys. tekstów, z których opublikowano 165 tys., przy czym

96% wydanych artykułów jest dostępnych na Web of Science. Zgodnie z 2020 web.pdf (mdpi.com) średnie APC (Articles Processing Charge) wynosi 1700 dolarów, co pozwala oszacować roczne przychody MDPI z tego tytułu (2020 r.) na przekraczające 200 mln dol., p. Petrou, MDPIs Remarkable Growth, the Scholarly Kitchen.

Powyższe dane świadczą, że MDPI jest jednym z najważniejszych graczy na rynku publikacji naukowych, dotyczy to także polskiego środowiska naukowego. Zgodnie z 2020 web.pdf (mdpi.com) w ogólnej puli artykułów wywieśzanych przez MDPI udział tekstów o polskich afiliacjach wynosi 4%. Można zatem oszacować, że w roku 2019 polscy naukowcy wydali poprzez MDPI ok. 6 tys. tekstów, a transfery z budżetu polskiej nauki na rzecz firmy sięgają 10 mln dol. Czasopisma sygnowane przez MDPI są zwykle bardzo wysoko punktowane na liście czasopism naukowych opracowanej przez Komitet Ewaluacji Nauki, a zatwierdzonej przez Ministerstwo Edukacji i Nauki.

Artykuł i konkluzje Oviedo-Garcii nie są zaskoczeniem dla środowiska naukowego ze względu na liczbę tekstów akceptowanych do publikacji przez MDPI, jak i niebывale tempo wzrostu tej liczby. Należy zwrócić uwagę na dynamikę działalności publikacyjnej MDPI: 2018 r. – 67 tys., 2019 r. – 108 tys., 2020 r. – 165 tys. artykułów, co daje tempo wzrostu zbliżone do 70% rok do roku. Dane te od dawna rodziły podejrzenia, że w przypadku co najmniej niektórych przedsięwzięć wydawniczych firmowanych przez MDPI kryteria naukowości, a tym samym akceptacji tekstów do publikacji, mogły zostać zaniżone.

W swoim artykule Oviedo-Garcia zwraca uwagę, że the Norwegian Register for Scientific Journals, Series, and Publishers obniżył ranking MDPI do 0, aby następnie podnieść go do jednego. Także w 2014 r. MDPI zostało umieszczone na słynnej liście Bealla. Po licznych odwołaniach zostało jednak z tej listy usunięte. Beall zawiesił publikowanie swojej listy ze względu na próby zastraszenia jej autora pozwami sądowymi.

Zajmowanie się problemem predatory journals nie jest zbyt bezpiecznym zajęciem, w końcu są to drapieżniki. Sam opublikowałem wcześniej artykuły: Punkty na sprzedaż (FA 3/2021), Uczelnie w czasach punktozy (FA 4/2021), Ewaluacja jednostek w środowisku punktozy (FA 7-8/2021). Publicznie wykazuję w nich, że określone wydawnictwa, cieszące się dużą popularnością wśród polskich naukowców, mogą spełniać kryteria, które pozwalają je zaliczyć do niechlubnego grona

tw. periodyków drapieżnych. W efekcie zostałem poddany działaniom defamacyjnym, w tym ostracyzmowi środowiskowemu oraz straszeniu pozwami sądowymi. Ale się nie skarżę, wiedziałem, co robię.

Tajemnice redakcji

Przypinając łatkę MDPI, należy jednak pamiętać, że określenie „predatory journal” było dotąd przypisywane przedsięwzięciom wydawniczym o charakterze wręcz przestępczym. Przykładowo grupa osób o luźnych lub żadnych powiązaniach ze światem nauki, kierując się wyłącznie chęcią zysku, organizuje fikcyjną konferencję naukową. Recenzje nadesłanych artykułów mają charakter iluzoryczny, a wszelkie dobre praktyki redakcyjne i wydawnicze – całkowicie ignorowane. Do jednego z organizatorów „fake conference” wysłałem zrandomizowany kolaż kilku swoich wcześniejszych artykułów z wplecionymi fragmentami regulaminu studiów macierzystej uczelni. Artykuł został przyjęty, a organizatorzy pogratulowali wysokiego poziomu naukowego – czekają na pieniądze. Podobny eksperyment został opisany przez „Nature”, p. *Predatory journals recruit fake editor*, 543, 481–483. Badacze, wśród nich Emanuel Kulczycki, skądinąd członek Komitetu Ewaluacji Nauki, wykreowali fikcyjnego naukowca, dr. O. Szusta, jako kandydata na Edytora. Stopień akceptacji tej kandydatury przez redakcje czasopism naukowych, w tym indeksowanych przez the Directory of Open Access Journal (DOAJ), był zatrważający. Dla porządku należy zacytować, że wszystkie czasopisma indeksowane przez Journal Citation Reports (JCRs), a ujęte w puli badań przeprowadzonych przez Sorokowskiego et. al., zignorowały ofertę dr. O. Szusta jako kandydata na Edytora.

Podzielałam zdanie wielu, że działalność wydawnicza MDPI jest co najmniej kontrowersyjna. Mimo to uważam, że konkluzje zawarte w artykule Oviedo-Garcii są zbyt kategoryczne, choć oparte na bardzo szczegółowej analizie bibliometrycznej. Tak jak w twórczości filmowej są dzieła zasługujące na Oscara, filmy klasy A, a także klasy B, tak i w świecie nauki mamy wydawnictwa oscarowe, czyli listę filadelfijską, oraz bardzo szeroką paletę wydawnictw, w których próg akceptacji jest niżej ustawiony, ale teksty w nich zamieszczone wciąż, w mniejszym lub większym stopniu, spełniają kryteria naukowości. Bazując na własnym rozeznanii, twierdzę, że MDPI przestrzega w stopniu co najmniej minimalnym podstawowych procedur redakcyjnych. Artykuły przechodzą przez tzw. double peer review, uwagi recenzentów są uwzględniane, a stopień odrzucenia tekstów jest całkiem wysoki. W przypadku najbardziej kontrowersyjnej formy działalności MDPI, jakimi są Special Issues, kluczową rolę odgrywa osoba Editor in Chief. Jeżeli jest to osoba o uznanym autorytecie naukowym, przykładająca się do pracy redakcyjnej, to special issue firmowane przez MDPI ma szansę być cennym tekstem naukowym. Niemniej wydawanie special issues w tempie dziewięciu dziennie, jak w przypadku periodyku „Sustainability”, trudno uznać za fakt, nad którym można przejść

do porządku dziennego. Skąd MDPI bierze do tajemniczej dziedziny, jaką jest „sustainability”, tyle wartościowych dla rozwoju nauki artykułów, pozostaje tajemnicą redakcji.

Zadanie dla KEN

Firma MDPI dba o transparentność działań – czy w stopniu wystarczającym, to kwestia dyskusji. W raporcie rocznym MDPI można znaleźć m.in. informacje o procencie tekstów odrzuconych z ogólnej puli nadesłanych, średniej wartości opłaty za publikację, jak i strukturze kosztów ponoszonych przez MDPI, p. 2020 web. pdf (mdpi.com). Według MDPI wydawca ten spełnia wszystkie kryteria sformułowane przez the Fair Open Access Alliance, instytucję monitorującą działalność firm wydających publikacje naukowe w formule Open Access.

Podsumowując, nie wydaje mi się, że jednym tekstem, nawet umieszczonym w piśmie o niekwestionowanym prestiżu naukowym, można jednoznacznie zdyskredytować prawie pół miliona artykułów, a co najmniej tyle dotychczas opublikowano pod egidą MDPI, jako pseudonaukę. Należy także pamiętać, że rynek wydawnictw naukowych w formule Open Access jest wart kilka, jeśli nie kilkanaście miliardów dolarów. Niezwykle ekspansywna polityka biznesowa MDPI połączona z agresywnym marketingiem musiała spowodować reakcję pozostałych graczy, którzy poczuli, że są wypychani z rynku.

Głos M. Angeles Oviedo-Garcii w formie artykułu *Journal citation reports and the definition of a predatory journal: The case of the Multidisciplinary Digital Publishing Institute (MDPI)* na temat jakości tekstów ukazujących się pod szyldem MDPI nie może jednak zostać zignorowany. W kontekście danych opublikowanych w „Research Evaluation” należy się zastanowić, czy rzeczywiście wszystkie periodyki MDPI zasługują na tak wysoki ranking w wymiarze punktów ewaluacyjnych. Ale to już jest zadanie dla Komisji Ewaluacji Nauki przy Ministerstwie Edukacji i Nauki.

Prof. dr hab. inż. Edward Radosiński, Katedra Badań Operacyjnych i Inteligencji Biznesowej, Politechnika Wroclawska



rys. Sławomir Mękal

Współpraca sprzyja otwieraniu danych

Dopiero w ostatnich latach rozwój technologii umożliwił bezpieczne i relatywnie tanie przechowywanie dużych ilości danych, co pozwoliło na udostępnianie wszystkich danych eksperymentalnych, w tym również bardzo dużych objętościowo, surowych danych dyfrakcyjnych.

W październiku 2021 roku zakończyła się realizacja projektu „Dziedzinowe Repozytoria Otwartych Danych Badawczych”, w ramach którego powstały trzy repozytoria otwarte dla wszystkich badaczy i udostępnionych zostało ponad 600 zbiorów danych. Zarówno zadania zaplanowane w ramach projektu, jak i dodatkowe działania informacyjne uwzględniały międzyinstytucjonalną współpracę, której celem było jak najlepsze wykorzystanie serwisów i ich zasobów, zwiększanie świadomości w zakresie właściwego zarządzania danymi oraz wspieranie badaczy w otwartym udostępnianiu danych.

Nowe repozytoria danych badawczych

Już od ponad roku naukowcy w Polsce mogą korzystać z nowej wersji Repozytorium Otwartych Danych (RepOD), czyli repozytorium ogólnego przeznaczenia dostępnego wcześniej w wersji pilotażowej, a także z dwóch nowych serwisów dziedzinowych: Repozytorium Danych Społecznych (RDS) oraz repozytorium krystalograficznego Macromolecular Xtallography Raw Data Repository (MX-RDR). To w ramach prac nad repozytoriami dziedzinowymi współpraca z partnerami była kluczowa. Chodziło m.in. o wdrożenie rozwiązań, które z jednej strony uwzględniają światowe standardy i dobre praktyki w zakresie otwartego udostępniania danych, a z drugiej przystosowane są do specyfiki gromadzonych danych. Trwający ponad trzy lata projekt realizowany był przez dwie jednostki Uniwersytetu Warszawskiego – Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego (ICM) oraz Instytut Studiów Społecznych im. Prof. Roberta Zajonca (ISS) – we współpracy z Instytutem Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, zaangażowanym w opracowanie danych społecznych, oraz Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, odpowiedzialnym za repozytorium krystalograficzne.

Dane społeczne i ich drugie życie

Jak mówi Maciej Melon, kierujący zespołem w IFiS PAN, bezpośrednim efektem projektu jest opracowanie kilkuset zbiorów danych, które w znakomitej większości są dostępne na wolnych licencjach.

– Po drugie, powstała infrastruktura na światowym poziomie, która nie ma barier wejścia. Każdy badacz może z niej w łatwy sposób korzystać – dodaje Maciej Melon.

Opracowane w ramach projektu dane społeczne udostępniane są w dwóch kolekcjach Repozytorium Danych Społecznych: pierwsza gromadzi zasoby Archiwum Danych Jakościowych (ADJ) prowadzonego przez IFiS PAN, druga – dane zgromadzone przez Polskie Archiwum Danych Społecznych (PADS), wspólne przedsięwzięcie ISS UW i IFiS PAN. Celem obu inicjatyw jest gromadzenie, archiwizowanie i udostępnianie danych oraz dokumentacji z wyników badań społecznych realizowanych w Polsce i na świecie.

Udostępnione zasoby przygotowane są w sposób uwzględniający zasady FAIR, zgodnie z którymi dane powinny być łatwe do znalezienia (findable), dostępne (accessible), interoperacyjne (interoperable) i możliwe do ponownego wykorzystania (reusable).

– Punktem krytycznym archiwizacji danych jest możliwość ich ponownego użycia. Gwarancją tego jest pełna dokumentacja zbioru danych, która powinna być prowadzona na każdym etapie realizacji badania i obejmować także wszystkie operacje, jakim poddawany był produkt finalny w postaci zbioru – tłumaczy dr Tomasz Jerzyński, kierownik Ośrodka Badań Socjologicznych w ISS. – Już na etapie planowania badania należy ustalić: strukturę zbioru, konwencję nazewnictwa, sposoby kontroli spójności danych, sposób przygotowania książki kodów, zasady tworzenia zmiennych wtórnych, strukturę dokumentacji – dodaje.

Dr Marcin Zieliński, kierownik PADS, zauważa, że równie istotne jest dokumentowanie kontekstu wytworzenia danych.

– Niejednokrotnie bowiem, szczególnie w przypadku nauk społecznych, to kontekst badania definiuje pozyskane rezultaty, a bez niego trudno wyobrazić sobie interpretację choćby najlepiej opracowanych danych.

Dlatego dane badawcze udostępniane są w RDS wraz z dokumentacją oraz opatrzone bogatymi, dostosowanymi do dyscypliny metadanymi, które ułatwiają wyszukiwanie interesujących zasobów.

– Co istotne, metadane wykorzystywane w RDS są zgodne z międzynarodowym standardem Data Documentation Initiative (DDI). W przyszłości zatem dane z polskich badań uzyskają należną im międzynarodową widoczność – dodaje dr Zieliński.

Maciej Melon podkreśla, że dane mogą zyskać drugie życie po uwolnieniu od kontekstu ich powstania. Inni badacze mogą spojrzeć na nie w nowy sposób, także z perspektywy innej dyscypliny, np. wywiady socjologiczne mogą stać się źródłem dla historyka.

– Możliwe są też rewizyty badawcze, to jest powrót do społeczności (rzadziej – konkretnych osób) badanych kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu, by dowiedzieć się, czy i jakie zaszły w tym czasie zmiany, a przy okazji być może zadać nowe pytania – dodaje dr Danuta Życzyńska-Ciołek, zaangażowana w projekt członkini zespołu ADJ IFiS PAN. – Osobną kwestią jest możliwość wykorzystania zarchiwizowanych danych w dydaktyce – przykładowo, studenci lub doktoranci mogą na ich podstawie uczyć się kodować, analizować, a po części i prowadzić jakościowe wywiady socjologiczne.

Dr Tomasz Jerzyński również zwraca uwagę na możliwość przeprowadzenia nowych analiz z wykorzystaniem danych zastanych, dodając, że z jednej strony może to pozwolić na uniknięcie powtarzania badań, a z drugiej na ich wzbogacenie.

– Często jest też tak, że badacze ograniczają stawiane przez siebie hipotezy do celów, jakie stawiali sobie, projektując badanie. Zastosowanie istniejących zbiorów danych może być znacznie szersze. Udostępnienie danych osobom niezwiązanym otwiera drogę do nowych odkryć i weryfikacji hipotez innych niż pierwotnie stawiane za cel badania – dodaje badacz.

Nowe rozwiązania i kompetencje

Z Repozytorium Danych Społecznych korzystać mogą także naukowcy z innych instytucji, niezaangażowanych w realizację projektu. Repozytorium umożliwi udostępnianie danych w sposób uwzględniający zasady FAIR i dobre praktyki komunikacji naukowej.

– Każdy zbiór uzyskuje numer DOI i w automatyczny sposób stworzony jest wzór cytowania, co ułatwia przywoływanie zbiorów – wraz z nazwiskami ich autorów – w publikacjach naukowych. Ponadto, dzięki szkoleniom zorganizowanym w ramach projektu, w których wzięło udział kilkuset badaczy społecznych, rośnie w środowisku wiedza na temat pożądanych sposobów postępowania z danymi badawczymi – podkreśla dr Danuta Życzyńska-Ciołek.

Szkolenia oraz działania promocyjne były ważnym elementem projektu. Od początku organizowane były szkolenia

Rys. Sławomir Makal



z zarządzania danymi badawczymi, które cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem. Od 2021 roku oferta szkoleniowa uzupełniona została o webinaria na temat korzystania z repozytoriów oraz webinaria dziedzinowe. Badacze i specjaliści ds. archiwizacji z IFiS PAN oraz ISS UW podkreślali specyfikę danych społecznych, w szczególności etycznych zobowiązań badaczy wobec osób badanych, problem anonimizacji i identyfikacji osób badanych czy uzyskania odpowiednich zgód.

– Przede wszystkim warto już na etapie planowania projektu badawczego założyć, że dane będą w przyszłości udostępniane. Badania jakościowe to najczęściej wywiady z konkretnymi ludźmi. Osoby, z którymi przeprowadza się wywiady, muszą wiedzieć o przyszłym udostępnieniu danych i udzielić na to zgody. Odrębną kwestią jest zakres takiej zgody, który możemy dostosować do okoliczności – zaznacza Maciej Melon.

Dr Marcin Zieliński rozwija temat zagadnień etycznych:

– Badacze, szczególnie z obszaru nauk społecznych, obcując z danymi o ludziach, podlegają różnym regulacjom prawnym i etycznym, których głównym i wspólnym celem jest ochrona tych ludzi przed nieuprawnionym wykorzystaniem informacji, które są o nich zbierane, a nawet częstokroć tych, które sami o sobie podają. Wiele informacji ma charakter wrażliwy, dotyczą życia prywatnego, bywają skrywane przed otoczeniem, wykorzystanie niektórych mogłoby się wiązać z naruszeniem nie tylko prywatności, ale również bezpieczeństwa.

Problemy te poruszane są w rozmaitych kodeksach obowiązujących badaczy. Równie istotną kwestią jest sam proces anonimizacji, która – wedle Zielińskiego – jest najsłabiej chyba opisanym i opracowanym zagadnieniem archiwistycznym, a do jej przeprowadzenia potrzebne jest duże doświadczenie pracy z danymi.

Otwarte dane eksperymentalne

Macromolecular Xtallography Raw Data Repository MX-RDR, drugie repozytorium dziedzinowe, przeznaczone jest do przechowywania i udostępniania surowych danych dyfrakcyjnych o kryształach makromolekuł.

– Krystalografia jest nauką eksperymentalną i wszystkie dane związane z eksperymentem są bardzo istotne. Niestety przez wiele lat w krystalograficznych bazach danych przechowywane były tylko ostateczne rezultaty badań. Od roku 2008 baza Protein Data Bank (PDB) wprowadziła obowiązek depozytu przetworzonych danych eksperymentalnych (o objętości kilku MB). Dopiero w ostatnich latach rozwój technologii umożliwił bezpieczne i relatywnie tanie przechowywanie dużych ilości danych, co pozwoliło na udostępnianie wszystkich danych eksperymentalnych, w tym również bardzo dużych objętościowo (od kilku do kilkudziesięciu GB) surowych danych dyfrakcyjnych. Obecnie duża część tych danych jest przechowywana i udostępniana w sposób otwarty – podkreśla dr hab. Mirosław Gilski, prof. UAM, kierujący zespołem projektowym w UAM. – Rejestracja surowych danych dyfrakcyjnych w krystalografii jest ostatnim etapem eksperymentalnym, wszystkie kolejne kroki i obliczenia są oparte na tych danych, a ostateczny model cząsteczki jest interpretacją wyników tych obliczeń. Udostępnienie tego typu danych jest bardzo ważne, ponieważ ponowne przetworzenie i ich interpretacja (np. za pomocą nowszych, udoskonalonych wersji programów obliczeniowych) może doprowadzić do uzyskania lepszej jakości wyników.

Prace nad serwisem obejmowały m.in. opracowanie schematu metadanych oraz modułu automatycznej analizy.

– Wyniki automatycznego procesowania danych dyfrakcyjnych umieszczone są w repozytorium jako dodatkowa informacja pozwalająca oszacować poprawność analizy wykonanej przez autora depozytu. Jeśli obie analizy różnią się znacząco, jest to sygnał dla użytkowników (jak również dla autora), że należy ponownie sprawdzić poprawność procesowania danych – tłumaczy prof. Gilski.

Choć repozytorium MX-RDR działa od niedawna, znajdują się już w nim dane badaczek i badaczy z kilku instytucji naukowych w Polsce, takich jak instytuty i centra naukowe Polskiej Akademii Nauk (Instytut Chemii Bioorganicznej w Poznaniu, Instytut Chemii Organicznej w Warszawie czy Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych w Łodzi), uniwersytety (Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet w Białymstoku) oraz Międzynarodowy Instytut Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie.

Kolekcje instytucjonalne

Rozwój repozytoriów dziedzinowych nie był jedynym obszarem, który pozwolił na rozpoczęcie współpracy z innymi instytucjami. Oferta Repozytorium Otwartych Danych kierowana jest nie tylko do indywidualnych badaczy, ale również do uczelni i instytutów naukowych, które mogą założyć w repozytorium własne kolekcje.

– Instytucje naukowe zyskują możliwość uporządkowanego przechowywania i udostępniania danych wytwarzanych w ramach prowadzonych przez ich pracowników badań, bez konieczności ponoszenia kosztów budowy i utrzymania własnej infrastruktury – zauważa Jakub Szprot, kierownik projektu.

Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego zawarło już piętnaście porozumień z uniwersytetami oraz instytutami badawczymi, które zakładają w RepOD swoje kolekcje.

– ICM UW od wielu lat specjalizuje się w tworzeniu i rozwoju systemów służących udostępnianiu publikacji i danych naukowych, dzięki czemu polskie uczelnie i instytuty zyskują dostęp do rozwiązania zgodnego z europejskimi i światowymi standardami. Umieszczenie danych pochodzących z wielu instytucji w jednym repozytorium zwiększa szanse na ich odnalezienie i wykorzystanie przez użytkowników – dodaje Szprot.

Kolekcje instytucjonalne są także okazją do rozwijania współpracy międzyinstytucjonalnej.

– Polityki instytucjonalne, rozwój infrastruktury, wymiana dobrych praktyk i wypracowywanie standardów, edukacja, data stewardship – we wszystkich tych kwestiach instytucje naukowe w Polsce mogą i powinny ze sobą współpracować. Z jednej strony pomogłoby to badaczom odnaleźć się w nowym środowisku, z drugiej zaś umożliwiłoby wykorzystanie otwartości danych do systemowego wzmocnienia uprawianej w Polsce nauki – mówi Jakub Szprot.

Jest to szczególnie ważne w kontekście zmian, jakie obserwować można w nauce i komunikacji naukowej, zarówno w Polsce, jak i w innych krajach europejskich, m.in. polityk otwartości przyjmowanych przez instytucje finansujące i prowadzące badania naukowe czy wdrażanej właśnie dyrektywy o otwartych danych i ponownym wykorzystaniu informacji sektora publicznego.

Natalia Gruenpeter pracuje w zespole Platformy Otwartej Nauki działającej w Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego. Koordynuje działania Krajowego Biura Otwartego Dostępu OpenAIRE; w projekcie Dziedziny Repozytoria Otwartych Danych Badawczych odpowiada za organizację szkoleń, komunikację i promocję.

Zbigniew Drozdowicz

Być recenzentem

Niejednokrotnie do kierowanego przeze mnie wydawnictwa trafiały recenzje monografii, które charakteryzowały się nie tylko znaczną lapidarnością, ale także ogólnikowością, a jeśli już pojawiały się w nich krytyczne uwagi, to dotyczyły kwestii drugorzędnych lub wręcz marginalnych.

Życie akademickie dostarcza tak wielu okazji do grania roli recenzenta, że mało który akademik w niej nie występował. Rzecz jasna jednym wychodzi ona lepiej, innym nieco gorzej, a jeszcze innym tak, że pojawia się pytanie: kto i po co powierzył im te role? Takie recenzje bowiem więcej mówią o brakach w kompetencjach recenzenta niż o wartości opiniowanych osiągnięć. Są one jednak niejednokrotnie traktowane poważnie i mają wpływ na sytuacje zawodowe opiniowanych osób.

Procedury awansowe

Przez okres kilkudziesięciu lat funkcjonowania w środowisku akademickim byłem wielokrotnie opiniowany przez różnego rodzaju recenzentów i występowałem w roli recenzenta w różnego rodzaju procedurach awansowych i wydawniczych. Sporo się w tym czasie zmieniło, jeśli chodzi o zasady powoływania recenzentów i ich rozliczania z wykonania obowiązków. Miałbym poważne wątpliwości, jak odpowiedzieć na pytanie: czy obecne przepisy i sposoby ich egzekwowania doprowadziły do całkowitego wyeliminowania recenzentów niekompetentnych lub po prostu myślących głównie o tym, jak znaleźć niedoskonałości w osiągnięciach opiniowanych osób. Skłonny jestem jednak się zgodzić, że ograniczyły one w pewnej mierze środowiskową patologię, jaką było powoływanie recenzentów na tzw. zamówienie. W jednym przypadku oznaczało to oczekiwanie na recenzję zdecydowanie pozytywną, natomiast w innym na zdecydowanie negatywną. Wybór takich recenzentów nie był i nie jest specjalnie trudny, bowiem środowisko akademickie na ogół ma niezłe rozeznanie, u kogo odpowiednią recenzję można zamówić. Dzisiaj jest to o tyle trudniejsze, że przynajmniej w procedurach awansowych recenzenci są „z komputera”, jeśli tak można powiedzieć o ich losowaniu z grupy specjalistów w danej dyscyplinie. Jednak listę ktoś musi sporządzić. Co więcej, w niektórych dyscyplinach wysokiej klasy specjalistów jest tak niewielu, że do listy trzeba dopisać takich, których jedynie przy dość swobodnym traktowaniu kwalifikacji można na niej umieścić. Dobrze jeszcze, jeśli taki recenzent braki w kwalifikacjach próbuje przysłaniać ogólnikowymi wątpliwościami. Znacznie gorzej, gdy mimo tych braków formułuje jednoznacznie negatywne oceny.

Na rozstrzygnięcie procedury istotny wpływ mogą mieć, i niejednokrotnie mają, również opinie osób, które są jedynie członkami zespołu ds. stopnia lub naukowego tytułu. Mają one jednak uprawnienia do wyrażania opinii w dyskusjach nad pro-

cedowanym wnioskiem oraz udziału w głosowaniu o jego oddaleniu lub dopuszczeniu do dalszych etapów. Raczej nie oczekuje się od nich, że będą dublerami recenzentów i to takimi, którzy dokonają istotnej korekty ich opinii. To, że do takiej roli czasami pretendują, a nawet decydują się na napisanie negatywnej opinii o osiągnięciach kandydata do stopnia doktora habilitowanego lub profesorskiego tytułu, może być zarówno świadectwem błędu w sztuce powoływania recenzentów, jak i wyrazem ich pragnienia, aby wykorzystać nadarzącą się okazję (być może jedyną w życiu) i zabłysnąć na akademickiej scenie. Z takimi przypadkami nie spotykałem się wprawdzie bardzo często, ale jednak się to zdarzało.

Trzeba również powiedzieć, że osoby mające faktyczne kompetencje i uprawnienia do bycia recenzentem w takich procedurach stają niejednokrotnie przed hamletowskim pytaniem: być nim czy nie być? Ustawowe zapisy stanowią, że jest to akademicki obowiązek. Wprawdzie można odmówić jego wykonania, ale tylko w szczególnych przypadkach, gdy w grę wchodzi konflikt interesów, zależność służbowa lub powiązania rodzinne. Istnieje możliwość takiego interpretowania zapisów, że ów konflikt jest bardziej domniemany niż realny. Nie oznacza to jednak, że osoba wyznaczona na recenzenta może odmówić w sytuacji, gdy jedyne co może zrobić, to napisać recenzję jednoznacznie negatywną, bo przecież nie jest pozbawiona ludzkiego miłosierdzia, a przynajmniej nie chciałaby być „katem” tych, którzy nie potrafią sprostać wymaganiom obowiązującym kandydatów do stopni i tytułów naukowych. W szczególnie trudnej sytuacji są osoby powoływane na recenzentów w procedurach awansowych, które osobiście znają kandydata, a czasami nawet mają wobec niego do spłacenia dług wdzięczności. Jednak taka spłata nie powinna się wyrażać w przymykaniu oka na uchylbienia merytoryczne i warsztatowe, a tym bardziej zapożyczenia z prac innych uczonych, które nawet przy bardzo liberalnym potraktowaniu praw autorskich nie mogą uchodzić za osiągnięcia własne.

Procedury wydawnicze

Do wypowiedzenia się na temat recenzowania w tych procedurach uprawnia mnie nie tylko wielokrotne bycie recenzentem, ale także pełnienie od kilkudziesięciu lat obowiązków redaktora naczelnego wydawnictwa publikującego recenzowane monografie naukowe (znajduje się ono na ministerialnej liście wydawnictw) oraz pełnienie od kilku lat obowiązków

redaktora naczelnego dwóch czasopism naukowych (one również znajdują się na liście). Recenzowanie monografii i artykułów różni się nie tylko tym, że w pierwszym przypadku wymaga zwykle więcej pracy niż w drugim, ale także tym, że to pierwsze może być i z reguły jest płatne, natomiast drugie przynajmniej formalnie płatne być nie powinno. Robi to pewną różnicę w podejściu recenzentów. Jednak nie jest ona aż tak wyraźna, aby można było powiedzieć, że recenzje monografii są z reguły znacznie bardziej wnikliwe i merytoryczne niż recenzje artykułów. Niejednokrotnie do kierowanego przeze mnie wydawnictwa trafiały recenzje monografii, które charakteryzowały się nie tylko lapidarnością, ale także ogólnikowością, a jeśli już pojawiały się w nich krytyczne uwagi, to dotyczyły kwestii drugorzędnych lub wręcz marginalnych. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy jednak również recenzje bardzo obszerne i szczegółowe. Z reguły kończyły się one albo negatywną konkluzją, albo przynajmniej zaleceniem dokonania gruntownych poprawek.

W środowisku akademickim funkcjonuje przekonanie, że znacznie łatwiej napisać recenzję z pozytywną niż negatywną konkluzją. Ta druga bowiem wymaga jednak gruntowniejszego uzasadnienia. Coś jest na rzeczy. Jednak nie zawsze, bowiem spotykałem się również z recenzjami monografii, w których negatywna konkluzja nie miała gruntownego uzasadnienia i wyglądała na to, że jej autor nie zadał sobie trudu uważnego zapoznania się z treścią. Być może tylko przekartkował albo nawet ograniczył się do zapoznania się jedynie ze spisem treści i fragmentami, które go co nieco zainteresowały, a także z wykazem przywoływanych w bibliografii pozycji. Negatywną ocenę takiej monografii można w jakiejś mierze tłumaczyć tym, że recenzent nie znalazł na liście żadnej swojej publikacji. W końcu nie ma niczego złego w tym, że chce się być docenianym lub przynajmniej przywoływanym w publikacjach tak często, aby wskaźniki wpływu były wysokie. Kwestią dyskusyjną jest jednak ich traktowanie jako – jeśli nawet nie jedyny, to przynajmniej najważniejszy – wskaźnik pozycji uczonego. Natomiast jest kwestią bezdyskusyjną, czy urażona ambicja recenzenta nie może stanowić wystarczającego usprawiedliwienia dla negatywnej opinii o wartości naukowej recenzowanej monografii.

Problem ten pojawia się również, i to na większą skalę, w recenzowaniu artykułów naukowych. Teoretycznie gruntowne zapoznanie się z ich treścią oraz z zapleczem warsztatowym nie wymaga aż tak znaczącego nakładu pracy, aby nie chcieli się jej podjąć specjaliści w danej dyscyplinie lub dziedzinie i wykonać ją ze starannością, która nie będzie budziła zastrzeżeń autorów i redakcji czasopism, które zwróciły się do nich z prośbą o napisanie recenzji. W praktyce jednak bardzo różnie bywa z tą starannością. Rzecz jasna zdarzają się recenzje artykułów, które mają nie tylko zaznaczone w formularzu recenzyjnym odpowiednie części składowe recenzji (na „tak” lub „nie”), ale także wypełnione pole pod nazwą: „uzasadnienie oceny” lub „uwagi recenzenta”. Zdarzają się również takie, które mają jedynie zaznaczone to, co wymaga postawienia krzyżyka. Co więcej, także w samym tekście nie można znaleźć żadnego śladu pracy recenzenta. W takiej sytuacji można mieć uzasadnione wątpliwości, czy faktycznie zadał on sobie trud zapoznania się z pracą. Trudno bowiem uwierzyć w to, że otrzymał do oceny tekst pod każdym względem doskonały. Przynajmniej w przypadku czasopism, których jestem redaktorem naczelnym, takiej recenzji nie uznajemy za wystarczającą podstawę przyjęcia artykułu do druku i rezygnujemy z „usług” takich recenzentów.

Sporym problemem są również recenzenci, którzy najwyraźniej mieli zły dzień albo po prostu mają żal do autorów recenzowanych tekstów. Rzecz jasna, wysyłane do recen-

zji teksty powinny być, i zwykle są, anonimowane. Jeśli jednak autorami są osoby o szeroko znanych zainteresowaniach i dokonaniach naukowych, to recenzenci bez większego trudu mogą ich rozpoznać, również ci, którzy napisanie negatywnej recenzji traktują jako dobrą okazję do rewanzu. Niestety redaktorom czasopism mało kiedy znane są okoliczności, które sprawiły pojawienie się tych „gorzkich żali”. Jeśli by je bowiem znali, to zapewne nie dawaliby okazji do „odegrania” się na autorach recenzowanych tekstów. Odgrywanie się w recenzjach wydawniczych wygląda różnie. Czasami recenzent zadaje sobie spory trud, aby wykazać niekompetencje autora tekstu. Bywa jednak również, że zdobywa się jedynie na trud poszukania w nim istotnych uchybień, a gdy ich nie znajduje, traktuje marginalia (takie np. jak złe postawiony przecinek lub użycie terminu, którego nie rozumie) za wystarczającą podstawę do napisania, że w artykule występują błędy językowe, a autor nie potrafi poprawnie posługiwać się nomenklaturą naukową (z przypadkiem takiej „recenzji” miałem do czynienia).

Samozwańczy „recenzenci”

Raczej nie powinno ulegać wątpliwości, że nikt nie rodzi się recenzentem doskonałym i potrzeba sporo czasu i wysiłku, aby taki poziom osiągnąć. Nie ułatwia tego funkcjonowanie w środowisku akademickim „recenzentów”, którzy sami napisali sobie uprawnienia do wyrażania opinii o osiągnięciach ich naukowego otoczenia, i starają się ją wyrażać przy różnych okazjach. Występują oni w różnych grupach wiekowych i na różnych szczeblach akademickich hierarchii. Dobrze jeszcze, jeśli młodzi i „nieopierzeni” naukowo doktorzy wygłaszają takie opinie o swoich rówolatkach. Problem jednak w tym, że niejednokrotnie się do tego nie ograniczają. Czasami jest to powielanie opinii zasłyszanych od ich naukowych przełożonych i opiekunów, a czasami ich własne zdanie – tyle że nieoparte odpowiednimi kwalifikacjami ani nawet gruntowną znajomością książki lub artykułu, który oceniają. Im wyżej sytuują się tacy samozwańczy „recenzenci” w akademickiej hierarchii, tym ich opinie mogą być, i bywają, poważniej traktowane. Czasami posiadają oni nawet spore kwalifikacje, tyle że nie zawsze w obszarze badań, w którym specjalizują się oceniając przez nich osoby. Jeśli jeszcze do tego dochodzą środowiskowe animozje (a przecież nie sposób ich całkowicie uniknąć), to tacy „recenzenci” nie skalają się wzięciem do ręki tego, co napisali ich oponenci. Oni po prostu wiedzą, że tych ostatnich nie stać na znaczące osiągnięcia naukowe i przedstawienie ich w poważnej monografii lub naukowym artykule, a jeśli już coś takiego opublikowali, to albo było to mało znaczące wydawnictwo, albo też skorzystali z daleko idącej wyrozumiałości recenzentów.

W swoim stosunkowo długim funkcjonowaniu w środowisku akademickim z takimi samozwańczymi „recenzentami” miałem do czynienia wielokrotnie. Skrajnym przypadkiem był „recenzent”, który wprawdzie miał status samodzielnego pracownika naukowego, ale lista jego osiągnięć publikacyjnych była zdumiewająco krótka (jak na wieloletnie funkcjonowanie na uczelni). O tych, u których była ona długa i problemowo zróżnicowana, wygłaszał opinie, że wprawdzie wiele publikują, ale w gruncie rzeczy nie mają niczego sensownego do powiedzenia. Nie trafiało do jego przekonania, że w zamieszczonym na stronie internetowej mojego wydziału wykazie osiągnięć publikacyjnych pracowników naukowych jego nazwisko się nie pojawiało. Dzisiaj taki wykaz znajduje się na stronie głównej mojej uczelni. Rzecz jasna nie ułatwia to życia tego rodzaju „recenzentom”. Jednak oczekiwanie, że przestaną oni się pojawiać i wyrażać osobiste „za” lub „przeciw”, byłoby wyrazem nadmiernego optymizmu.

Uczelnie 2020

Po raz pierwszy od 15 lat krzywa obrazująca liczbę studentów kształcących się na polskich uczelniach zmieniła kierunek. Jak wynika z najnowszego raportu Głównego Urzędu Statystycznego w 349 spośród 368 uczelni ujętych w systemie POL-on na koniec 2020 roku studiowało 1 218 tys. osób. To o 1,2% więcej niż rok wcześniej. Czy to zapowiedź stałego odwrotu od tendencji spadkowej, czy tylko jednorazowe wahnięcie, dowiemy się, gdy z uczelni napłyną ostateczne dane o tegorocznej rekrutacji.

Efekt zahamowania trwającego od półtorej dekady niekorzystnego trendu udało się uzyskać głównie dzięki nowo przyjętym na studia, których z roku na rok przybywa. W 2018 r. było ich 316,4 tys., w 2019 – 318,5 tys., a w 2020 – 326,7 tys. Swoją cegiełkę do wzrostu dokładają regularnie od lat obcokrajowcy. Jest ich już 84,7 tys., co oznacza wzrost r/r o 3%. Stanowią oni 7% ogółu studentów w Polsce. W tej grupie najliczniejsi są Ukraińcy (38,5 tys.), a w dalszej kolejności: Białorusini (9,7 tys.) i Hindusi (2,6 tys.). Do ścisłej czołówki dołączyli Turcy (1,9 tys.), Rosjanie i Chińczycy (po 1,6 tys.). Wprawdzie najwięcej cudzoziemców pochodzi z innych europejskich krajów (62 tys.), ale to dynamika napływu studentów z Afryki robi wrażenie – w ujęciu r/r ich liczebność zwiększyła się z 3,2 tys. do 5,7 tys. osób.

Na stałym poziomie utrzymuje się odsetek studentów z niepełnosprawnościami wśród ogółu uczących się w szkołach wyższych (1,7%), choć liczbowo było ich mniej – 20,2 tys., co oznacza spadek o 4,7% w stosunku do roku 2019/20.

Studenci i absolwenci

Liderem zestawienia największych uczelni pod względem liczby studentów pozostaje Uniwersytet Warszawski (40,4 tys.). Za nim, podobnie jak rok temu, Uniwersytet Jagielloński (35,7 tys.) i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (35,1 tys.), który z czołówki zyskał najwięcej żaków – aż o 1,4 tys. Na drugim końcu szali znajduje się Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (20,7 tys.), której ubyło 1,3 tys. studiujących. Ponadto w pierwszej dziesiątce są jeszcze: Politechnika Warszawska (24,9 tys.), Uniwersytet Łódzki (24,3 tys.), Politechnika Wrocławska (23,6 tys.), Uniwersytet Wrocławski (23,1 tys.), Uniwersytet Gdański (21,6 tys.) i Uniwersytet Śląski (21 tys.).

Najwięcej osób decyduje się kontynuować naukę w uczelniach publicznych (69,9%). Z bogatego wachlarza kierunków najczęściej wybierane są te związane z biznesem i administracją (18,1% – tu także jest najwięcej obcokrajowców), medyczne (11,3%), społeczne (10,3%) oraz inżynierijno-techniczne (8,7%). Kierunki związane z opieką społeczną, pedagogiką oraz językami były z kolei najchętniej wybierane przez kobiety, które od lat niezmiennie przeważają wśród ogółu studenckiej braci (jest ich 58%). Dwie trzecie żaków kształciło się w trybie stacjonarnym.

Nie udało się wyhamować spadku liczby absolwentów, a co więcej krzywa zapikowała do rekordowo niskiego poziomu – 293,4 tys. To o 6,5% mniej w porównaniu z rokiem wcześniejszym. Większość (192 tys.) uzyskała dyplom potwierdzający ukończenie studiów stacjonarnych, a 3/4 to absolwenci uczelni publicznych. Więcej niż połowa ukończyła studia pierwszego stopnia: 110,3 tys. z tytułem licencjata, 50 tys. – inżyniera. Blisko 47 tys. absolwentów z 2020 r. kształciło się na kierunkach związanych z techniką, przemysłem, budownictwem.

Studia podyplomowe, doktoranci

Na studiach podyplomowych uczyło się 149,6 tys. osób, a więc o 2,6 tys. mniej niż rok wcześniej. Już drugi rok dwutorowo odbywa się kształcenie doktorantów: na studiach doktoranckich albo w szkołach doktorskich, powołanych ustawą Prawo o szkolnictwie wyż-

szym i nauce z 20 lipca 2018 r. Ta pierwsza formuła systematycznie jest wygaszana. W efekcie liczba słuchaczy studiów doktoranckich prowadzonych przez uczelnie i instytuty naukowe oraz Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego spadła w ciągu roku z 29,8 tys. do 22,9 tys. Natomiast w nowej formule szkół doktorskich uczestniczy 8,3 tys. doktorantów, a więc prawie 120% więcej niż rok wcześniej. W ub.r. stopień naukowy doktora uzyskało 2,4 tys. osób.

GUS informuje też o pomocy materialnej. W analizowanym roku akademickim otrzymało ją 180,4 tys. studentów, tj. o 10,6% mniej niż rok wcześniej. Najwięcej było stypendiów socjalnych (79,4 tys.). Świadczenia pomocy materialnej otrzymało też 4,6 tys. doktorantów, z czego ponad 2/3 – stypendium rektorskie.

Kadra nauczycielska

O niewielu wskaźnikach z raportu GUS można powiedzieć, że są tak stabilne jak poziom zatrudnienia. Na koniec 2020 roku pracowało 93,2 tys. nauczycieli akademickich. Oznacza to, że na jednego przypadało ponad 13 studentów. W strukturze zatrudnionych dominują adiunkci (40 tys.), zaś więcej niż co czwarty pracownik posiada tytuł profesora (26,6 tys.). W ub.r. grono profesorów powiększyło się o 889 nowych członków (w tym 327 kobiet), z czego 785 nominacji przypadło właśnie pracownikom uczelni.

Wśród kadry nieznaczną przewagę mają mężczyźni (53%), przy czym na stanowiskach profesorskich stanowią aż 2/3 ogółu. Kobiet jest z kolei więcej wśród asystentów (66%). Przytłaczająca większość akademików (90%) pracuje w publicznych szkołach wyższych.

Sytuacja finansowa

Z danych GUS wynika, że pod względem finansowym rok 2020 nie był dla uczelni jednakowo łaskawy. W szkołach niepublicznych wynik finansowy netto wyniósł 326 mln zł i był dwukrotnie wyższy w stosunku do uzyskanego rok wcześniej. Co więcej, od pięciu lat wskaźnik ten nieprzerwanie rośnie. Z kolei uczelnie niepubliczne (o sytuacji uniwersytetów pisał w FA 9 prof. Mirosław Gornowicz) zanotowały wynik gorszy o blisko połowę (949,2 mln) niż w 2019 r. Pociężające może być to, że ten poziom jest i tak o 1/3 wyższy niż w latach 2017–2018.

Przychody ogółem wyniosły 27,4 mld zł (w tym 24,4 mld zł w uczelniach publicznych), tj. o 2,5% mniej niż w poprzednim roku. Głównym źródłem podstawowej działalności operacyjnej uczelni publicznych była subwencja na utrzymanie potencjału dydaktycznego i badawczego (70,4%). Ponadto 7,6% stanowiły opłaty za świadczone usługi edukacyjne, 4,9% – dotacje z budżetu państwa, 2,7% – środki na realizację projektów finansowanych z Narodowego Centrum Nauki, 1,4% – środki z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, a 13,1% – inne przychody. W uczelniach niepublicznych gros przychodów (76,5%) stanowiły opłaty za świadczone usługi edukacyjne.

Koszty ogółem kształtowały się na poziomie 26,1 mld zł (w tym 23,4 mld zł w uczelniach publicznych). Przeciętne koszty kształcenia w przeliczeniu na jednego studenta wyniosły 23,1 tys. zł, o 1,2% więcej niż w poprzednim roku.

Udział wydatków publicznych na szkolnictwo wyższe w PKB nie przekroczył 1%. Podobnie jest w Czechach. Dla porównania więcej na ten sektor przeznaczają: Norwegia (1,8%), Austria (1,6%), Dania i Finlandia (po 1,5%), Szwecja (1,4%), Estonia i Belgia (po 1,3%), Holandia i Francja (po 1,2%), Niemcy (1,1%).

MK

Udowodnij, że jesteś warta tyle co kolega

0 kobietach w naukach technicznych

Patrząc na liczne przykłady, widzimy, że kobiety chcą i potrafią być „osobami technicznymi”, ale czy w Polsce zawsze mogą?

„Biedna Hypatia, z której zdarli
Suknie na placu Aleksandrii”

(Czesław Miłosz)

Choć dostęp kobiet do pełnienia wyższych funkcji na uczelniach technicznych ulega poprawie, stanowiska związane z organizacją nauki i prowadzeniem badań są w Polsce zwyczajowo obsadzone przez mężczyzn. Stereotyp dotyczący „męskich” kierunków studiów ma realny wpływ na wybór przez młode kobiety kierunku kształcenia i przyszłej kariery, jak również rzutuje na postrzeganie kobiet-badaczek w środowisku nauk technicznych. Nad zmianą tego nastawienia uczelnie powinny intensywnie pracować.

Poniższy tekst stanowi zbiór kilku spostrzeżeń (czasami odległych) i ma w zamyśle autorów pobudzić środowisko badaczy z obszaru nauk technicznych (a może i innych?) do odświeżenia i nierzadko zweryfikowania poglądów na temat udziału kobiet w prowadzeniu badań w dyscyplinach nauk inżynieryjno-technicznych, takich jak inżynieria mechaniczna czy inżynieria materiałowa, tradycyjnie zdominowanych przez mężczyzn. Temat jest bardzo obszerny i wielowątkowy, a także nie jest „czarno-biały”. Naszym zamiarem jest nie tyle jego przedstawienie w postaci dogłębnej analizy (dotychczas nie udało się to całemu sztabom psychologów społecznych), co zaakcentowanie wybranych kwestii związanych z udziałem kobiet w środowisku, z którym jesteśmy związani zawodowo.

Do napisania niniejszego artykułu skłoniły nas wieloletnie obserwacje prowadzone w społeczności nauk technicznych (i po części nauk ścisłych) związane z pozycją kobiet. Problematykę równouprawnienia kobiet w nauce powinni w naszym odczuciu naświetlać mężczyźni, gdyż kobiety piszące o sobie i przedstawiające trudności związane z własnym rozwojem zawodowym, w tym naukowym, postrzegane są w najlepszym razie jako feministki. Poczuliśmy się w obowiązku poruszyć taki temat na łamach poczytnego miesięcznika, gdyż mamy nadzieję, że będzie on przyczynkiem do szerszej dyskusji na temat wyrównywania praw i możliwości rozwojowych kobiet

w związku z prowadzonymi przez nie badaniami naukowymi. Szczególnie że osiągają one światowe sukcesy naukowe, co cyklicznie naświetlają Redakcja i autorzy FA. Tylko ustawiczna, publiczna debata oraz ujawnianie patologicznych sytuacji może w naszym odczuciu skłonić społeczność akademicką do innego postrzegania miejsca i roli kobiet oraz do zmian możliwie szybkich i odpowiadających kierunkom rozwoju współczesnej nauki i inżynierii. Sposób spełnienia wymagań dotyczących równouprawnienia jest bezpośrednio wskazywany we wnioskach o granty badawcze, w tym tych z „najwyższej półki”, a mianowicie finansowanych przez Komisję Europejską. Jednak, jak wiadomo, prawo nigdy nie idzie krok w krok za realnymi potrzebami i zwykle trzeba odczekać, zanim zmiany społeczne zaistnieją na dobre.

Dobrze oddaje to przykład Marii Skłodowskiej-Curie, pierwszej w historii kobiety, która otrzymała Nagrodę Nobla i jak dotąd jedynej, która zdobyła tę nagrodę dwukrotnie – w 1903 i 1911 roku. Jednak nawet dwa Noble okazały się niewystarczającym wyznacznikiem jej wartości naukowej, aby ta wybitna badaczka została przyjęta w poczet paryskiej Akademii Nauk. Maria Skłodowska-Curie przedstawiła swoją kandydaturę do tego gremium w 1911 roku, a przyjęto ją dopiero po zakończeniu I wojny światowej (patrz: Ulmer A., *Doktorzy honoris causa Politechniki Warszawskiej*, Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, Warszawa 2015). Jest to bardzo jaskrawy obraz zmaskulinizowanego, hermetycznego i konserwatywnego świata nauki sprzed 100 lat.

Dobry kierunek zmian

Obecnie sytuacja istotnie się poprawiła. Jest XXI wiek, w naszym społeczeństwie zachodzą zmiany, które widoczne są również w udziale kobiet w środowisku naukowym. Dotyczy to zarówno pracy badawczej, jak i zarządczej, związanej z administrowaniem i kierowaniem jednostkami naukowymi.

Możemy to dostrzec, analizując liczbę kobiet pośród rektorów uczelni. W kadencji 2016-2020 na 93 uczelnie nadzorowane przez MNiSW ich liczba wynosiła dziewięć i finalnie

doszła do piętnastu (patrz: <https://www.forbes.pl/kariera/czas-rektorek-na-polskich-uczelniach-az-22-dwie-kobiety-pelnia-funkcje-rektorskie/yqpe45b>, dostęp: 06.06.2021). Natomiast w obecnej kadencji (2020-2024) liczba kobiet – rektorów wzrosła do 22, w tym na uwagę zasługuje fakt, że kobiety są rektorami dwóch uniwersytetów (UAM i UŁ) oraz dwóch politechnik (PK i PB). Jest to dobry kierunek zmian, który dzięki poprawie dostępu kobiet do wyższych funkcji może pozytywnie wpłynąć na wzrost jakości nauczania i poziomu badań prowadzonych w polskich uczelniach, a pośrednio na poprawę samooceny studentek, które potencjalnie chciałyby podjąć kształcenie na „męskich” kierunkach studiów.

Faktem jest, że stanowiska związane z organizacją nauki i prowadzonych badań są zwyczajowo obsadzone przez mężczyzn. Różnicę szczególnie widać w udziale płci w naukach inżynieryjno-technicznych. Wszakże od najmłodszych lat jesteśmy oswajani z tym, że chłopcy bawią się samochodami i koparkami, a dziewczynki garnkami i lalkami. Nasuwa się tu pytanie, na ile przypisanie prawa do uprawiania nauk technicznych mężczyznom jest wynikiem braku potencjału kobiet do uzyskania określonego zawodu, a na ile leży ono w ogólnie przyjętych założeniach – schematach myślowych, które wykluczają kobiety spośród osób mogących zajmować się inżynierią.

Sięgając szczytów, czyli krajowych organów kolegialnych w obszarze nauk inżynieryjno-technicznych, trzeba z przykrością zauważyć, że kobieca reprezentacja w tych gremiach jest bardzo skromna. I tak, w obu kadencjach Rady Nauki przy MNiSW (2004–2010) w zespole nauk technicznych byli wyłącznie mężczyźni. Podobnie było w Sekcji Nauk Technicznych Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej ds. Kadr Naukowych (CKK) podczas pięciu kadencji w latach 1973–1990. Członkiniami jej następczyni, czyli Sekcji Nauk Technicznych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (CK), podczas dziewięciu kadencji w latach 1991–2020 były kolejno 3 kobiety (wśród 40 członków Sekcji) reprezentujące: transport (cztery kadencje), włókiennictwo (dwie kadencje) oraz architekturę i urbanistykę (jedna kadencja). W całym okresie istnienia CKK oraz CK członkami Sekcji Nauk Technicznych było łącznie 213 osób (przeważająca część wielokrotnie). A więc osobowo udział kobiet w wymienio-

nym gremium nie przekroczył 1,5% (patrz: Izdebski H., *Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułów (1991-2020)*, CKds-SiT, Warszawa 2020).

Od połowy 2020 roku awansami w nauce zajmuje się Rada Doskonałości Naukowej. W 27-osobowym składzie Zespołu Nauk Inżynieryjno-Technicznych jest 6 kobiet, co jest istotną poprawą ich parytetu w tym organie w stosunku do poprzednich komisji. Obecnie w Radzie Naukowej Narodowego Centrum Nauki jedna kobieta reprezentuje nauki inżynieryjno-techniczne. Niestety identyczna sytuacja jest w przypadku Rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Natomiast w Wydziale IV Nauk Technicznych PAN jest 36 członków rzeczywistych – sami mężczyźni oraz 33 członków korespondentów, a wśród nich 5 kobiet.

Zakorzenione w znacznej części społeczeństwa, także w społeczności akademickiej, stereotypy dotyczą społecznej roli kobiet i wyznaczania do pewnych działań przede wszystkim mężczyzn na zasadach panującego, niepisanego standardu. Staje się to bardzo widoczne, zwłaszcza w odniesieniu do prac badawczych prowadzonych przez kobiety na polu nauk inżynieryjno-technicznych. Kobiety powszechnie postrzegane są jako „osoby nietechniczne”.

Liczne przykłady

Ale czy tak jest? Weźmy „pod lupę” kilka przykładów. Polska wynalazczyni dr Marta Karczewicz w swojej pracy zawodowej poświęciła się rozwojowi technologii kompresji wideo. Przyczyniła się do opracowania wykorzystywanego w Internecie standardu Advanced Video Coding (AVC). Kolejną polską badaczką, o której pisało już „Forum Akademickie”, dr Olga Malinkiewicz, opracowała nowatorską metodę pozyskiwania perowskitów, które mogą zrewolucjonizować rozwój ogniw fotowoltaicznych. Z kolei dr hab. Grażyna Dąbrowska opracowała preparat bioaktywny, który może przyspieszyć nawet o 20% rozkład plastikowych materiałów zalegających na wysypiskach śmieci. Patrząc na te przykłady, widzimy, że kobiety chcą i potrafią być „osobami technicznymi”, ale czy w Polsce zawsze mogą?

Od szeregu lat na polskich uczelniach realizowane są akcje „Dziewczyny na Politechniki!” i „Dziewczyny do Ścisłych!”.



Fot. Stefan Ciechan

Przynoszą one pozytywny skutek i powoli sprawiają, że zmierzamy ku poprawie parytetów i stawianiu na to, co kto potrafi, nie zaś na to, jakiej jest płci. Pozostaje jednak na tym polu wciąż wiele do zrobienia, bo niezależnie od realnego osądu sytuacji bardzo silne uprzedzenia są motorem działań człowieka i niepożądanych zachowań w miejscu pracy.

W wielu uczelniach technicznych widać to dobitnie. Zgodnie z opracowaniem *Kobiety na politechnikach* (patrz: <https://radon.nauka.gov.pl/analizy/kobiety-na-politechnikach-2021>, dostęp: 15.06.2021), pomimo, że udział kobiet wśród studentów uczelni technicznych w 2020 roku wynosił 35%, to jest wiele kierunków nauczania, na których kobiety nie stanowiły więcej niż 10% wszystkich studentów, np.: mechanika i budowa maszyn 9%, mechatronika 9%, automatyka przemysłowa 9%, informatyka przemysłowa 8%, elektrotechnika 7%. Kobiety wybierają głównie kierunki nietechniczne jak kosmetologia, pedagogika czy architektura wnętrz. Większy odsetek kobiet występuje w niepublicznych szkołach wyższych oferujących kierunki techniczne. Największy udział studentek odnotowano na kierunkach: media kreatywne (36%) oraz zarządzanie informacją (35%). Ponadto coraz więcej kobiet wybiera kierunki określane jako nowotechnologiczne. Największą popularnością cieszą się inżynieria biomedyczna oraz bioinformatyka, gdzie udziały kobiet wynoszą odpowiednio 67% i 46%.

Z ciekawości sprawdziliśmy, jaki udział pośród studentów podobnych kierunków stanowią kobiety w uczelni, z którą jesteśmy związani – Akademii Morskiej w Szczecinie (AMS). To uczelnia stosunkowo mała, ale i specyficzna ze względu na specjalistyczny, związany z transportem morskim profil wielu kierunków studiów. Obecnie (rok akademicki 2020/21) uczelnia kształci na pięciu wydziałach na studiach I i II stopnia 535 kobiet spośród 2126 wszystkich studentów. A więc kobiety stanowią nieco ponad 25% wszystkich studentów. Czyli można stwierdzić, że jak na uczelnię techniczną nie jest źle. Jeszcze lepiej wygląda statystyka udziału kobiet w studiach o stosunkowo uniwersalnym charakterze. Przykładowo na Wydziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Transportu AMS udział kobiet wynosi 48%. Wzięliśmy tu pod uwagę studia I i II stopnia na kierunkach zarządzanie i inżynieria produkcji, transport oraz logistyka. Przyjrzyjmy się jednak wymienionym wcześniej kierunkom studiów, które są prowadzone w AMS na Wydziale Mechanicznym oraz na Wydziale Informatyki i Telekomunikacji, na których kobiety stanowią odpowiednio: mechanika i budowa maszyn 1,5% (4 osoby), mechatronika 3% (3 osoby), informatyka 15% (17 osób). Wymienione statystyki wynikają zapewne ze specyfiki tych kierunków jako przygotowujących do wykonywania stosunkowo wyspecjalizowanych i „tradycyjnie męskich” zawodów. Potwierdzeniem tej tezy może być fakt, że na innych, wcześniej wymienionych kierunkach „techniczno-ekonomicznych” udział kobiet wśród studentów jest znacznie większy. Widać, że kobiety wybierają kierunki studiów mieszczące się na granicy techniki i innych dziedzin wiedzy. Możliwe, że ulegają swoistej „indoktrynacji”, że niektóre kierunki są wybitnie „męskie” i wręcz nie wypada się nimi interesować. Nad zmianą tego nastawienia uczelnie powinny intensywnie pracować. Proces zmian ma charakter ewolucyjny, ale idzie w dobrym kierunku.

Powiedzmy trzy Noble

Interesujące jest również zagadnienie pojawienia się kobiet wśród studentów Wojskowej Akademii Technicznej, jedynej militarnej uczelni technicznej o profilu politechnicznym. Początkowo nastąpiło to na nowo uruchomionych zaocznych studiach cywilnych w 1998 roku, a w kilka lat później na studiach cywilnych stacjonarnych oraz na wojskowych jednoli-

tych studiach magisterskich. Zainteresowanie kobiet studiami w WAT rośnie z roku na rok, ale należy zaznaczyć, że ich starania o uzyskanie statusu podchorążego stały się realne dopiero w jakiś czas po przystąpieniu Polski do NATO (1999 r.). Wcześniej, mimo że ani zapisy zawarte w Konstytucji RP, ani w ustawie o służbie wojskowej nie wprowadzały ograniczeń wstępowania w szeregi armii z uwagi na płeć, to MON, a zwłaszcza generalicja, odmawiała (bezpodstawnie!) kobietom dostępu do uczelni wojskowych, chociaż chętnych było coraz więcej.

Obecnie w WAT jest nieco ponad 10 tys. studentów, w tym ok. 1900 kobiet (co czwarta na studiach wojskowych, ale na tę relację ma wpływ określone zapotrzebowanie ze strony MON), czyli kobiety stanowią ok. 19% ogółu studentów. W roku akademickim 2020/2021 przyjęto 3102 studentów, w tym 824 kobiety (26%). Najwięcej kobiet wybrało następujące kierunki studiów (na ogólną ich liczbę 25) – według malejącej popularności: biocybernetyka i inżynieria biomedyczna, logistyka, obronność państwa, chemia, zarządzanie, informatyka, biogospodarka, budownictwo oraz inżynieria materiałowa. Wybory te są więc zasadniczo zgodne z tendencją ogólnokrajową.

Statystyka liczby studentek na określonych kierunkach w naturalny sposób przekłada się na udział liczby kobiet w społeczności akademickiej, gdzie w obszarze nauk technicznych większość naukowców stanowią mężczyźni. Można zaryzykować twierdzenie, że mała liczba absolwentek takich kierunków studiów i jeszcze mniejszy ich odsetek pośród osób rozpoczynających karierę naukową zniekształca postrzeganie przez środowisko akademickie („klasycznie” męskie w omawianych tu dyscyplinach naukowych) realnej przyczyny technicznego stanu rzeczy. A mianowicie, gdy do środowiska nauk technicznych dołącza kobieta, jest ona często stereotypowo traktowana jako „słabsza intelektualnie”.

To samo dotyczy awansów kobiet-naukowców, które często są skutecznie hamowane, co jest oczywiście okupione wysiłkiem odwrotnie proporcjonalnym do intelektualnych możliwości „hamulcowych”. W polskim środowisku naukowym nierzadko zazdrość i brak umiejętności uszanowania dorobku innego badacza powoduje naturalną chęć do ograniczenia rozwoju konkurenta. Szczególnie jest to widoczne w sytuacji kobiet posiadających osiągnięcia znacznie przewyższające dorobek ich przelozonych.

Choć problematyka równouprawnienia jest obecna w debacie publicznej nie od dziś, należy zauważyć, że kobiety znajdują się wciąż w gorszym położeniu. Z lotu ptaka pięknie się to wszystko prezentuje, są specjalne programy dla kobiet, fora dyskusyjne, parytety, wyróżnienia. Kiedy jednak wziąć pod lupę niektóre katedry czy wręcz wydziały, okazuje się, że aby uzyskać zbliżony do mężczyzny szacunek środowiska akademickiego, wskazane byłoby przebić osiągnięcia Marii Skłodowskiej-Curie i zdobyć, powiedzmy, trzy Noble.

Na tym tle, a w kontekście naszych intencji jako autorów niniejszego artykułu, pojawia się nadzieja, że opisana sytuacja może ulec w pewnej mierze poprawie wówczas, gdy więcej kobiet uzyska wykształcenie (średnie, wyższe) techniczne. Wyrażamy nadzieję, że duże i wciąż rosnące zapotrzebowanie rynku na specjalistów o kwalifikacjach inżynierskich może niwelować trudności kobiet z uzyskaniem odpowiedniego wykształcenia i związanego z tym profilem zatrudnienia.

Prof. dr hab. inż. Leszek Chybowski, pracownik Katedry Podstaw Budowy Maszyn i Materiałoznawstwa Akademii Morskiej w Szczecinie

Prof. dr hab. inż. Wojciech Przetakiewicz, emerytowany profesor Akademii Morskiej w Szczecinie i Wojskowej Akademii Technicznej.

Marcin Wójcik

Ludzka twarz geografii

Geografia człowieka musi podejmować dialog i dyskusję z naukami społecznymi, a tym samym odnosić się do przemian orientacji, koncepcji filozoficznych i teoretycznych. Decyduje to o dojrzałości teoretyczno-metodologicznej dyscypliny i stwarza możliwość dyskusji.

Tytuł artykułu nawiązuje do prac, które w podobny sposób określają specyfikę poznawczą geografii człowieka oraz ewolucję poglądów dotyczących jej statusu w naukach społecznych i humanistycznych, w tym inspirującego od blisko 40 lat artykułu K. Dramowicza pt. *Geografia z ludzką twarzą – rozważania o geografii humanistycznej* („Przegląd Zagranicznej Literatury Geograficznej”, 1984, z. 3-4, s. 123-146).

Słowo „geografia” wzbudzi z pewnością u czytelnika skojarzenia ze szkolnym etapem życia, czyli przedmiotem obejmującym wiedzę o przestrzeni oraz zróżnicowaniu krajobrazowym Ziemi. Potoczne rozumienie zakresu pojęcia geografii prowadzi najczęściej do stereotypowego postrzegania dyscypliny jako tej, która podejmuje kwestie lokalizacji obiektów i ich fizycznych cech. Ten rodzaj redukcji wiedzy geograficznej wzmacniany jest przez teleturnieje i quizy, w których dominują pytania „gdzie jest?”, „jak się nazywa?”, a jej zakres odnosi się przede wszystkim do dominacji składnika faktograficznego. Nie bez znaczenia dla takiego społecznego odbioru geografii pozostaje również charakter edukacji geograficznej w zakresie przedstawiania problematyki społeczno-ekonomicznej, którą przez bardzo długi czas (od lat powojennych do lat 90. XX w.) charakteryzowała koncentracja na strukturach i procesach związanych z produkcją i infrastrukturą techniczną, zwłaszcza w wymiarze statystycznym.

Geografia jest obecnie bardzo zróżnicowaną nauką, z licznymi specjalizacjami oraz podejściami metodologicznymi. W wyniku przyrostu wiedzy, co było powiązane z kolejnymi skokami w rozwoju cywilizacyjnym, cechą badań geograficznych stał się rozwój specjalności. Od przełomu XIX i XX stulecia wyraźnie zaznaczyło się pęknięcie, które przełożyło się w warstwie przedmiotowej na dualizm polegający na wyodrębnieniu się geografii fizycznej (badania środowiska przyrodniczego) oraz geografii społeczno-ekonomicznej (badania środowiska antropogenicznego). Podział ten i rozwój specjalizacji miał również konsekwencje w zmniejszeniu znaczenia geografii regionalnej, kluczowej niegdyś dla całościowej wizji środowiska i preferowanej przez geografów okresu klasycznego. Instytucjonalna „unia” obu zasadniczych części geografii była kontynuowana w Polsce za sprawą powojennej centralizacji uniwersyteckich programów nauczania oraz, co istotniejsze, opierała się na formalnym przypisaniu geografii do dziedziny nauk przyrodniczych i przyjęciu przez badaczy jednakowego wzorca metodologicznego opartego na naturalizmie.

Od lat 70. XX w. w geografii światowej i lat 80. XX w. w geografii polskiej spór o naturę rzeczywistości, a tym samym tarcie w płaszczyźnie teoretyczno-metodologicznej, prowadziły coraz częściej do usankcjonowania podziału geografii na dwie odrębne dyscypliny. Wyrazem tego ogólnego procesu, charakterystycznego dla geografii uprawianej w poszczególnych państwach, był podział w różnych płaszczyznach, tj. instytucjonalnej, edukacyjnej, finansowania badań itd. Ostatnia reforma szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce zalegalizowała ten podział i faktem stało się przypisanie badaczy nie tylko do dwóch dyscyplin naukowych, tj. do geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej oraz nauk o Ziemi i środowisku, ale również do dwóch odmiennych dziedzin nauki, tzn. nauk społecznych oraz nauk ścisłych i przyrodniczych. Zrodziło to wiele konsekwencji nie tylko dla nadchodzącej ewaluacji działalności naukowej, ale również dla funkcjonowania instytucjonalnego i oferowanych kierunków kształcenia. Jesteśmy w procesie, który charakteryzuje się wielomodelowymi rozwiązaniami dotyczącymi umiejscowienia dyscyplin geograficznych w strukturach instytutów badawczych i uniwersytetów. Niezależnie od tego, które efekty tego podziału uznamy za korzystne, a które wręcz przeciwnie, faktem stał się w moim przekonaniu początek największego eksperymentu od czasów wprowadzenia dyrektyw branżowego podziału geografii z przełomu lat 40. i 50. XX w. Jego pierwsze konsekwencje poznamy niebawem, a staną się one efektem oceny parametrycznej dyscyplin.

Antropogeografia i geografia człowieka

W obecnej klasyfikacji dyscyplin naukowych nazwa geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna jest jedną z najdłuższych. Nie budzi to większego powszechnego zainteresowania przyczyną tego stanu, natomiast dla geografów jest wyrazem procesu zmian, które dyscyplina przeszła od początku XX w. W okresie międzywojennym specjalizację geograficzną podejmującą zagadnienia funkcjonowania ludzi w przestrzeni (środowisku) określano najczęściej jako antropogeografię. Nawiązywało to wprost do dzieł niemieckich klasyków geografii z I poł. XIX w. i ich następców z przełomu XIX i XX w., którzy zwracali uwagę na dominującą rolę uwarunkowań przyrodniczych w rozprzestrzenianiu się zjawisk społecznych i gospodarczych (podejście deterministyczne). Na początku XX w. w geografii francuskiej ukształtowało się podejście pozytywistyczne

oparte na dostrzeganiu obustronnych relacji przyrody i ludzi. W efekcie powstała dyscyplina geograficzna o nazwie geografia człowieka. Łączyła ona w sobie wiele różnych kwestii badawczych, głównie regionalnych, genetycznych i funkcjonalnych, a nadrzędnym celem było wieloaspektowe określenie wzajemnych relacji pomiędzy podłożem przyrodniczym a różnicowaniem krajobrazów kulturowych jako konsekwencji stylów życia.

Polska antropogeografia czerpała wzorce z różnych podejść, rozwijanych głównie w kręgu niemiecko- i francuskojęzycznym, co przełożyło się na duże zainteresowanie zagadnieniami przemian struktur ludnościowych i osadniczych w skali poszczególnych regionów oraz ukształtowanej po I wojnie światowej II Rzeczypospolitej. Idea badania wytworów ludzkich polegała na studiach lokalizacyjnych obiektów na tle uwarunkowań przyrodniczych oraz wyjaśnienia ich genezy i przekształceń w czasie. Koncepcja chorologiczna, czyli geografii jako nauki o przestrzeni, w największym stopniu określała przedmiot zainteresowania geografii człowieka w okresie jej klasycznego rozwoju, co również w następnych etapach przemian teoretyczno-metodologicznych wpłynęło na formułowanie problemów badawczych.

Różnice pomiędzy koncepcją antropogeografii (F. Ratzel) jako części biogeografii, czyli de facto subdyscypliny badań przyrodniczych, i koncepcją geografii człowieka (P. Vidal de la Blache) powiązanej z naukami humanistycznymi i społecznymi, określiły zasadniczą linię podziału w poglądach geografów zajmujących się problematyką zjawisk związanych z działalnością człowieka. Generalny spór dotyczył sposobu wyjaśnienia i nacisku na metodologię naturalistyczną bądź humanistyczną.

Determinizm środowiskowy, choć został odrzucony jako perspektywa wyjaśniająca działalność człowieka w środowisku, doprowadził do wzmocnienia koncepcji geografii człowieka jako nauki przyrodniczej. Zdaniem zwolenników tej metodologii badań w geografii rezultaty badawcze uzyskane za pomocą metod naukowych powinny być sprawdzalne i weryfikowalne. Fakty są ustalane empirycznie za pomocą metod obserwacji, pomiaru oraz wskazywania prawidłowości zmian. Wzrost zainteresowania koncepcjami systemowymi oraz znaczenia metodologii ilościowej doprowadził w konsekwencji do ukształtowania się paradygmatu scjentystycznego późniejszej geografii (społeczno-)ekonomicznej.

Odmienne założenia metodologiczne przyświecały francuskiej myśli geografii człowieka, na czele z jej twórcą P. Vida-



lem de la Blache (przełom XIX i XX w.), który sformułował koncepcję lokalnych środowisk życia (milieu). Zwolennicy tego podejścia widzieli w geograficzno-ekonomicznej dyscyplinie społeczno-przyrodniczego konsensusu. W badaniach stosowano metodę analityczną określania związku społeczeństwa i przyrody. Za najważniejszy efekt współpracy człowieka ze środowiskiem uważano krajobraz kulturowy. Podkreślano, że krajobraz kulturowy są wytworem stylów życia ludzi, a w sensie ogólnym stanowią wyraz zróżnicowania cywilizacyjnego świata.

Ekonomia i metody ilościowe

Tendencje specjalizacyjne w rozwoju nauki światowej, poparte wcześniej spektakularnymi odkryciami nauk szczegółowych, doprowadziły do zmiany po drugiej wojnie światowej modelu uprawiania geografii człowieka w wielu państwach. Zmiana uwarunkowań geopolitycznych, w jakich znalazła się Polska po II wojnie światowej sprawiła, że geografii, jak i innym dyscyplinom naukowym, narzucono model organizacyjny i badawczy według wzorców naukowo-technicznych w ZSRR. Wpłynęło to nie tylko na podstawy teoretyczno-metodologiczne oparte zwłaszcza w latach 50. XX w. na wytycznych marksizmu-leninizmu, ale także w zakresie przedmiotu badań.

Wprowadzono wówczas oficjalną nazwę dyscypliny, czyli geografii ekonomicznej, co dobitnie podkreślało nowe cele tej części badań geograficznych, tj. wyjaśnienie zmian struktur i procesów produkcyjnych oraz związek dyscypliny z praktyką planistyczną. Wyróżnione wówczas subdyscypliny geografii ekonomicznej, tzn. geografia przemysłu, geografia rolnictwa, geografia transportu, oraz geografii ludności i osadnictwa zerwały z dotychczasową tradycją antropogeografii, a za główną naukę wzorcową uznano ekonomię oraz położono nacisk na metody ilościowe.

Stopniowe osłabianie czynnika ideologicznego w latach 60. XX w. oraz rozwój metod ilościowych doprowadziły do ukształtowania się modelu badań silnie zakorzenionego w metodologii pozytywistycznej. Pierwsze prace z tego zakresu wykonane przed drugą wojną światową były związane z pierwszymi studiami regionalno-planistycznymi. Związek geografii ekonomicznej z planowaniem (przestrzennym, regionalnym, miejscowym) oraz naukami ekonomicznymi spowodował, że w zakresie badań nad przestrzenią zaczęto głównie wyjaśniać kwestię lokalizacji działalności ekonomicznej (produkcji, usług). Podstawowego znaczenia nabrały teorie regionu ekonomicznego, zagadnienia teorii lokalizacji produkcji, teorii miejsc centralnych i bazy ekonomicznej, oparte w dużej mierze na pracach ekonomistów regionalnych (regional science).

Kwestie społeczne

W latach 80. XX w., w związku z przemianami politycznymi w kraju i większym dopływem nowych idei w geografii z państw Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, zaczęto interesować się kwestiami społecznymi, politycznymi i kulturowymi, również w wymiarze jakościowym. W odróżnieniu od wielu państw bloku wschodniego idee te przenikały do polskiej geografii dużo szybciej. W latach 80. XX w. zaczęto poszerzać dotychczasową nazwę „geografia ekonomiczna” o nowy człon i powszechnie zaczęto pisać o geografii społeczno-ekonomicznej. Główny prąd badań pozostawał niezmiennie związany z nurtem ilościowym, choć poszerzony został wachlarz kwestii badawczych o takie zagadnienia jak warunki życia ludności, w tym warunki zamieszkania, struktury społeczne, zachowania przestrzenne, czas wolny, społeczne funkcje przestrzeni. W polskiej literaturze geograficznej podejścia społeczno-kulturowe na szerszą skalę zaistniały w latach 90. XX w., co zaowocowało zainteresowaniem badaczy humanistyczną interpretacją zróżnicowania przestrzeni, zwłaszcza miejskiej. Od końca lat 80. XX w. wrosło również zainteresowanie zagadnieniem społecznego wytwarzania przestrzeni.

Początki nowych ujęć teoretyczno-metodologicznych dotyczących geograficznej refleksji nad środowiskiem społecznym człowieka wiązały się z zainteresowaniem geografiami jednostkowych i społecznych zachowań (geografia behawioralna). Zwrócenie uwagi na przestrzenne zachowania człowieka stanowiły efekt łączenia geografii z teorią nauk psychologicznych, np. psychologią środowiskową. Było to ważnym krokiem na drodze ponownego odkrycia dla geografii sfery „codziennosci” i roli przestrzeni w kształtowaniu ludzkich biografii i wyobrażeń. Zainteresowanie geografii problematyką społeczną doprowadziło do wyodrębnienia się subdyscypliny geografia społeczna. Dyskusja nad podstawami teoretyczno-metodologicznymi geografii społecznej przetoczyła się w światowej literaturze na przełomie lat 70. i 80. XX w. Miała ona przynajmniej dwa ważne konteksty. Pierwszy dotyczył krytyki wzorca pozytywistycznego w geografii, drugi przemian społecznych, zwłaszcza w kontekście oceny niesprawiedliwości w podziale dóbr, dostępu do pozycji elitarnych, władzy itp. (podejścia radykalne). Geografia człowieka wzbogaciła się o nowe sposoby identyfikacji procesów przestrzennych, które są uruchamiane i kierowane przez społeczność, organizacje i instytucje.

Z drugiej strony w innych naukach społecznych wzrastało zainteresowanie kwestiami organizacji przestrzennej gospodarki. Od lat 80. XX w. bardzo szybko prowadziło to do wyodrębnienia kierunków badawczych i dydaktycznych, dla których zaczęła się utrwalać nazwa gospodarka przestrzenna, choć jej zakres przedmiotowy zależny był w dużej mierze od specyfiki dyscypliny badawczej (geografia, ekonomia, planowanie przestrzenne, urbanistyka, geodezja i rynek nieruchomości, architektura krajobrazu i inne). W samej geografii społeczno-ekonomicznej zaczęły powstawać w tym zakresie specjalności edukacyjne, a przełom XX i XXI r. charakteryzował się powołaniem odrębnych kierunków w jednostkach geograficznych, czemu towarzyszyło wydzielenie zakładów, katedr, a później i instytutów o takim profilu. Gospodarka przestrzenna, która w geografii wyrosła na bazie zainteresowań stosowanej geografii ekonomicznej, stała się kierunkiem badawczym łączącym różne kwestie gospodarcze, demograficzno-społeczne, środowiskowe, a jej celem jest wyjaśnienie funkcjonowania i planowanie struktur przestrzennych. W środowisku naukowym ten kierunek badań i edukacji stał się przestrzenią konkurencji o jego przynależność instytucjonalną. Ze względu na nacisk na sferę kompetencji praktycznych bardzo silnie w ostatniej dekadzie zaczęto wykorzystywać możliwości, które stworzyły narzędzia GIS (geogra-



Zdjęcie: zpc.gov.pl

ficznych systemów informacyjnych). Ze względu na wielowzorcowość koncepcji gospodarki przestrzennej, uzależnionych od specyfiki dyscypliny podstawowej, oraz szerokie pole badawcze określenie jej samodzielnego statusu było i jest problematyczne.

Płaszczyzna społeczno-kulturowa

Obecne sprowadzenie zawartości dyscypliny do dwóch składników połączonych spójnikiem „i”, tj. geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna, wyraża moim zdaniem dualizm oparty na wewnętrznej komplementarności. Sprowadza się to do realizacji dwóch zasadniczych zadań – poznawczego i praktycznego – badań geograficznych. Uważam również, że zmiana, jaka dokonana się w płaszczyźnie przedmiotowej i metodologicznej geografii społeczno-ekonomicznej w Polsce, która polegała przede wszystkim na zainteresowaniu kwestiami społecznymi, kulturowymi i humanistycznymi, a z drugiej strony na rozbudowie sfery narzędziowej w analizach przestrzennych skierowanych na potrzeby gospodarki, powinna prowadzić do przemyślenia nazwy dyscypliny. Uwydatnienie roli gospodarki przestrzennej, która de facto objęła swym zainteresowaniem wiele kwestii charakterystycznych dla geografii społeczno-ekonomicznej uprawianej w latach 80. i 90. XX w., powinno w konsekwencji dać podstawę do przywrócenia nazwy geografia człowieka, powszechnie stosowanej w innych krajach (human geography). W nazwie geografia człowieka i gospodarka przestrzenna wyraża się pełniej zakres badań, który prowadzą geografowie zainteresowani kwestiami społecznymi, politycznymi, gospodarczymi czy kulturowymi. Geografia człowieka odgrywa przede wszystkim rolę w zakresie osiągania celów poznawczych, czyli zaspokojenia potrzeby gromadzenia i przekazywania wiedzy o świecie. Gospodarka przestrzenna jest natomiast tą częścią dyscypliny, w której przeważają funkcje praktyczne i z zakresu wiedzy stosowanej, użytecznej do kształtowania kierunków rozwoju regionalnego i przestrzennego.

Specyfika badawcza określająca jednocześnie oryginalność efektów pracy naukowej geografów wiąże się z aktywnością

terenową. Doświadczenie terenu i bezpośrednie zbieranie informacji są niezastąpioną geograficzną formą budowania opinii, ocen i wyobrażeń. Proces ten pozwala skonfrontować i ocenić wiedzę pochodzącą z różnych sfer środowiska życia ludzi – od lokalnych baz danych dostępnych w instytucjach rozwoju lokalnego przez analizy form i funkcji składowych krajobrazu, po badania społeczne.

Przyszłość geografii nie zależy oczywiście wyłącznie od samych geografów, choć ich świadomość badawcza i praca odgrywają kluczową rolę w kreowaniu jej zawartości merytorycznej, wizerunku, a także pozycji. Ważna jest tu rola społecznego otoczenia, w którym żyjemy. Niewątpliwie charakter epoki i charakter społecznego tworzenia rzeczywistości określają również kształt i kondycję dyscyplin społecznych oraz humanistycznych. Tradycja rozwoju geografii człowieka i jej historyczna zmienność pokazują, że pozycja dyscypliny, wyrażona autonomią (niezależnością od innych), warunkowana jest dwoma współzależnymi czynnikami. Po pierwsze geografia człowieka musi podejmować dialog i dyskusję z naukami społecznymi, a tym samym odnosić się do przemian orientacji, koncepcji filozoficznych i teoretycznych. Decyduje to o dojrzałości teoretyczno-metodologicznej dyscypliny i stwarza możliwość dyskusji. Silna świadomość geografii człowieka w tym zakresie określa jej równouprawnienie do formułowania istotnych wniosków dotyczących interpretacji życia społecznego i gospodarczego. Drugim czynnikiem jest zainteresowanie geografii człowieka szeroko rozumianą płaszczyzną społeczno-kulturową badań. Stwarza to możliwość pogłębionej interpretacji rzeczywistości, a odrębność merytoryczną dyscypliny w tym zakresie kształtowana jest na podstawie badań relacji ludzi z podłożem (przestrzenią) – materialną ramą funkcjonowania w różnych kontekstach środowiskowych (społecznych, a także przyrodniczych).

*Dr hab. Marcin Wójcik, prof. UŁ, Uniwersytet Łódzki,
Wydział Nauk Geograficznych*



Dariusz Rott

Po trzech latach istnienia

Wokół monografii *Rady uczelni: regulacje i dobre praktyki*

Spore były obawy środowiska przed wprowadzeniem nowego organu uczelni, jak się dzisiaj wydaje, w dużej mierze nieuzasadnione.

Rady uczelni – jako nowy organ uczelni publicznych – w polskiej przestrzeni szkolnictwa wyższego funkcjonują od pierwszych miesięcy 2019 r. Ich pierwsza, skrócona kadencja w okresie przejściowym zakończyła się 31 grudnia 2020 r. Od 2021 r. trwa kolejna, pełna już, czteroletnia kadencja.

Studia i analizy prowadzone w zakresie rad uczelni przez Komisję ds. Strategicznych Problemów Szkolnictwa Wyższego oraz Fundację Rektorów Polskich doczekały się kilka miesięcy temu pierwszej monografii *Rady uczelni: regulacje i dobre praktyki*, opublikowanej pod naukową redakcją prezesa FRP i wybitnego znawcy problematyki szkolnictwa wyższego, prof. Jerzego Woźnickiego. Znajdujemy tutaj niezwykle cenne artykuły, obszerną bibliografię oraz zbiór dodatków, ilustrujących ogromny wkład w debatę publiczną na temat rad uczelni KRASP, RGNiSW oraz zespołów MNiSW, pozwalający prześledzić proces kształtowania się modelu rad uczelni w Polsce.

Propozycje wprowadzenia drugiego, obok senatu, organu kolegialnego w ostatnich latach pojawiły się w Polsce w okresie prac nad strategicznymi dokumentami szkolnictwa wyższego (zespół środowiskowy Fundacji Rektorów i KRASP w roku akademickim 2008/2009). W 2017 r. ważne wnioski i rekomendacje dotyczące modelu rad uczelni, przygotowane przez panel ekspertów pod kierunkiem prof. Georga Wincklera, znalazły się w raporcie Komisji Europejskiej. W podobną stronę zmierzają propozycje sformułowane przez zespół Narodowego Kongresu Nauki – Ustrój i Zarządzanie w Szkolnictwie Wyższym (kluczowa rola rady uczelni o małej liczbie członków i realnej mocy decyzyjnej). Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce do 2020 oraz Strategia rozwoju szkolnictwa wyższego 2010-2020 przewidywały powołanie (lub obligatoryjne powołanie) w uczelniach rad powierniczych (sprawujących nadzór wewnętrzny), których zadaniem miało być: nadawanie statutu uczelni na podstawie wniosku kolegium rektorskiego zaopiniowanego przez senat, radę pracowniczą i samorząd studentów, powoływanie – na podstawie postępowań konkursowych – rektora, kanclerza i kwestora oraz innych władz uczelni wskazanych w statucie, a także ustalanie zasad wynagradzania i premiowania pracowników. Rady miały być powoływane przez ministra. Jako zagrożenie uznawano wówczas trudności z pozyskaniem dostatecznej liczby kandydatów do rad powierniczych ze względu na niski poziom rozwoju społeczeństwa obywatel-

skiego w Polsce. Również Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego w swoich dokumentach (np. raport z 2017 r. *Analiza wybranych elementów założeń do Ustawy 2.0*, pod red. prof. Edwarda Jezierskiego) postulowała model menedżerskiego zarządzania uczelnią, zwracając jednak uwagę, że istnieje niebezpieczeństwo związane z pokusą upolitycznienia składu rad powierniczych. Miało temu zapobiec zagwarantowanie przewagi liczebnej w radach osób związanych ze światem nauki, niekoniecznie z macierzystej uczelni.

W czasie przygotowań projektu nowej ustawy i dyskusji nad nim pojawiły się również propozycje rady jako kolegialnego organu z kompetencjami strategiczno-nadzorczymi i wyborczymi, reprezentującego interesariuszy zewnętrznych. Zespoły KRASP postulowały, by rady liczyły od 5 do 9 członków. By zmniejszyć ryzyko upolitycznienia rad, proponowano katalog ograniczeń członkostwa, wykluczający: zatrudnienie w administracji samorządu terytorialnego, sprawowanie mandatu posła, senatora lub posła do Parlamentu UE, pełnienie funkcji wojewody i jego zastępcy, ministra, sekretarza lub podsekretarza stanu, osoby pełniące funkcje w organach partii politycznej, kanclerza, kwestora oraz ich zastępców. Regulacji tych jednak nie wprowadzono do ustawy. Obecnie ustawowo członkostwa w radzie uczelni nie można łączyć z pełnieniem funkcji organu tej lub innej uczelni, członkostwem w radzie innej uczelni ani zatrudnieniem w administracji publicznej. Nie sprecyzowano, co zrobić w sytuacji, gdy przewodniczący samorządu studenckiego, który z urzędu jest członkiem rady, jest zatrudniony w administracji publicznej. Co więcej, poważny konflikt interesów może rodzić możliwy obecnie wybór do rady uczelni członków: Komitetu Nadzoru Finansowego, Komitetu Polityki Naukowej, Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, Narodowego Centrum Nauki, Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (chyba, że są oni zatrudnieni w administracji publicznej). To bezwzględnie wymaga regulacji ustawowej.

Podstawowe zagrożenia

Ostatecznie zadania rady (katalog otwarty umożliwia powierzenie radom innych dodatkowych zadań w statucie, choć na razie niewiele uczelni z tego skorzystało), jej skład, wymagania i ograniczenia wobec kandydatów (statut może doprecyzować katalog wymagań), ogólne zasady wyboru członków rady

i jej przewodniczącego, maksymalną wysokość wynagrodzenia (do 67% minimalnego miesięcznego wynagrodzenia profesora w uczelni publicznej) zostały określone w Prawie o szkolnictwie wyższym i nauce.

Zwiększenie efektywności i społecznej odpowiedzialności za uczelnie oraz profesjonalizacji zarządzania uczelnią w zestawieniu z etosem uniwersytetu jako instytucji autonomicznej w zakresie wolności badań i funkcjonowania, prowadzącej swobodnie badania naukowe, często nieprzynoszące wyliczalnych korzyści ekonomicznych, w odróżnieniu od korporacji czy przedsiębiorstwa, to jedno z podstawowych zagrożeń wskazywanych w dyskusjach o radach uczelni. Dodatkowo w tradycji samorządności akademickiej i ustroju szkół wyższych ugruntowany był dotąd w Polsce model senatu jako organu nadzorującego działania publicznej szkoły wyższej. Spore były również obawy środowiska przed wprowadzeniem nowego organu uczelni, jak się dzisiaj wydaje, w dużej mierze nieuzasadnione.

Rada, działając kolegią, posiada ustawowe kompetencje, którymi w szczególności są: opiniowanie (projektu strategii i statutu), monitorowanie (gospodarki finansowej i zarządzania uczelnią), wskazywanie (kandydatów na rektora). Niezwykle istotne wydaje się opiniowanie projektu strategii uczelni i sprawozdania z jej realizacji. Wskazane wydaje się, by rada uczestniczyła już we wstępnych etapach projektowania strategii. Do ustawowych zadań rady powinno należeć także coroczne opiniowanie sprawozdań z działalności rektora. Na razie niewiele uczelni zdecydowało się powierzyć takie zadanie radom. Co jednak zrobić, gdy rada nie zaopiniuje pozytywnie rocznego sprawozdania rektora z działalności uczelni, w tym sprawozdania finansowego? Czy ma to skutkować bezzwłocznym wnioskiem o odwołanie rektora? Nie jest to obecnie w żaden sposób sprecyzowane.

Pierwotna propozycja w pracach nad Ustawą 2.0 do wyłącznej kompetencji rady oddawała wskazywanie kandydatów na rektora. W obowiązującej ustawie rada wskazuje kolegium elektorów kandydatów na rektora, po zaopiniowaniu przez senat. Ponieważ jednak sposób wskazywania kandydatów na rektora i organizowania wyborów określa statut uczelni, rada może być, ale nie musi, jedynym podmiotem wskazującym kandydatów

na rektora. Rada uczelni wskazuje kandydatów na rektora (np. statut UW określa, że co najmniej dwóch). Statut PG precyzuje, że kandydatem na rektora nie może być członek aktualnie działającej rady uczelni (to dobra praktyka). Jednym z zadań rady uczelni jest również występowanie z wnioskiem o odwołanie rektora. Wniosek taki może zgłaszać również senat większością co najmniej połowy głosów jego statutowego składu. W przypadku rady uczelni brak wymagania kwalifikowanej większości jest zupełnie niezrozumiałym „kiksem” prawnym, który powinien być bezzwłocznie zmieniony. Zasięgnięcie opinii senatu (lub odpowiednio rady uczelni) w przypadku takiego wniosku powinno być obowiązkowe (obecnie nie ma takiego wymogu). Następnie wniosek jest kierowany do kolegium elektorów.

Rada może też wykonywać inne zadania, np. realizować cykliczne konsultacje w sprawie stanu finansowego uczelni z udziałem rektora, kanclerza, zastępcy kanclerza i kwestora, a rektor może zwracać się do rady o opinie w sprawach, które uzna za ważne ze względu na dobro uniwersytetu, wyrażać opinie oraz formułować stanowiska z własnej inicjatywy. Dobrą praktyką może być realizacja innych zadań o charakterze doradczym, np. poświęcanie części posiedzenia rady na ważne zagadnienie tematyczne (w ramach monitorowania zarządzania uczelnią), np. przygotowanie do ewaluacji działalności naukowej, zanalizowanie oferty edukacyjnej i wyników rekrutacji na studia, kwestie kształcenia zdalnego i działań uczelni w okresie pandemii, remontów i inwestycji.

Wiele modeli rad

W europejskiej przestrzeni szkolnictwa wyższego mamy kilka modeli rad (powierniczych) uczelni. Istnieje model składający się wyłącznie z członków zewnętrznych (funkcjonujący np. w Austrii, Czechach, Luksemburgu, Holandii i na Słowacji). W kolejnym większość stanowią osoby pochodzące z zewnątrz uczelni (Dania, Irlandia, Norwegia, Włochy, Szwecja) lub w równej liczbie z zewnątrz i wewnątrz (Litwa, Portugalia, Słowenia). W Danii na przykład rady uczelni liczą przynajmniej 10 osób (w tym przedstawiciele pracowników administracyjnych, technicznych i doktorantów). W Polsce osoby spoza uczelni stanowią co najmniej 50% spośród sześciu lub

ośmiu osób powoływanych przez senat i model ten się sprawdza. W skład rady wchodzi najczęściej 7 osób (9 osób np. na UW, UAM), większość uczelni określiła proporcje w radzie zgodnie z wymogiem ustawowym. Nieliczne uczelnie zaproponowały wyłącznie osoby z zewnątrz (oczywiście poza przewodniczącym samorządu studenckiego), niektóre wybrały jako członków zewnętrznych przedstawicieli innych uczelni (np. UP im. KEN w Krakowie), większość zaproponowała szerokie grono ekspertów zewnętrznych oraz doświadczonych pracowników swojej uczelni. Przewodniczącym rady jest jej członek pochodzący spoza wspólnoty danej uczelni.

Ważne jest określenie dodatkowych profesjonalnych wymagań dla kandydatów do rady (zwłaszcza doświadczenie w zarządzaniu podmiotami gospodarczymi, uczelnią lub jej jednostką organizacyjną, znajomość zasad gospodarki finansowej uczelni, kompetencje w zakresie komercjalizacji, upowszech-



Fot. Bartosz Proń

niania wyników badań naukowych, działalności popularyzującej wiedzę i umiędzynarodowienia). Katalog takich wymagań zaproponowany przez KRASP nie został niestety uwzględniony w ostatecznej wersji ustawy. Statut UG precyzuje, by członek będący jej pracownikiem posiadał m.in. co najmniej: dziesięcioletni staż pracy w uczelni, stopień doktora habilitowanego oraz doświadczenie w zakresie zarządzania. Członek spoza wspólnoty (statut AGH) powinien posiadać co najmniej pięcioletni staż zawodowy na stanowiskach kierowniczych związanych z działalnością gospodarczą, finansową, obsługą prawną, zarządzaniem lub prowadzeniem własnej działalności gospodarczej oraz znać specyfikę i misję uczelni publicznej. Do listy tej dodałbym jeszcze np. doświadczenie w zakresie umiędzynarodowienia i popularyzacji nauki. Dobrą praktyką może być także korzystanie przez radę ze zleczanych ekspertyz zewnętrznych o charakterze doradczym.

Dyskryminacja i sprawy nieuregulowane

Niezwykle dyskusyjna jest kwestia ograniczenia wieku kandydatów do rady do 67 lat (do dnia rozpoczęcia kadencji). Taki wymóg nie pojawiał się w początkowych projektach ustawy, by zaistnieć na etapie końcowym (wbrew argumentacji KRASP). Nie udało się również wprowadzić do ustawy późniejszej propozycji likwidacji ograniczenia wiekowego jedynie dla zewnętrznych członków rad uczelni, m.in. z motywacją, że w Polsce żadne limity wiekowe nie obowiązują członków rad nadzorczych spółek publicznych. W mojej opinii to praktyka dyskryminacyjna – wykluczenie jedynie ze względu na wiek, na które nie powinno być zgody! Dodam, że nie jestem bynajmniej sędzią w swojej sprawie (mam 56 lat).

Tryb wyborczy określa statut uczelni lub załączniki do niego, określające szczegółowe zasady wyboru członków organów. Prawo zgłaszania kandydatów do rady przysługuje rektorowi i grupom senatorów liczącym na różnych uczelniach od 5 do 20 osób. Kandydata na przewodniczącego rady zgłasza rektor (rzadziej senator – obaj mają to prawo według statutu UAM), a znacznie rzadziej rada wskazuje senatowi kandydata na przewodniczącego (np. UJ, Politechnika Gdańska). Niektóre uczelnie (np. UMK w Toruniu, UP w Krakowie) proponowały powołanie zastępcy przewodniczącego rady, który wybierany jest przez senat lub radę spośród członków należących do wspólnoty uczelni.

Konieczne jest również sprecyzowanie przesłanek odwołania przez senat członka rady, w tym jej przewodniczącego. W ustawie tego bowiem nie uregulowano. Statut Politechniki Warszawskiej precyzuje na przykład, by głosowanie w tej sprawie – na wniosek członków rektora, członków senatu w liczbie nie mniejszej niż 25% jego statutowego składu lub na wniosek rady uczelni – było przeprowadzane tylko po debacie senatu z udziałem członków rady uczelni. To słuszna droga, a sama decyzja powinna zapadać bezwzględną większością głosów statutowego składu senatu. Warto także wyliczyć kryteria odwołania (np. rażące naruszenie statutu uczelni lub regulaminu funkcjonowania rady, zasady kierowania się dobrem uczelni i obowiązku działania na jej rzecz, bezczynność i nieuzasadnione nieuczestniczenie w pracach rady) oraz sprecyzować, czy senat może odwołać przewodniczącego samorządu studenckiego, którego przecież... nie powoływał.

Warto po piętnastu latach uzupełnić sformułowanie wymogów odnoszących się do rad uczelni i ich członków w dokumencie KRASP *Kodeks Dobre praktyki w szkołach wyższych*, uchwalonym i ogłoszonym w 2007 r., w innych realiach ustawowych.

Osobiście poddałbym pod dyskusję zwiększenie „ochrony” członków rady uczelni pochodzących ze społeczności danej uczelni. Proponuję, by nie można było takiej osobie bez zgody

senatu wypowiedzieć ani rozwiązać z nią umowy o pracę na przykład dwa lata po zakończeniu kadencji, chyba że prawomocnie orzeczono by wobec niej karę dyscyplinarną lub gdyby została ona prawomocnie skazana przez sąd za przestępstwo umyślne. W czasie trwania kadencji oraz dwa lata po jej zakończeniu nie można by też bez zgody senatu zmienić na niekorzyść warunków pracy lub płacy, chyba że wymagałyby tego przepisy ustaw (wzoruję się tutaj na zapisie statutu UŚ dotyczącym rzecznika praw i wartości akademickich tej uczelni). Można zastosować też rozwiązania z modelu duńskiego – ochrony wewnętrznych członków rady na tych samych warunkach jak przedstawicieli związków zawodowych.

Tryb kaskadowy

Warto w przyszłości przemyśleć, czy tryb wyborów do rady nie powinien być „kaskadowy”, by mogły się one odbywać np. w dwóch terminach, aby zachować instytucjonalną ciągłość i pamięć (taka propozycja pojawiła się już w projekcie założeń do ustawy zespołu pod kierunkiem prof. Marka Kwieka).

Niezbędne jest dookreślenie koncepcji działania rad w treści statutów uczelni (sprecyzowania wymaga np. dostęp do wglądu w dokumenty uczelni, który ustawa określa ogólnie: w ramach wykonywania zadań rada uczelni może żądać wglądu do dokumentów uczelni) oraz funkcjonowania rad w zakresie porządkowo-administracyjnym, co powinien określać regulamin rady (np. przebieg posiedzeń, sposób ich dokumentowania oraz zagadnienia obsługi administracyjnej rady). Np. częstotliwość posiedzeń zwyczajnych jest różna: co najmniej 4 razy w roku nie rzadziej niż co 4 miesiące (Politechnika Gdańska), nie rzadziej niż raz w miesiącu, przynajmniej raz na 6 miesięcy (UAM). Oczywiście w poprzedniej kadencji, w związku z wyborami rektorskimi, posiedzenia wielu rad odbywały się czasem nawet kilka razy w miesiącu.

Nie bez znaczenia jest współpraca, wymiana doświadczeń i dobrych praktyk oraz szkolenia dla członków rad uczelni. Służy temu ważna inicjatywa powołanego w 1992 r. przez grono rektorów i osób kierujących ważnymi podmiotami gospodarczymi Polskiego Forum Akademicko-Gospodarczego: prężnie działający od 2020 r. Ośrodek Współpracy Rad Uczelni, którego comiesięczne tematyczne webinaria gromadzą od 150 do 250 osób, członków rad uczelni i władz niemal stu uczelni. Z pewnością problematyka rad uczelni będzie też obecna w programach Szkół Fundacji Rektorów Polskich, Zarządzania Strategicznego w Szkolnictwie Wyższym oraz w programach badawczych FRP.

Prawie trzy lata działalności rad uczelni, ukształtowanie się ich kultury organizacyjnej oraz instytucjonalnej i dobrych praktyk, dają już możliwość szerszej oceny działalności tego organu, diagnozowania zagrożeń i dylematów w działaniach rad, ich profesjonalizacji, m.in. w zakresie komunikowania się z innymi organami uczelni oraz ze społecznością akademicką, respektowania wartości i zasad, transparentności działań czy budowania autorytetu. Pozwalają także na dokonanie niezbędnych nowelizacji ustawy.

Rady uczelni: regulacje i dobre praktyki, red. naukowa Jerzy Woźnicki, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Fundacja Rektorów Polskich, Warszawa-Toruń 2021.

Prof. dr hab. Dariusz Rott, Uniwersytet Śląski w Katowicach. Od lutego 2019 r. jest członkiem Rady Uczelni Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, a od 1 stycznia 2021 r. jej przewodniczącym. Członek Rady Programowej Ośrodka Współpracy Rad Uczelni przy Polskim Forum Akademicko-Gospodarczym w Warszawie.

Tworzenie uczelni akademickich

Samotność uczonych w morzu ustawowego bezprawia

Wola polityczna ma decydujące znaczenie, tym niemniej uczelnie muszą być przekształcane w warunkach pewnego minimum moralności, równości szans, sprawiedliwości.

Powszechne jest przekonanie o racjonalnych, zgodnych z prawem, uwzględniających interesy publiczne przyczynach powstawania, rozwoju, organizacji i funkcjonowania polskich uczelni. Nie wydaje się przecież możliwe, żeby wola polityczna grup sprawujących władzę nie miała w tej mierze jakichkolwiek ograniczeń, wynikających choćby z postanowień Konstytucji RP. Jak ukazuje historia powołania trzech uczelni o statusie akademickim, przekonanie powyższe jest błędne. Zwycięstwo w powszechnych wyborach ogólnonarodowych umożliwia tworzenie i stosowanie prawa, które legitymizuje interesy mające niewiele wspólnego z publicznymi.

Żywioł oddziaływania nowego typu interesu – partyjnego – nie musi być powiązany z faktycznymi możliwościami organizacyjno-prawnymi, spełnieniem jakichkolwiek ustawowych przesłanek w perspektywie kształtowania norm ustrojowych. Stan ten jest najbardziej widoczny na przykładzie uczelni o mniejszym dorobku, które można formować niemalże na zasadzie *le regime du plaisir*, pewnego „widzimisie”. Konkretyzacją celu artykułu będzie przybliżenie tworzenia trzech uczelni o profilu akademickim: Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, Akademii Kaliskiej im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego oraz Akademii Zamojskiej.

Ewolucja instytucjonalna

Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim została utworzona w 1998 r. Proces powoływania Akademii rozpoczął się około 2013/2014 r., był udziałem wielu podmiotów, kierowano do niej duże publiczne środki finansowe, próbowano połączenia jej z Wydziałem Zamiejscowym w Gorzowie Wlkp. AWF w Poznaniu, gdyż posiadał on prawo do nadawania tytułu doktora.

Ponieważ PWSZ im. Jakuba z Paradyża nie spełniała wymagań formalnych, w projekcie ustawy znalazły się zapisy o trzyletnim okresie, w którym ma uzyskać uprawnienia do nadawania stopnia doktora w co najmniej dwóch dyscyplinach naukowych. Podczas prac legislacyjnych zwracano uwagę na niezwykle

ważny interes publiczny, podkreślano, iż status akademickości podniesie rangę regionu znajdującego się w specyficznym położeniu, ułatwi konsolidację szkół wyższych w celu stworzenia silnej, autonomicznej jednostki. Podczas sejmowej debaty skonkretyzowany został i utrwalony jednolity obraz „marzenia” o powstaniu Akademii w Gorzowie, które „dojrzało latami i było udziałem wielu środowisk”.

Negatywne opinie w przedmiocie powołania Akademii złożyły m.in. Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Zgłoszono zastrzeżenia, iż uczelnia nie posiada wymaganych przepisami uprawnień, odpowiedniej kadry, umożliwiającej zdobycie tych uprawnień w ciągu trzech lat od powołania Akademii, zastrzeżenia co do ocen parametrycznych, akredytacji PKA itp.

Ustawą z 13 maja 2016 r. utworzono Akademię im. Jakuba z Paradyża, określając cel jej działalności sankcjonujący interes publiczny, zgodny z zasadami i wartościami konstytucyjnymi, włączając sukcesję generalną pracowników przekształcanej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jakuba z Paradyża, którzy z dniem utworzenia Akademii stali się jej pracownikami.

Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego w Kaliszu została utworzona w 1999 r. Przez kolejne lata konsekwentnie wzmocniano potencjał materialny uczelni, modernizowano, remontowano obiekty, campusy studenckie, powstawały nowe instytuty, a później wydziały, z salami audytoryjnymi, laboratoriami, pracowniami czy warsztatami specjalistycznymi. Wybiegając naprzód, należy wspomnieć o otwarciu w 2017 r. własnej hali sportowej, także z zapleczem naukowym, a w 2018 r. Monoprofilowego Centrum Symulacji Medycznej. W 2014 r. utworzono ośrodek badawczy uczelni – unikalne Centrum Dydaktyczne Badań Kół Zębatych, następnie Europejskie Obserwatorium Nierówności Zdrowotnych, jak również inne struktury, na przykład Międzynarodowe Centrum Współpracy z Międzynarodowym Instytutem Naukowym iPRI z Lyonu.

W latach 2005-2016 uczelnia kaliska znajdowała się na najwyższych miejscach w rankingach prowadzonych przez różne ośrodki, będąc nieprzerwanie przez ponad 10 lat na pierwszym miejscu wśród uczelni zawodowych w Polsce. Organizowano konferencje naukowe przy współudziale znaczących w świecie placówek naukowych. 29 maja 2019 r. otrzymała prawo do nadawania stopnia doktora w dyscyplinie nauk o zdrowiu, a następnie nauk o bezpieczeństwie.

Kwestia przekształcenia uczelni w Kaliszu nabrała właściwej dynamiki w 2017 r. za sprawą głównie aktualnej ekipy kierowniczej uczelni. Zaczęto prowadzić rozmowy z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza na temat połączenia z jego zamiejscowym Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym w Kaliszu i miało to uzasadnienie. Wydział otrzymywał ogromne środki finansowe ze strony samorządu kaliskiego, na przykład w 1999 r. przekazano mu nieodpłatnie nieruchomością zabudowaną budynkiem 4-kondygnacyjnym, z przeznaczeniem m.in. na zapewnienie potrzeb socjalno-bytowych studentów. Aktu tego nie ograniczono żadnymi warunkami, jakie są zwyczajowo przyjęte w sytuacjach dokonywania przekształceń majątku publicznego, a przy tym po jednej i drugiej stronie umowy stał przedstawiciel ówczesnego establishmentu samorządowego i de facto – obdarowanego.

Miasto Kalisz nabyło tę nieruchomość od jednej z firm w zamian za jej długi. Ostatnią, nieoczekiwaną skądinąd okoliczność przyniosła przyszłość. Senat uczelni poznańskiej zwrócił nieruchomość, motywując to faktem mniejszego naboru na studia, w związku z czym potrzeby mieszkaniowe studentów zaspokajał inny dom studencki, a więc nieuzasadnione było generowanie zbędnych kosztów związanych z utrzymaniem budynku. W rzeczywistości jednak to „nieodpłatne przekazanie w formie darowizny nie było ani nieodpłatnym aktem, ani tym bardziej aktem darowizny. Uniwersytet poznański otrzymał za opisywaną nieruchomość kwotę 2,2 mln zł od Miasta Kalisza.

Ów swoisty, kuriozalny „kontrakt” między Miastem Kaliszem a Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza należy zderzyć z innym – między Miastem Kaliszem a ówczesną Państwową Wyższą Szkołą Zawodową im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, kontraktem zaistniałym mniej więcej w tym samym czasie. Miasto Kalisz również przekazało uczelni w formie darowizny trzy nieruchomości położone w Kaliszu. Tym razem ów akt obwarowano konkretnymi warunkami, z określeniem przeznaczenia nieruchomości i sankcji w postaci odwołania darowizny w sytuacji wykorzystywania niezgodnie z zapisami. Fuzja między PWSZ w Kaliszu a Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu nie doszła do skutku. Mimo tego wniesiono posełski projekt ustawy o powołaniu Akademii Kaliskiej, który uzyskał na sali plenarnej Sejmu poparcie dwóch największych partii politycznych. Po zgłoszeniu poprawek wrócił do komisji, ale jej posiedzenie zostało odwołane, a następnie wycofano go z dalszego porządku obrad Sejmu.

Odmowę poparcia zgłosiło Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, gdyż, jak podkreślono, projekt ustawy stanowi sztuczną ingerencję w system szkolnictwa wyższego, stwarzając fikcję akademickości uczelni zawodowej. Zwrócono uwagę na przykład uczelni z Gorzowa Wlkp., która mimo warunkowych trzech lat nie uzyskała statusu uczelni akademickiej, czyli stosownych uprawnień do nadawania stopnia doktora w dwóch dyscyplinach naukowych. Zastrzeżenia ministerstwa wzbudziły też poprawki posłów sprawozdawców na posiedzeniu komisji dotyczące zwolnienia dotychczasowych pracowników uczelni z Kalisza z chwilą powstania akademii i podanego trzymiesięcznego terminu otrzymania przez nich nowych warunków pracy i płacy.

W konkluzji ministerstwo sugerowało koncentrację wysiłków finansowych i organizacyjnych na zdobyciu stosownych, wymaganych prawem uprawnień i w wyniku tego dążenie do zmiany statusu z zawodowego na akademicki. I tak się stało na mocy rozporządzenia ministra nauki i szkolnictwa wyższego, powołującego Akademię Kaliską z dniem 1.09.2020 r.

Utworzenie **Akademii Zamojskiej** ma znamienity, unikalny charakter, jeśli się weźmie pod uwagę kontekst polityczny, w jakim sytuował się zamiar przekształcenia Uczelni Państwowej im. Szymona Szymonowicza, jej majątek organizacyjny i kadrowy, a wreszcie cel utworzenia. Te wszystkie kwestie są szczególnie widoczne w świetle historii dwóch wyżej opisanych uczelni, mających nieporównywalnie większy, bardziej znaczący dorobek organizacyjny, naukowy itd.

Już wiosną 2019 r. podjęto działania w sprawie utworzenia Akademii Zamojskiej. Powstał społeczny komitet, a także fundacja. Podmioty te otrzymały duże wsparcie ze strony władz samorządowych. Z końcem 2020 r. poseł PiS sporządził list intencyjny w tej sprawie, skierowany do ministra nauki i szkolnictwa wyższego, w którym powstanie Akademii Zamojskiej motywował zachowaniem i umocnieniem „zagrożonego niepodległego i suwerennego bytu narodowego i państwowego”. Zagrożenia te mają, jego zdaniem, naturę zdrowotną, ekonomiczną, materialną, a związane z nimi ataki, także ze strony studentów polskich uczelni, wykładowców akademickich, dotyczą tożsamości kulturowej i cywilizacyjnej. Powstała Akademia Zamojska ma się temu przeciwstawiać, budować kondycję moralną, patriotyczną, społeczną oraz religijną „części społeczeństwa polskiego”.

Efektowne działania o charakterze politycznym zaowocowały otwarciem bardzo szybkiej ścieżki legislacyjnej. W projekcie poselskim w sprawie powołania Akademii Zamojskiej podkreśla się jej misję, którą ma być formowanie elity narodu, wyrażoną w dewizie „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Otrzymał on negatywną ocenę ze strony m.in. PAN, Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Konferencji Rektorów Publicznych Szkół Zawodowych, gdyż przekształcana uczelnia nie miała prawa do nadawania stopnia doktora w ani jednej dyscyplinie naukowej, jak również z innych względów. W dniu 8.07.2021 r. projekt przegłosowano. Senat RP sformułował wniosek o odrzuceniu ustawy. Zakwestionował rozwiązanie, w myśl którego umowy z dotychczasowymi pracownikami likwidowanej uczelni „wygasną” w ciągu trzech miesięcy od wejścia w życie ustawy, jeśli w tym czasie nie zostaną im zaproponowane nowe warunki pracy i płacy albo poprzez ich nieprzyjęcie. Jest to, jak podkreślono, niezgodne z Kodeksem pracy, jak również generalną zasadą sukcesji. Zastrzeżenia senatorów wzbudziły i inne kwestie, na przykład cel powołania nowej placówki. Kształcenie w Akademii Zamojskiej ma się odbywać „w oparciu o naukę historii, pogłębione polskie studia humanistyczne i społeczne, tworzone w duchu realizmu filozoficznego oraz chrześcijańskiej tradycji narodowej”. Jest to oczywiście sprzeczne z polską Konstytucją.

Mimo wszystkich wątpliwości ministerstwo tym razem nie zgłosiło zastrzeżeń, ustawę uchwalono i Akademia Zamojska rozpoczęła działalność 1.09.2021 r.

Klarowność rozwiązań prawnych

Wydawałoby się, iż polski system prawny ma mocne pozytywistyczne fundamenty, ugruntowane obecnie jednolitym porządkiem prawnym Unii Europejskiej, na straży którego stoi także sądownictwo ponadpaństwowe. Samo w sobie nie zawsze jest gwarantem jasności, adekwatności, komunikatywności tekstu prawnego m.in. z uwagi na ogromną liczbę aktów prawnych tworzonych na różnych poziomach władzy prawo-

dawczej i administracyjnej przez wiele znajdujących się tutaj podmiotów. Główne jednak przyczyny wynikają z braku szacunku dla prawa, dominacji koniunkturalnie traktowanej przez decydentów polityki, stawianie związanych z nimi celów ponad cele ogólnopubliczne, szybkości procedowania, nieuwzględniania opinii dotyczących określonych rozwiązań itd. Wszystkie te bolączki są widoczne szczególnie w obrębie modelowania szkolnictwa wyższego, w sposobach finansowania, wyznaczania standardów działań parametrycznych i kategoryzacyjnych, nadzorze prowadzonym przez ministra. Nabrały one istotnego znaczenia w procesach kreatywnych analizowanych akademii.

Samo wyróżnienie uczelni zawodowych i akademickich jest określone w stosownych aktach prawnych i reforma szkolnictwa polskiego, dokonana w 2018 r., ugruntowała wcześniejszy stan. W ust. 2 art. 15 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce znalazł się zapis: „Uczelnia zawodowa prowadzi kształcenie na studiach wyłącznie o profilu praktycznym”. „Wyłącznie”, zgodnie z językowym znaczeniem, to: „tylko, jedynie”.

Na przykład: Poświęcić się wyłącznie nauce. Myśleć wyłącznie o jednej sprawie. Zajmować się wyłącznie domem. Odtworzenie normy prawnej z tego przepisu przy odwołaniu się do reguł składniowych i znaczeniowych obejmujących tłumaczenie poszczególnych słów jest zawodne i nie da pożądanego rezultatu normotwórczego. Trudno sobie wyobrazić, żeby akademie i politechniki także nie prowadziły kształcenia na studiach o profilu praktycznym. Trudno wyobrazić sobie sytuację, aby człowiek zajmował się wyłącznie nauką, myślał wyłącznie o jednej sprawie, zajmował się wyłącznie domem czy tylko jedną rzeczą. Użyte w tymże ustępie słowo „wyłącznie” w zdaniu z rzeczywistością współczesnej uczelni traci wyrazistość, ostrość, znaczenie. Niezbędne jest odwołanie się do dyrektyw wykładni funkcjonalnej. Kierują one uwagę interpretatora na inne płaszczyzny, na których znajdują się możliwie silne uzasadnienia aksjologiczne. Można je zasadnie odnaleźć w parametrach mocno konkurującego otoczenia zewnętrznego, zdobywania i utrwalaniu swojego miejsca i rozwoju, co szczegól-



nie przejawia się w staraniach o studentów i środki finansowe. Mówiąc prościej, działania konkretnej uczelni przekraczają granice oznaczonego powyżej „profilu praktycznego” i nie pozwalają zarysować w tej mierze granic między uczelniami zawodowymi i innymi.

Następne cechy statusu uczelni zawodowej i akademickiej, jej organizacji i funkcjonowania – zawarte w ust. 3 do 4 wskazanego wyżej art. 15 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce – również nie pozwalają ich wyróżnić. Fundamentalne znaczenie w tej mierze ma art. 14 ust. 3: „Uczelnia akademicka może prowadzić kształcenie doktorantów”. Ta możliwość prawna wyróżnia w ostateczności status poszczególnych polskich uczelni, do których także odnosi się zapis art. 193 ustawy z 3 lipca 2018 r. – Przepisy wprowadzające ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Oczywiście, jak to bywa w przypadku dekodowania tekstu prawnego, wobec nieklarowności jego zapisów i tutaj można doszukiwać się różnych interpretacji, mnożyć wątpliwości, szukać argumentów na

rzecz z góry przyjętej tezy itd. Wydaje się, iż można, przytaczając językowe dyrektywy wykładni, wyróżnić zadania w zakresie „prowadzenia kształcenia doktorantów” (art. 11 pkt 5 ust. 1 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce), których realizacja może nastąpić tylko w „szkole doktorskiej” w sposób określony w Oddziale 2 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym.

Jest to oczywiście nieprawdą. Kształcenie to może się odbywać w sposób zorganizowany w każdej uczelni akademickiej w warunkach posiadania przez nią stosownych uprawnień i kategorii naukowej nie niższej niż B+, nawet gdy nie posiada ona „szkoły doktorskiej” w rozumieniu przepisów Oddziału 2 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na istotę zdobywania stopnia doktora w inny sposób aniżeli w „szkole doktorskiej” pozwalają dyrektywy wykładni funkcjonalnej odwołujące do wartości „lex”, a nie tylko „ius”, do tych spośród nich, które przypisuje się nie tylko kreatorowi danego aktu prawnego, ale prawodawcy stanowiącemu normy prawne z zamiarem ochrony stanu pożądanego i aprobowanego, pozostającego daleko od politycznych zawirowań, w tle których można wybierać, co wygodne.

Dryfowanie w morzu ustawowego bezprawia

Oczywiste jest, iż ustawodawca władny był powołać ustawą Akademię im. Jakuba z Paradyża, nawet mimo braku przesłanek formalnych w tej mierze. Mógł to uczynić także w przypadku uczelni zamojskiej, natomiast brak takiej decyzji odnośnie do Akademii Kaliskiej jest rażącym naruszeniem prawa, dobrych obyczajów,

ducha reformy bolońskiej. Wola polityczna ma decydujące znaczenie, tym niemniej uczelnie muszą być przekształcane w warunkach pewnego minimum moralności, równości szans, sprawiedliwości.

Nie oznacza to oczywiście, iż uczelnia gorzowska i zamojska mają status akademicki, a kaliska – nie, co często podnosi się w dyskursie publicznym. Wszystkie mają ów status, a decyduje o tym nie forma aktu (ustawa czy rozporządzenie), ale materia regulowanych przez daną uczelnię spraw w ramach uzyskanych uprawnień do nadawania stopnia doktorskiego. Samo literalne rozumienie zapisu art. 35 ust. 1 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, iż uczelnię akademicką tworzy się w drodze ustawy, przywodzi najgorsze wzorce mechanicznego, pozytywistycznego rozumienia prawa. Oddzielanie sensu, istoty, znaczenia tworzonej uczelni bez związku z jej materią, czyli głównie uprawnieniami do nadawania stopnia doktorskiego, nie mają miejsca w państwie prawa. Casusy tworzenia ram organizacyjno-ustrojowych powyższych uczelni zasadnie to potwierdzają, przynosząc przy tym ważne z punktu widzenia praktyki wnioski.

Przede wszystkim należy podkreślić onnipotentną rolę ustawodawcy, nieliczenie się z realiami, z opiniami kompetentnych podmiotów, naruszanie podstaw prawa, jak uczyniono to w przypadku Akademii Zamojskiej, niwecząc zasadę sukcesji praw jej pracowników, obracając w proch idee i wartości uczelni polskiej, której zadaniem nie jest kreowanie wartości w duchu jakiegos nieokreślonego „realizmu filozoficznego” i nieoznaczony w żaden możliwy sposób „chrześcijańskiej tradycji narodowej”. Pokreślić należy bezradność ciał przedstawicielskich polskiego szkolnictwa wyższego, których członkowie w owym dyktacie siły partyjnej nie odgrywają istotnej roli, zepchnięci na margines życia szkolnictwa wyższego dryfują na jego obrzeżach. Przykład pominięcia na ścieżce ustawowej utworzenia Akademii Kaliskiej ukazuje dobitnie, jak w III RP następuje proces wasalizacji uczelni i uczonych, tworzenie sieci powiązań centralizacyjnych i koncentracyjnych między ministerstwem i poszczególnymi uczelniami, głębokie ich zanurzenie w polityce. Gdy uczeni i uczelnie godzą się na to, gdy milczą, mogą nie odzyskać konstytucyjne utraconej autonomii, a zadośćuczynieniem za ubezwłasnowolnienie uczelni nie może być ścieżka awansowa jej wybranych jednostek, przyznane granty, jak również według uznania dzielone inne środki finansowe. Znamienny jest w tej mierze przykład Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, który zarówno w przypadku Akademii z Gorzowa Wlkp., jak i Kaliska, nie umiał uszanować woli, wysiłku i pracy lokalnych uczonych, ich aspiracji związanych z tworzeniem silnego ośrodka akademickiego. Myślenie kategoriami ściśle partykularnymi nie służy polskiemu szkolnictwu w ogóle, a szkolnictwu wyższemu w szczególności. Odzyskanie należnego miejsca każdej uczelni, wpływów, autorytetu, nie powinno się odbywać w sytuacji, gdy uczeni są w upadku, w pozycji klęczącej.

Na pięknych kartach historii polskiego szkolnictwa zapisze się także ogromny wysiłek uczonych, którzy samotnie poszukują dróg rozwoju „swojej”, a nie partyjnej uczelni i działania ich kierownictw, które, jak w przypadku Akademii im. Jakuba z Paradyża i Akademii Kaliskiej im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, nie zmarnotrawiły go. Nie oznacza to utraty szacunku dla uczonych Akademii Zamojskiej, gdyż w nowych szatach organizacyjnych stoją przed ogromną szansą depolityzacji uczelni. Będzie to znacznie ważniejsze aniżeli zdobycie samej nazwy, chociażby w drodze ustawowej.

Dr Andrzej Kwiatkowski, przewodniczący Niezależnych Związków Zawodowych Pracowników Akademii Kaliskiej im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego

Rozmowa z dr. Leszkiem Rymarowiczem, nadinspektorem pracy Państwowej Inspekcji Pracy

Umowy z klauzulą

Nie sposób uznać, iż zatrudnianie nauczyciela akademickiego na okres 8 lat akademickich ma służyć „zaspokojeniu rzeczywistego okresowego zapotrzebowania”, co jest wszak warunkiem sine qua non analizowanej regulacji.

W ostatnim czasie w środowisku akademickim głośna stała się sprawa kontroli Państwowej Inspekcji Pracy w Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, którą pan przeprowadził.

Przeprowadziłem w UPK kontrolę Państwowej Inspekcji Pracy w zakresie zatrudnienia pracowników na czas określony. Okazało się, że z różnych powodów tego rodzaju umowy miało niemal 600 osób. Efektem kontroli było rozpoczęcie przez aktualne władze uczelni procesu przekształcania ogromnej większości tych umów na umowy na czas nieokreślony. Przeprowadzona rekontrola wykazała, iż zmieniono na zgodne z prawem prawie 500 takich umów.

Skąd w UPK wziął się ten problem? Jakie były powody zawierania umów na czas określony?

Rolą inspektora pracy jest dokonanie analizy stanu faktycznego i odniesienie go do obowiązującego w różnych okresach stanu prawnego. A odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało, udzielić mogą zapewne władze uczelni. Ale zaznaczmy: doprowadziły do tej sytuacji głównie władze poprzedniej i jeszcze wcześniejszej kadencji, bowiem gros tych umów zawieranych było kilka, a nawet kilkanaście lat temu. W mojej ocenie do tej sytuacji doszło z powodu niewłaściwej interpretacji przepisów ustaw regulujących zatrudnianie nauczycieli akademickich, czyli kolejnych wersji ustaw o szkolnictwie wyższym, w odniesieniu do przepisów ustawy Kodeks pracy po jego nowelizacji, która weszła w życie 22 lutego 2016 r. proponowałbym, jeżeli można, odejść od tego konkretnego przypadku i spróbować odnieść się do istoty problemu. Może być to bardziej użyteczne dla czytelników z innych uczelni.

Jak pokazują dane, które uzyskaliśmy z Ministerstwa Edukacji i Nauki, sytuacja w UPK nie była wyjątkowa.

Nie ulega wątpliwości, że umowy o pracę zawierane z nauczycielami akademickimi po 22 lutego 2016 r. lub w dniu tym trwające podlegają rygorom określonym w art. 25¹ par. 1–3 Kodeksu pracy. Tak więc po przekroczeniu okresu zatrudnienia 33 miesięcy lub limitu 3 umów na czas określony „z mocy prawa” uznaje się, że pracownik zatrudniony jest na czas nieokreślony. Istnieją oczywiście wskazane w Kodeksie pracy wyjątki od tej ogólnej zasady, umożliwiające zatrudnianie na czas określony dłużej niż owe 33 miesiące lub 3 umowy. Jednym z nich są tzw. umowy z klauzulą, tj. umowy na czas określony, w których pracodawca wskazuje obiektywne przyczyny leżące po jego stronie, jeżeli zawarcie takich

umów w danym przypadku służy zaspokojeniu rzeczywistego okresowego zapotrzebowania i jest niezbędne w tym zakresie w świetle wszystkich okoliczności zawarcia umowy (art. 25¹ par. 4 pkt 4 Kodeksu pracy). Problem pojawia się wtedy, gdy pracodawca – szkoła wyższa – wskazuje w „umowach z klauzulą” jako obiektywne przyczyny zapis artykułu 120 ustawy z 27.07.2005 r. Prawo o szkolnictwie wyższym, w którym czytamy, iż okres zatrudnienia nauczyciela akademickiego bez stopnia naukowego doktora na stanowisku asystenta oraz bez stopnia naukowego doktora habilitowanego na stanowisku adiunkta nie może trwać dłużej niż 8 lat. I taki właśnie okres trwania umowy na czas określony wskazywany jest w jej treści. Otóż tak wskazana przez pracodawcę przyczyna zawarcia wspomnianych umów na czas określony na okresy dłuższe niż 33 miesiące nie spełnia przesłanek określonych w cytowanym wyżej art. 25¹ par. 4 pkt 4 Kodeksu pracy. Nie sposób np. uznać, iż zatrudnianie nauczyciela akademickiego na okres 8 lat akademickich ma służyć „zaspokojeniu rzeczywistego okresowego zapotrzebowania”, co jest wszak warunkiem sine qua non analizowanej regulacji. Wskazywany artykuł 120 ustawy z 27 lipca 2005 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce nie nakłada wszak na pracodawcę obowiązku prawnego zawarcia umowy na czas określony, stanowi on tylko informację o możliwym maksymalnym okresie zatrudnienia nauczyciela akademickiego bez stopnia naukowego doktora lub doktora habilitowanego. Przepis art. 120 ustawy z 27 lipca 2005 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce mógł natomiast być – i z ugruntowanego już dorobku judykatury wiemy o tym, że był – podstawą prawną do skutecznego rozwiązania umowy o pracę z nauczycielem akademickim za wypowiedzeniem.

Czyli takie, jak pan to określił, „umowy z klauzulą” powinny być przekształcone po 33 miesiącach ich trwania w umowy na czas nieokreślony?

Tak. Przy czym słowo „przekształcone” to pewien skrót myślowy. Kodeks pracy nie mówi nic o „przekształcaniu umów”, ale stanowi, iż „uważa się”, że pracownik, odpowiednio od dnia następującego po upływie okresu 33 miesięcy lub od dnia zawarcia czwartej umowy o pracę na czas określony, jest zatrudniony na podstawie umowy o pracę na czas nieokreślony. Mamy więc do czynienia z działaniem „z mocy prawa”, a stan ten – na podstawie art. 29 par. 1 i par. 4 Kodeksu pracy – pracodawca winien potwierdzić na piśmie.

O ile wiem, z Kodeksu pracy wynika także obowiązek zgłaszania takich umów do Państwowej Inspekcji Pracy. Czy zakwestionowane umowy były zgłaszane do rejestru, czy wiedzieliście wcześniej o tych umowach?

Wracamy do kazuistyki, czego chciałem uniknąć. Ale skoro to pytanie padło, muszę na nie odpowiedzieć. Tak, w kontrolowanej uczelni o zawarciu takich umów pracodawca, co do zasady, zawiadamiał w formie pisemnej właściwego okręgowego inspektora pracy, zgodnie z art. 25¹ par. 5 Kodeksu pracy.

Dlaczego więc Państwowa Inspekcja Pracy nie podejmowała wcześniej stosownych działań, skoro znane były przyczyny zawarcia tych umów?

Udzielenie odpowiedzi na to pytanie wykracza poza moje kompetencje jako inspektora pracy. Prowadzenie wspomnianego rejestru i planowanie ewentualnych kontroli należy do innego organu Państwowej Inspekcji Pracy. Warto jednak wiedzieć, że ustawodawca nie przewidział możliwości odmowy rejestracji umowy formalnie zgłoszonej do okręgowego inspektora pracy, przewidział za to bezwzględny karę za niezgłoszenie takiej umowy, a nawet za zgłoszenie dokonane po upływie 5 dni od zawarcia umowy. Może w tym zakresie wymagana jest jakaś zmiana legislacyjna?

Czy w tej sytuacji pracodawca może powoływać się na legalizm zawierania takich umów, które wszak nie zostały oprotestowane przez PIP?

Oczywiście może, nie musi znać zawiłości nowelizacji art. 25¹ Kodeksu pracy, ale nie zmienia to faktu, iż umowy te nie spełniają od samego początku kryteriów określonych w art. 25¹ par. 4 pkt 4 Kodeksu pracy. Przepis ten jest bezwzględnie obowiązujący, a „przekształcenie” umowy następuje z mocy samego prawa.

Jak to się ma do ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce? Myślę choćby o z natury czasowym zatrudnieniu w grantach.

Konstytucja dla Nauki kwestii tych odrębnie nie reguluje, stosujemy więc w pełnym zakresie art. 25¹ par. 1-3 Kodeksu pracy, także jeżeli chodzi o zatrudnienie na czas określony dla realizacji projektów. Przy czym zaznaczyć należy, iż ta przyczyna zawierania umów na czas określony, wskazywana w umowie przez pracodawcę, przyjmowana jest przez PIP za zgodną z art. 25¹ par. 4 pkt 4 Kodeksu pracy. Warto jednak wspomnieć bardzo istotny wyjątek, kiedy nie mają zastosowania ww. ograniczenia kodeksowe: mianowicie art. 117 par. 2 Ustawy 2.0 umożliwia zawieranie z nauczycielami akademickimi podejmującymi pracę na uczelni po raz pierwszy umów o pracę na okres do 4 lat. A więc na okres dłuższy niż „limit kodeksowy”.

Czy są jakiegóżdż dodatkowe warunki zawarcia takiej umowy?

Wynikają one wprost z Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce: musi to być pierwsze zatrudnienie nauczyciela akademickiego na danej uczelni i może być tylko jedna taka umowa na tej uczelni. Tak więc można zawrzeć „wykraczającą poza normy kodeksowe” umowę z osobą, która zatrudniona już była na danej uczelni, ale nie w charakterze nauczyciela akademickiego. Nie można natomiast zawrzeć takiej umowy z osobą, która zatrudniona była na danej uczelni jako nauczyciel akademicki chociażby przez jeden dzień, nieważne czy pod rządami obecnej, czy którejs z poprzednio obowiązujących pragmatyk.

Możliwe jest zawieranie z osobami podejmującymi pracę na uczelni po raz pierwszy umów na okresy krótsze niż cztery lata?

Tak, jest to dopuszczalne, decyduje o tym zgodna wola stron stosunku pracy. Ale mam wrażenie, a nawet jestem przekonany,



Dr **Leszek Rymarowicz** (ur. w 1963 r.). Z pierwszego wykształcenia jest fizykiem (Uniwersytet Rzeszowski), a stopień doktora nauk technicznych uzyskał na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie w dziedzinie inżynierii środowiska. W Państwowej Inspekcji Pracy od dwudziestu pięciu lat zajmuje się kontrolą i nadzorem przestrzegania przez pracodawców przepisów prawa pracy. Jest specjalistą w zakresie pragmatyk zawodowych regulujących status nauczycieli i nauczycieli akademickich. W obszarze jego zainteresowań zawodowych znajduje się także przeciwdziałanie zjawiskom mobbingu, dyskryminacji i przemocy w miejscu pracy. Doświadczenie zawodowe wzbogaca współpraca ze związkami zawodowymi, środowiskiem naukowym i organizacjami społecznymi. Był także nauczycielem akademickim, obecnie prowadzi zajęcia na studiach podyplomowych. Jest czynny także w nauce, w zakresie jego aktualnych zainteresowań znajduje się ergonomia – jest m.in. członkiem Komisji Ergonomicznej PAN Oddział w Krakowie. Jest prezesem Stowarzyszenia Inspektorów Pracy Rzeczypospolitej Polskiej.

że istotą tego zapisu Konstytucji dla Nauki nie jest stworzenie uczelniom nowych możliwości „kreatywnego” zatrudniania początkujących naukowców, ale – paradoksalnie – stworzenie pewnych ram stabilizacji zawodowej takich pracowników w pierwszych latach pracy, dla umożliwienia im realnej możliwości rozwoju naukowego. A to, tak mi się wydaje, powinno być jednym z priorytetów funkcjonowania systemu nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce. Mam nadzieję, że tak właśnie ukształtuje się praktyka „pierwszego zatrudnienia” nauczyciela akademickiego pod rządami Ustawy 2.0. Jestem optymistą. Ale proszę mi wybaczyć rozważania, które wykraczają nieco poza urząd, który sprawuję.

A jak w odniesieniu do umów „z klauzulą”, których okres trwania uwarunkowany był uzyskaniem doktoratu czy habilitacji, ma się ustawowe zniesienie takiego wymogu?

Ustawa 2.0, która w zasadniczej części weszła w życie 1 października 2018 r., zniósła wymogi posiadania przez nauczyciela akademickiego zatrudnionego na stanowisku asystenta stopnia naukowego doktora oraz posiadania przez nauczyciela akademickiego zatrudnionego na stanowisku adiunkta stop-

nia naukowego doktora habilitowanego. Tak więc wskazane w analizowanych „umowach z klauzulą” przyczyny ich zawarcia, wobec braku w tym zakresie przepisów przejściowych, pozbawione zostały jakiegokolwiek podstawy prawnej, pominięte zostały przedstawiłone przeze mnie wcześniej zagadnienie dopuszczalności zawierania takich umów. Niestety żaden przepis prawa pracy nie reguluje wprost tej hipotetycznej sytuacji. Dotyczy to w szczególności przywoływanego już kilka razy art. 25¹ par. 3 Kodeksu pracy.

Czy umowy „z nieaktualną klauzulą” powinny być automatycznie przekształcone w umowy na czas nieokreślony?

Moim zdaniem sytuacja nie jest oczywista. Wobec braku jasnych uregulowań w przepisach prawa pracy strony takich umów w granicach obowiązującego prawa posiadają swobodę w kształtowaniu ich warunków, także jeżeli chodzi o rodzaj łączącej strony umowy. W oparciu o ogólne zasady prawa cywilnego zmiana treści umowy, a w szczególności zmiana rodzaju umowy, wymagać będzie w tej sytuacji wyrażenia zgodnej woli przez obie strony i nastąpić może zarówno z inicjatywy pracodawcy, jak i pracownika. W przypadku braku takiej zgody powstały spór ze stosunku pracy rozstrzygnąć może w ramach posiadanych uprawnień wyłącznie sąd pracy. Nie widzę tutaj możliwości administracyjnego wpływania przez organ administracji na zmianę rodzaju „umów z klauzulą” na umowy na czas nieokreślony z uwagi na zniesienie w jakimś momencie ich trwania formalnej przesłanki ich zawarcia. To może być rozstrzygnięte wyłącznie przez sąd.

Czy są już jakieś rozstrzygnięcia sądowe takich kwestii?

Nic mi o takich rozstrzygnięciach nie wiadomo. Wiem natomiast o skierowaniu do sądów takich pozwów, chociażby przez pracowników UPK.

Jak ma się do tego wszystkiego zatrudnienie nauczycieli akademickich na czas określony przez mianowanie?

Rzeczywiście pewna grupa nauczycieli akademickich pozostaje jeszcze w zatrudnieniu przez mianowanie na czas określony. Wynika to z zapisów poprzedniej pragmatyki, która zresztą w tym zakresie podlegała modyfikacjom, polegającym m.in. na wprowadzeniu instytucji zawieszenia biegu terminu mianowania np. z uwagi na czas trwania zasiłku chorobowego oraz urlopu macierzyńskiego, a co za tym idzie przedłużenia z mocy prawa okresu zatrudnienia przez mianowanie.

Zatrudnienie przez mianowanie i na podstawie umowy o pracę to odrębne rodzaje stosunków pracy, co w przypadku zatrudnienia przez mianowanie wyłącza odpowiednie stosowanie przepisów art. 25¹ par. 3 Kodeksu pracy. Okres zatrudnienia przez mianowanie nie jest więc wliczany do kodeksowego limitu umów i okresów zatrudnienia na czas określony.

Jaka jest, pana zdaniem, skala problemu, tj. niezgodnego z przepisami prawa pracy zawierania z nauczycielami akademickimi umów o pracę na czas określony?

Niestety taką wiedzę nie dysponuję, z doniesień medialnych wynika jednak, że problem dotyczyć może przynajmniej kilku innych uczelni.

Czy Państwowa Inspekcja Pracy przewiduje przeprowadzenie analogicznych kontroli w innych uczelniach w Polsce?

Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Plan kontroli Państwowej Inspekcji Pracy tworzony jest na szczeblu centralnym, w terenowych jednostkach organizacyjnych PIP decyzje w tym zakresie podejmowane są też przez okręgowych inspektorów pracy. Na pewno jednak inspekcja pracy reaguje na każdą skargę pracowniczą dotyczącą naruszeń przepisów podlegających naszej kontroli. To nasze ustawowe zobowiązanie.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Problem (nie tylko) UPK

Od wiosny powszechnie znana jest informacja o nadmiernej liczbie osób, zwłaszcza nauczycieli akademickich, zatrudnionych na umowach czasowych przez Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie. Tymczasem sprawa nadużywania umów czasowych nie dotyczy tylko tej jednej uczelni. Według danych z OPI na koniec 2020 r. (a zatem przed rozwiązaniem tej sprawy przez UPK, gdzie od maja 2021 r. podpisano umowy na czas nieokreślony z 480 pracownikami z grona prawie 600, w tym 416 nauczycieli akademickich, którzy wcześniej byli zatrudnieni na czas określony), największy problem jest na uczelniach niepublicznych. Wiele z nich zatrudnia pracowników akademickich wyłącznie na umowach na czas określony, jednak te, które uważamy za poważne, nie stosują tej praktyki w nadmiarze.

Powyżej 25% (cezurą całkowicie umowna) nauczycieli akademickich zatrudniona na umowach czasowych 29 uczelni publicznych podległych MEiN. Gdybyśmy uznali za ważną cezurę 20%, dodalibyśmy kolejne 23 uczelnie, co łącznie daje 52 uczelnie publiczne zatrudniające na umowach czasowych ponad 20% nauczycieli akademickich; są w tym gronie najbardziej szacowane uczelnie badawcze. Najwyższe wskaźniki dotyczą jednak uczelni zawodowych. W gronie „powyżej 25%” jest ich 18, a „powyżej 20%” kolejne 7. Najwyższe wskaźniki, powyżej 40%, dotyczą Państwowej Uczelni Zawodowej w Ciechanowie (51%), Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Legnicy (44%), PWSZ w Głogowie (43%) i Uczelni

Państwowej im. Jana Grodka w Sanoku (42%). Aż 44% nauczycieli akademickich na umowach czasowych miał w końcu 2020 r. Uniwersytet Opolski. W gronie 10 uczelni, które na koniec 2020 r. zatrudniały 38% i więcej nauczycieli na czas określony, znalazły się też uczelnie zawodowe z Przemyśla, Wałbrzycha i Koszalina oraz Politechnika Koszalińska. Zatem UPK z 38% nie był osamotniony, a teraz zapewne nie należy już do niechlubnego grona liderów.

W gronie „25% plus” znalazły się tak renomowane uczelnie, jak Uniwersytet Warszawski i Politechnika Warszawska (25%). Uniwersytet Jagielloński zatrudniał na koniec 2020 r. na umowach czasowych 24% nauczycieli akademickich.

Warto jednak spojrzeć także na bezwzględne liczby. Najwięcej nauczycieli akademickich na umowach na czas określony zatrudniał UJ – 1137, zaraz za nim uplasował się UW – 984. W gronie „liderów 300 plus” na koniec 2020 r. były też uniwersytety: Mikołaja Kopernika w Toruniu (513, 22%), Pedagogiczny w Krakowie (416), Łódzki (401, 18%) Opolski (392), Rzeszowski (341, 26%) i Gdański (311, 17%) oraz politechniki: Warszawska (619, 25%) i Wrocławska (421, 20%).

Warto zauważyć, że wiele zatrudnień czasowych wynika z kryteriów merytorycznych i jest uzasadnionych – to np. praca w granicy czy też zatrudnienie na okres próbny.

Piotr Kieraciński

Stanisław Bednarek

Zarys patologii covidogenicznych

Technologie informacyjne stwarzają nie tylko wiele nowych możliwości i ułatwiają życie, ale również powodują szereg niekorzystnych zjawisk społecznych i mają istotne wady. Jednym z tych zjawisk jest pojawienie się nowej grupy przestępstw popełnianych przy użyciu tych technologii, nazywanych cyberprzestępczością. Przykładem jest włamanie dokonane przez hakerów do jednego z portali edukacyjnych i zamieszczenie tam treści o charakterze pornograficznym.

Czwartego marca 2020 r. w Zielonej Górze został wykryty tzw. „pacjent zero”. Tę datę przyjmuje się w Polsce za początek epidemii koronawirusa, która wywarła i nadal wywiera znaczący wpływ na gospodarkę oraz wszystkie dziedziny życia społecznego. To stwierdzenie nie budzi najmniejszych wątpliwości, a wskazujące na jego prawdziwość spektakularne przykłady można podać bez trudu. Nic więc dziwnego, że również w szkolnictwie wyższym pojawiły się negatywne zjawiska i patologie spowodowane przez pandemię, a ich skutki będą trwały jeszcze długo. Celem tego artykułu jest przedstawienie w zarysie przeglądu tych zjawisk.

Zgodnie ze sformułowanym celem będzie podana lista negatywnych zjawisk wraz z ich krótką charakterystyką i przykładami. Tych zjawisk udało mi się doświadczyć lub zaobserwować, gdy występowałem w podwójnej roli: studiowałem zaocznie oraz obroniłem pracę dyplomową i jednocześnie byłem zatrudniony na stanowisku pracownika badawczo-dydaktycznego w oddalonej o kilkaset kilometrów uczelni. Skutkiem tego zmagalem się z problemami organizacji i prowadzenia zajęć oraz sam odczułem konsekwencje zajęć prowadzonych przez innych nauczycieli akademickich w warunkach pandemii.

Załamanie się sytemu planowania zajęć

Podczas kolejnych fal pandemii, szczególnie w początkowych okresach, zachodziła duża dynamika zmian liczby zachorowań. Z tym wiązała się szybka reakcja władz państwowych i wydawanie kolejnych zarządzeń, tzw. obostrzeń, ograniczających kontakty społeczne i funkcjonowanie gospodarki. Za ograniczeniami nie nadążały zmiany form i planów zajęć na uczelniach. Osoby w administracji odpowiedzialne za planowanie zajęć nie były w stanie przewidzieć, czy zajęcia, które normalnie odbywają się w formie stacjonarnej, np. laboratoria, ćwiczenia terenowe, będą mogły odbyć się w tej formie za 2-3 dni. Dlatego w planach zajęć pojawiały się informacje „zajęcia do uzgodnienia z prowadzącym”. Prowadzący nie zawsze sprostali temu zdaniu i nie informowali odpowiednio wcześniej studentów o swoich zamiarach i decyzjach. Bywało więc, że studenci, szczególnie studiów zaocznych, przyjeżdżali z miejscowości odległych o kilkaset kilometrów na zajęcia,

które tymczasem prowadzący odwoływali. Raz jeszcze sprawdziło się znane powiedzenie, że „plany są niczym, planowanie to potęga”.

Brak lub nieadekwatność środków technicznych do prowadzenia zajęć w zaistniałej sytuacji

Przed pojawieniem się pandemii prowadzący zajęcia w różnym stopniu korzystali z technologii informacyjnych i środków multimedialnych. Niektórzy wręcz nadużywali prezentacji, nagrań audio, wideo, odsyłały do stron w Internecie, podręczników online, symulacji komputerowych i ograniczali w ten sposób swoją bezpośrednią aktywność. Innym prowadzącym zwykle wystarczała kreda, tablica i przysłowiowy „plik poźółkłych kartek”. Gdy zajęcia mogły się odbywać już tylko zdalnie, ta druga grupa prowadzących i ich studenci znaleźli się w szczególnie niekorzystnej sytuacji. Prowadzący z pierwszej grupy też nie raz mieli poważne problemy, bo do realizacji niektórych tematów nie mieli odpowiednich aplikacji i środków multimedialnych. Do tego prawie wszyscy odczuli ogólne problemy z brakami infrastruktury informatycznej, jak za mała szybkość transmisji danych, ograniczenia zasięgu, zwłaszcza w małych miejscowościach, zlokalizowanych w niekorzystnych warunkach, np. na wsiach, wśród lasów czy na terenach podgórskich. Nawet w wielkich miastach dotychczasowa szybkość transmisji sieci komputerowych okazała się dalece niewystarczająca z powodu dużej liczby pracujących jednocześnie użytkowników. Zdalne prowadzenie lub udział w zajęciach stawały się wtedy niemożliwe albo wymagały ryzykownych działań. Prowadzący musieli dojeżdżać na uczelnie, a studenci do kolegów, gdzie mieli lepszy dostęp do Internetu.

Niedostateczne przygotowanie uczestników procesu nauczania do używania dostępnych środków technicznych

Różny stopień wykorzystania technologii informacyjnej, przedstawiony w poprzednim punkcie, ściśle wiąże się z różnym poziomem umiejętności ich użytkowania. To stwierdzenie dotyczy zarówno prowadzących zajęcia, jak i studentów. Nie-

którzy z nich wcześniej nie mieli nic wspólnego z aplikacjami stosowanymi do prowadzenia zajęć i zlecany przez władze, jak np. MS Teams czy Zoom. Osoby, które wcześniej ich używały, też nie znały wszystkich możliwości tych aplikacji. Do tego dochodziły problemy z niekompatybilnością różnych aplikacji, np. osławiony MS Teams źle współpracuje z niektórymi przeglądarkami internetowymi, co uniemożliwia transmisję dźwięku. Z tego powodu i ze względu na wcześniej wspomniane ograniczenia pojawiła się grupa uczestników procesu nauczania dotknięta bardzo przykrym w skutkach tzw. wykluczeniem cyfrowym.

Nieumiejętność organizacji zajęć w nowych warunkach

Pandemia w Polsce była zaskoczeniem prawie dla wszystkich. Stąd wynikało ogólne nieprzygotowanie do zaistniałej oraz szybko zmieniającej się sytuacji zarówno pod względem materialnym, organizacyjnym, jak i społecznym. Jednym z przejawów tego zjawiska było nieprzygotowanie nauczycieli i brak umiejętności wielu z nich do organizowania zajęć w warunkach, o których kilka tygodni wcześniej nikt nie myślał.

Nieosiągnięcie celów nauczania zakładanych w programach studiów

Pandemia wymusiła zdalną realizację zajęć. Ponadto niektóre zajęcia nie odbywały się z różnych przyczyn, np. z powodu choroby prowadzącego. W tej sytuacji część celów nauczania zapisanych w programach studiów nie mogła być realizowana. Dotyczy to przede wszystkim celów z grupy umiejętności. Dla przykładu, podczas udziału w zajęciach zdalnych studenci nie mogli nabyć umiejętności wykonywania pomiarów multimetrem bądź niwelatorem, czy nauczyć się montażu układów elektronicznych. Gdyby nawet korzystali z odpowiednich programów symula-

cyjnych, to i tak nabycie takich umiejętności byłoby możliwe tylko częściowo. Nieosiągnięcie zakładanych celów nauczania najprawdopodobniej będzie widoczne w postaci gorszego przygotowania absolwentów, którzy studiowali w czasie pandemii.

Niedostosowanie celów nauczania i poziomu wymagań do zaistniałej sytuacji

Niestety sytuacja zarysowana w poprzednim punkcie często nie powodowała doraźnego dostosowania celów nauczania zapisanych w programach studiów do zaistniałych możliwości ich osiągnięcia. Nie spowodowała też w wielu przypadkach oficjalnego i widocznego na stronach internetowych kierunków studiów, ani nawet podanego przez prowadzących zajęcia do wiadomości studentów, dostosowania poziomu wymagań niezbędnych do zliczenia przedmiotów w nowych warunkach. (Takie dostosowanie miało miejsce w przypadku sprawdzianu dla ośmioklasistów, przed którym ministerstwo podało komunikat o ograniczeniu listy lektur i zakresu materiału z matematyki). Na sprawdzianach i kolokwium przeprowadzanych zdalnie studenci otrzymywali często te same zadania, które mieliby podczas zajęć stacjonarnych. Na studiach technicznych otrzymywali te same tematy i założenia projektów. Bywały też przypadki odwrotne, w których prowadzący przedmiot na prośbę studentów o zmianę lub dostosowanie tematu projektu polecił, żeby... studenci sami go sobie sformułowali. To powodowało dodatkowe trudności wśród osób niemających szerszej znajomości przedmiotu albo prowadziło do kolejnych patologii, takich jak bardzo różny poziom prac, plagiaty i niewspółmierność ocen.

Dezorganizacja życia rodzinnego i zawodowego części uczestników procesu kształcenia

Cytowane na początku sformułowanie „zajęcia do uzgodnienia z prowadzącym” było wygodne dla administracji uczelni, ale często okazywało się w praktyce fatalne dla studentów i prowadzących zajęcia. Wskutek trudności porozumienia między prowadzącymi oraz sprzecznych preferencji grup studentów skutkowało wyznaczaniem zajęć zdalnych lub co gorzej stacjonarnych w terminach niedogodnych dla wielu osób. Studenci studiów zaocznych mieli np. zajęcia zdalne późno wieczorem, gdy było mniejsze obciążenie sieci komputerowej, albo musieli dojeżdżać po kilkaset kilometrów na dwie, trzy godziny zajęć stacjonarnych co tydzień, żeby odbyć ćwiczenia terenowe, bo prowadzący chciał wykorzystywać okres mniejszych obostrzeń albo po prostu miał wtedy czas. Takie zdarzenia prowadziły z kolei do komplikacji w miejscu pracy i dezorganizowały życie rodzinne. Nie było weekendów, w które studenci mogliby odpocząć. W wielu przypadkach zaliczenia i egzaminy albo oficjalnie – poprzez zarządzenia władz uczelni, albo mniej oficjalnie – przez umowy między prowadzącymi i studentami, zostały przesunięte na wrzesień. Studenci musieli się do nich przygotowywać w lecie i zostali przez to pozbawieni wakacji.

Zaburzenia i pogorszenie stanu zdrowia psychicznego i somatycznego uczestników procesu nauczania

Zachorowanie na covid o średnio ciężkim przebiegu powodowało dwie grupy dolegliwości. Do pierwszej należały dolegliwości typu somatycznego, m.in. gorączka, trudności z oddychaniem, zaburzenia układu krążenia. Te dolegliwości miały różne nasilenie i czas występowania – zwykle od kilku dni do kilku tygodni. Mogły minąć bez trwałego uszczerbku na zdrowiu albo spowodować jego długotrwałe pogorszenie o różnym stopniu i czasie utrzymywania się licznym nawet w miesiącach. Druga grupa to dolegliwości ze strony układu nerwowego,



Rys. Sławomir Makal

powodujące objawy o charakterze psychicznym, takie jak zaburzenia pamięci, zanik węgchu, smaku, obniżenie nastroju, trudności z koncentracją uwagi, depresja. Te dolegliwości zazwyczaj utrzymywały się znacznie dłużej i trwały co najmniej kilka miesięcy. Z punktu widzenia możliwości uczenia się i pracy umysłowej szczególnie uciążliwe były problemy z pamięcią („mgła pokowidowa”) i koncentracją uwagi. Trzeba jednak zauważyć, że problemy somatyczne znacząco wpływają na stan psychiczny człowieka, więc w sumie obie grupy dolegliwości negatywnie odbijały się na procesie nauczania. Jednym ze skutków tego było przekładanie terminów zaliczeń i egzaminów przez całe grupy studentów, skrócenie przerwy międzysemestralnej i brak czasu na odpoczynek. Inny spektakularny przykład to nieumieszczenie wykładu fakultatywnego w planie zajęć przez osobę odpowiedzialną za układanie planu. Brakujący do zaliczenia semestru wykład musiał zostać „odrobiony” w ekspresowym tempie i niekorzystnych dla studentów oraz wykładowcy terminach.

Naruszenia praw autorskich nauczycieli i prywatności uczestników procesu nauczania

Zdalne nauczanie i sprawdzanie jego efektów wymagały identyfikacji uczestniczących w nim studentów i kontroli ich zachowania, m.in. samodzielności pracy w aktualnym miejscu pracy, np. w ich prywatnych mieszkaniach, podczas rozwiązywania zadań, pisania testów i sprawdzianów. Z tym związane było okresowe udostępnianie wizerunku studentów i ich otoczenia na żądanie prowadzących zajęcia. Podczas zdalnych wykładów i innych zajęć była konieczna transmisja głosu i wizerunku prowadzących zajęcia. Łatwość zapisu tych danych przy użyciu technologii cyfrowej i przesyłania osobom niepowołanym lub upublicznienia stwarzały okazje do nadużyć w tej dziedzinie. Oto dwa kuriozalne przykłady. Prowadzący zajęcia wymagał od studentki ze śladami choroby na twarzy, która mimo dolegliwości zdecydowała się pisać sprawdzian, żeby wielokrotnie zdejmowała maseczkę w celu sprawdzenia jej tożsamości. Inna studentka, która miała przesłać prowadzącemu zajęcia fotografię napisanej pracy, wysłała zdjęcie pokazujące również wygląd jej dłoni i przedmiotów na stole, ponieważ nie umiała wykonać cyfrowego kadrowania. Niektórzy prowadzący zajęcia, chcąc ułatwić naukę studentom, wysyłali im skany lub fotografie wstępnych wersji swoich rękopisów i szkiców materiałów dydaktycznych. Niestety nie zawsze studenci rozumieli, że te materiały nie powinny być jeszcze szeroko rozpowszechniane i nie zachowywali ich tylko do własnego użytku.

Wzrost cyberprzestępczości i patologii związanych z wykorzystaniem technologii informacyjnej

Technologie informacyjne stwarzają nie tylko wiele nowych możliwości i ułatwiają życie, ale również powodują szereg niekorzystnych zjawisk społecznych i mają istotne wady. Jednym z tych zjawisk jest pojawienie się nowej grupy przestępstw popełnianych przy użyciu tych technologii, nazywanych cyberprzestępczością. Do takich przestępstw należą m.in. włamania hakerskie na strony różnych instytucji lub osób i niszczenie lub zmiana zbiorów zawartych tam informacji. Wykorzystywanie w większym zakresie technologii informacyjnych musiało też spowodować wzrost ilości przestępstw popełnianych w tej dziedzinie. Przykładem jest włamanie dokonane przez hakerów do jednego z portali edukacyjnych i zamieszczenie tam treści o charakterze pornograficznym.

Frustracje i konflikty wśród uczestników procesu nauczania

Niejako naturalną konsekwencją patologicznych zjawisk omówionych w poprzednich punktach jest uczucie frustracji,

zarówno wśród studentów, jak i prowadzących zajęcia. Dodatkowymi czynnikami pogłębiającymi to negatywne uczucie były: przedłużająca się deprywacja kontaktów społecznych, poczucie zagrożenia i niepewności, szczególnie w początkowym okresie pandemii, niepowodzenia podczas zajęć prowadzonych zdalnie, ograniczenia możliwości nauki i pracy spowodowane stanem zdrowia. Zakończenie kolejnych fal pandemii i poprawa sytuacji epidemiologicznej nie oznaczały ustąpienia tych frustracji, które nie zostały odreagowane i mogły przetrwać w formie ukrytej. Zgodnie ze znanym z psychologii twierdzeniem, że „kumulacja frustracji prowadzi do wybuchu agresji w sytuacjach obiektywnie niestresujących”, te frustracje bywają przyczyną różnych konfliktów i napięć między studentami i prowadzącymi zajęcia, np. z powodu zaniżenia oceny z egzaminu zdanego zdalnie czy konieczności powtarzania testu, podczas którego przerwała się łączność internetowa.

Nieliczne skutki pozytywne

Podsumowując trzeba stwierdzić, że podana lista zapewne nie zawiera wszystkich patologicznych zjawisk w szkolnictwie wyższym spowodowanych przez pandemię koronawirusa. Różnego rodzaju patologie są nieodłącznym składnikiem ludzkiej działalności w każdej dziedzinie i występowały w edukacji, gdy o pandemii jeszcze nikt nie myślał. Dla przykładu, patologie w edukacji były tematem XIII Międzynarodowej Konferencji Naukowej z serii „Edukacja XXI wieku”, zorganizowanej w 2015 przez Wyższą Szkołę Nauk o Bezpieczeństwie z siedzibą w Poznaniu. Podając przykłady zaobserwowanych patologii, celowo pominąłem nazwę miejsca, w którym wystąpiły, ponieważ przykłady te miały służyć jedynie pokazaniu zjawiska, a nie krytyce jednostki organizacyjnej w określonej uczelni.

Osobnym problemem badawczym jest zakres występowania tych patologii, gdyż na wydziałach kształcących m.in. informatyków poziom umiejętności sprawnego posługiwania się odpowiednimi technologiami informacyjnymi był wysoki, co niewątpliwie ograniczyło niekorzystne zjawiska. W niektórych uczelniach opracowano nawet własne, znacznie lepsze od rekomendowanych przez władze, aplikacje do nauczania zdalnego i to pozwoliło uniknąć wielu kłopotów.

Wydawać się może paradoksalne, że pandemia miała też zapewne nieliczne pozytywne skutki. Poprzez zdalne nauczanie i pracę w domu oraz ograniczenie bezpośrednich kontaktów społecznych przyczyniła się do przyspieszenia rozwoju technologii informacyjnych i wymusiła wzrost poziomu umiejętności ich wykorzystania. Zawieszenie lub ograniczenie godzin zajęć stacjonarnych spowodowało też zmniejszenie liczby dojazdów i oszczędności na kosztach transportu, zwłaszcza na studiach zaocznych. Niestety efekty kształcenia osiągnęte podczas zajęć zdalnych często były znacznie gorsze niż na zajęciach stacjonarnych. Udało się też spotkać nieliczne osoby, które stwierdziły, że wskutek izolacji mogły bardziej skoncentrować się na pracy nad problemami, którymi wcześniej nie mogły się dokładniej zająć z powodu braku czasu.

Wymienione zjawiska patologiczne będą zapewne przedmiotem szczegółowych badań. Niewątpliwie będą również podejmowane przedsięwzięcia i badania mające na celu eliminację skutków tych zjawisk i poszukiwania zabezpieczeń w przypadku pojawienia się w przyszłości kolejnych nawrotów pandemii i podobnych zagrożeń zdrowotnych o zasięgu globalnym. Jednym z przykładów jest konferencja na temat odbudowy gospodarki po pandemii, której zorganizowanie planuje Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu pod koniec 2021 r.

Dr hab. Stanisław Bednarek, prof. UŁ, pracuje na Wydziale Fizyki i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Łódzkiego

Jacek Raciborski, Danuta Szewczyk-Kłos, Dorota Wierzbicka-Próchniak

Studia to czytanie

Zadbajmy o łatwy i legalny dostęp do lektur akademickich.

Publikujemy ten artykuł ku przestrodze. Inspiracją do jego napisania stanowiło pewne niefortunne zdarzenie, do którego doszło na Uniwersytecie Opolskim w lutym bieżącego roku. W konsekwencji technicznej awarii informatycznych systemów zabezpieczeń wykorzystywanych do ochrony cyfrowych zasobów Biblioteki UO dwa ważne podręczniki Wydawnictwa Naukowego Scholar zostały w sposób nieuprawniony udostępnione w sieci bez jakichkolwiek zabezpieczeń. Zabrało m.in. wtyczki zawierającej funkcję blokującą ruch robotów Google'a na stronie www Biblioteki, co doprowadziło do indeksowania wybranych podstron w wyszukiwarce Google. Awaria została usunięta i zawarto ugodę pomiędzy stronami. Sprawa została definitywnie zamknięta, ale ogólny wymiar problemu pozostał.

Poszanowanie praw autorskich to jedna z podstawowych wartości akademickich. Jeśli na uczelniach dochodzi do naruszeń w obszarze ustawy o prawach autorskich, to uwaga społeczności akademickiej skoncentrowana jest przede wszystkim na zagadnieniu autorskich praw osobistych, a pomijane jest zagadnienie autorskich praw majątkowych. Tymczasem dla funkcjonowania szeroko rozumianego systemu nauki i uczelni fundamentalne znaczenie mają prawa autorskie w obu aspektach. Wszyscy już chyba wiedzą, że plagiat jest przestępstwem (ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych, DzU 1994, nr 24, poz. 83, art. 115 ust. 1). Ale nie każdy nauczyciel akademicki wie, że zeskanowanie i rozesłanie studentom nawet jednego artykułu naukowego może stanowić poważne naruszenie prawa. Odpowiedni przepis brzmi: „Kto bez uprawnienia albo wbrew jego warunkom rozpowszechnia cudzy utwór w wersji oryginalnej albo w postaci opracowania, artystyczne wykonanie, fonogram, wideogram lub nadanie, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2” (art. 116 ust. 1).

Do istotnych naruszeń praw autorskich może dochodzić na wiele różnych sposobów. Wiedza o niektórych jest powszechna, bo są one ogólnie znane, jak np. zarobkowe kopiowanie utworów w masowej skali, a niektóre są mniej oczywiste – jak sytuacje związane z naruszeniami zakresu dozwolonego użytku osobistego. Podobnie upowszechnianie plików zawierających chronione prawem utwory, nawet w sposób prawem dozwolony, stwarza liczne niebezpieczeństwa, które chcemy tu zasygnalizować.

Jeszcze kilka lat temu zmorą wydawców naukowych była nagminna praktyka kserowania całych książek przez liczne na uczelniach punkty kserograficzne, działające na zasadach czysto komercyjnych. Tę plagę wyeliminował postęp

technologiczny. Kserowanie zastąpione zostało skanowaniem całych artykułów, monografii, a zwłaszcza podręczników akademickich bez stosownej licencji. Powstały różnego rodzaju strony www, które udostępniają tego rodzaju pliki z podręcznikami, nieraz na serwerach uczelnianych, ale przeważnie gdzieś w chmurze. Bywa, że wykładowcy, nieświadomi nagannej praktyki i łamania prawa oraz zachęceni przez otoczenie, rozsyłają studentom pliki z cyfrowymi kopiami całych utworów.

Wyjaśnić jednak trzeba, że kserować, skanować i upowszechniać utwory chronione prawem autorskim można w Polsce w szerokim zakresie. To dzięki instytucji dozwolonego użytku prywatnego dopuszczalna jest eksploatacja utworu zarówno w całości, jak i we fragmentach. Ale ten użytek ma pewne ograniczenia, które w praktyce akademickiej są często ignorowane. Regulujący to zagadnienie art. 23 ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych brzmi: „1. Bez zezwolenia twórcy wolno nieodpłatnie korzystać z już rozpowszechnionego utworu w zakresie własnego użytku osobistego. (...) 2. Zakres własnego użytku osobistego obejmuje korzystanie z pojedynczych egzemplarzy utworów przez krąg osób pozostających w związku osobistym, w szczególności pokrewieństwa, powinowactwa lub stosunku towarzyskiego” (art. 23). Podkreślmy: „pozostających w związku osobistym”. A więc student może skserować, zeskanować posiadany lub wypożyczony egzemplarz książki czy artykułu i udostępnić koledze, ale nie może tego uczynić wykładowca. Pomiędzy nim a studentem istnieje bowiem stosunek zawodowy, a nie towarzyski.

Wspomniane ograniczenia dotyczą dozwolonego użytku osobistego, ustawodawca jednak w ustawie o prawie autorskim i prawach pokrewnych przewidział odpowiednie regulacje dotyczące dozwolonego użytku edukacyjnego. Artykuł 27 wspomnianej ustawy stanowi podstawę dozwolonego użytku dla instytucji oświatowych. Wymienia on katalog instytucji i osób, które są uprawnione do korzystania z tego rodzaju dozwolonego użytku, oraz określa zakres korzystania z rozpowszechnionych utworów. W praktyce oznacza to, że takie instytucje jak uczelnie państwowe w ramach dozwolonego użytku edukacyjnego i naukowego mogą zwielfokrotnić i rozpowszechnić utwory na potrzeby zilustrowania treści dydaktycznych. W tym obszarze dozwolonego użytku edukacyjnego mieści się również, od nowelizacji ustawy w 2015 r., korzystanie z utworów na potrzeby e-learningu. Ograniczeniem jest tu udostępnianie utworów wśród uczestników danego kursu. Znacznie więcej, gdy idzie o upowszechnianie chronionych utworów, może uczynić legalnie biblioteka, ale też nie wszystko.

Jak problem ogólnych naruszeń wygląda z perspektywy biblioteki

Powody: niedoinwestowanie infrastruktury informatycznej, niedostępność niektórych tytułów, pandemia – presja **środo-wiska** akademickiego na udostępnianie lektur. Wprowadzony 20 marca 2020 r. na terenie całego kraju stan epidemii postawił biblioteki szkół wyższych w bardzo trudnej sytuacji. Sale wykładowe stały się niedostępne dla studentów, jednak realizacja obowiązujących kursów na poszczególnych latach studiów odbywała się zgodnie z przyjętymi harmonogramami – w formie wirtualnej – i społeczność akademicka, tak jak dotychczas, potrzebowała dostępu do podręczników oraz materiałów niezbędnych do pracy naukowej. Tymczasem wszystkie instytucje kultury pozostawały zamknięte. To prawda, że wciąż można było korzystać z licencjonowanych zbiorów elektronicznych, do których uczelnia wykupiła dostęp, oraz repozytoriów udostępniających treści w formule wolnego dostępu na licencjach Open Access. Jednak była to tylko kropla w morzu potrzeb. Większość materiałów dydaktycznych zgromadzona była przecież w formie drukowanej. Zakup dostępu do baz danych i platform książek elektronicznych wymaga ogromnych środków finansowych i uruchomienia odpowiednich procedur przetargowych, których nawet ustawy i rozporządzenia COVID-19 nie wstrzymały.

Trzeba nadmienić, że część wydawców postanowiła zapewnić dostęp do licencjonowanych źródeł informacji w formie

Open Access lub długo trwających okresów testowych. Uru-chomiony przez wydawców wolny dostęp do zasobów naukowych dotyczył w głównej mierze wybranych kolekcji tematycznych, najczęściej obejmujących najnowsze publikacje dotyczące epidemii COVID-19. Pozostaje jeszcze kwestia tytułów niedostępnych na rynku księgarskim oraz takich, z których czytelnicy mogli korzystać jedynie na miejscu w czytelni. Tymczasem zgodnie z zapisami ustawy z 27 czerwca 1997 r. o bibliotekach (DzU 1997, nr 85, poz. 539) jedną z podstawowych funkcji bibliotek jest udostępnianie zbiorów zgodnie z potrzebami ich użytkowników. Biblioteki musiały zatem poradzić sobie w tej trudnej sytuacji spowodowanej epidemią i znaleźć sposoby na wykonywanie podstawowych zadań. Oczywiście zawsze miały na względzie poszanowanie zapisów przywoływanej już ustawy z 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych.

Rzeczywisty zakres przywileju bibliotecznego

Czy digitalizować? Jakie utwory? Jak chronić zdigitalizowane utwory? W wyniku nowelizacji ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych zasadniczym zmianom w listopadzie 2015 r. uległ art. 28, który stanowi podstawę dozwolonego użytku bibliotek. Na podstawie Dyrektywy 2006/115/WE Parlamentu Europejskiego w sprawie prawa najmu i użyczenia oraz niektórych praw pokrewnych prawu autorskiemu w zakresie własności intelektualnej do polskiego prawodawstwa w ramach dozwolonego użytku bibliotek wprowadzono termin „użyca-



nie” zamiast dotychczasowego terminu „nieodpłatne udostępnianie”. Wspomniana nowelizacja dotyczyła również wprowadzenia wynagrodzenia dla autorów za wypożyczenia biblioteczne (*public lending right*) oraz regulacji dotyczących dzieł osieroconych i dzieł niedostępnych na rynku handlowym.

Artykuł 28 ustawy daje bibliotece mandat, by mogły: „1) używać, w zakresie swoich zadań statutowych, egzemplarze utworów rozpowszechnionych, 2) zwielokrotnić utwory znajdujące się we własnych zbiorach w celu uzupełnienia, zachowania lub ochrony tych zbiorów, 3) udostępniać zbiory do celów badawczych lub poznawczych za pośrednictwem końcówek systemu informatycznego (terminali) znajdujących się na terenie tych jednostek – jeżeli czynności te nie są dokonywane w celu osiągnięcia bezpośredniej lub pośredniej korzyści majątkowej” (ustawa z 11 września 2015 r. o zmianie ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych oraz ustawy o grach hazardowych, DzU 2015, poz. 1639, art. 28).

Zmiany te pozwoliły bibliotece m.in. digitalizować swoje zasoby i udostępnić je na potrzeby realizacji celów badawczych i poznawczych użytkowników.

Niedostępność niektórych tytułów na rynku księgarskim również została zauważona przez ustawodawcę. Regulacja zawarta w art. 35 ust. 2 daje możliwości wymienionym w tym przepisie instytucjom do nieodpłatnego korzystania z takich utworów na podstawie umowy zawartej z organizacją zbiorowego zarządzania wyłonioną w drodze konkursu (art. 35 ust. 2). Niestety, m.in. ze względu na brak wyznaczenia przez MKiDN organizacji zbiorowego zarządzania, do której należało zawieranie umów licencyjnych, regulacja ta jest martwa.

W komentarzu do ustawy pod redakcją prof. Ewy Ferenc-Szydełko pojęcie zwielokrotnienia utworu „powinno być rozumiane jako dopuszczenie nie tylko zwielokrotnienia utworu poprzez sporządzenie jego kopii za pomocą urządzeń kserograficznych, ale także uzyskanie zdigitalizowanej kopii dzieła”. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Komentarz, red. E. Ferenc-Szydełko, wyd. 4, Warszawa 2021, s.190). Natomiast udostępnianie tych zasobów w postaci cyfrowej ogranicza się wyłącznie do terminali znajdujących się na terenie biblioteki. Zapis ten nie będzie miał zastosowania, jeżeli zasady udostępniania utworu zostaną inaczej określone w umowie z właścicielem autorskich praw majątkowych do publikacji. Ponadto biblioteka nie może w ten sposób zwiększać własnych zbiorów, więc udostępniając publikację w postaci elektronicznej, należy wyłączyć z użytkownika drukowany egzemplarz. Zwielokrotnić można jedynie utwory, które biblioteka posiada we własnych zbiorach.

Jak pomóc studentom i wykładowcom w dostępie do publikacji naukowych z poszanowaniem prawa autorskiego i z wykorzystaniem nowoczesnych technologii informatycznych

Nadal zdarzają się w bibliotekach akademickich trudno dostępne lektury, ale w ostatnich latach bardzo poprawiła się sytuacja w zakresie dostępu do literatury naukowej, przynajmniej na uczelniach publicznych. Ich biblioteki udostępniają swoim zarejestrowanym użytkownikom dostęp do światowych baz czasopism naukowych, z których ci mogą nieodpłatnie korzystać bez ograniczeń, również z domowych komputerów, m.in. dzięki licencjom krajowym w ramach finansowanej ze środków MEiN Wirtualnej Biblioteki Nauki. Szybko rozwijają się bazy książek elektronicznych, w tym bazy z polskimi monografiami naukowymi i podręcznikami akademickimi, przykładowo serwis IBUK Libra czy serwisy prawnicze w ofercie Wolters Kluwer.

Korzystanie z nich jest bardzo wygodne. Można sobie drukować fragmenty bądź czytając, robić od razu notatki. Zakupy są dokonywane w zależności od rzeczywistego zapotrzebowania i mogą być ograniczane, jeśli tytuły przestają być wykorzystywane. Z jednego tytułu zakupionego e-booka może jednocześnie korzystać określona w umowie licencyjnej liczba użytkowników.

Inny sposób ułatwienia obiegu literatury naukowej to rozwijanie przez biblioteki uczelniane otwartych repozytoriów gromadzących utwory upowszechniane w formule Open Access i przy tym mające jasno określone licencje typu Creative Commons. Literatury w otwartym dostępie jest coraz więcej. Główny kłopot to trudność w jej porządkowaniu i upowszechnianiu wiedzy o zawartości otwartych zasobów.

Nieraz pojawia się konieczność zeskanowania wersji papierowej książki szczególnie cennej i trudno dostępnej lub też zniszczonej bądź słabej jakości, i udostępnienia jej w formie pliku cyfrowego na terminalach dostępnych w bibliotece. Można to zrobić, ale tylko pod warunkiem odpowiedniego zabezpieczenia pliku, tak aby nie mógł być szeroko rozesyłany lub upowszechniony w sieci bez żadnych zabezpieczeń.

Swobodnie kopiować można natomiast publikacje, które są dostępne w domenie publicznej, czyli takie, których autorskie prawa majątkowe wygasły bądź nigdy ich nie było.

Jednym z zadań współczesnej biblioteki jest organizowanie dostępu do naukowych źródeł informacji. Zbiory biblioteczne udostępniane są w coraz większej części w formie elektronicznej, a użytkownicy zachęceni i szkoleni w zakresie korzystania z baz danych i e-booków. Szkolenia te swoim zakresem obejmują również zagadnienia związane z poszanowaniem prawa autorskiego. Bibliotekarze coraz większą uwagę poświęcają na zajęciach kwestiom związanym z zasadami korzystania z publikacji w wolnym dostępie czy omawianiu zakresu poszczególnych licencji Creative Commons. Kwestia szkoleń jest bardzo istotna, gdyż różne rodzaje licencji oraz typy dostępu dezorientują użytkowników i zniechęcają do korzystania z tych zasobów. Organizowanych jest wiele różnego rodzaju eventów związanych z październikowymi obchodami Open Access Week. Użytkownicy bibliotek mają zapewniony dostęp tylko dla uprawnionych czytelników, jak np. HAN (Hidden Automatic Navigator). Ponadto jedną z funkcji bibliotek akademickich jest organizowanie instytucjonalnych repozytoriów, gdzie publikacje udostępniane są za zgodą autorów. Dzięki tym działaniom studenci i pracownicy nauki mogą korzystać z elektronicznych źródeł z poszanowaniem prawa autorskiego.

Kilka zdań podsumowania

Jak już zostało to zaznaczone na wstępie poszanowanie praw autorskich to jedna z podstawowych wartości akademickich. Biblioteki dysponują odpowiednimi uprawnieniami związanymi z użyczeniem, zwielokrotnieniem i udostępnianiem utworów i zawsze dokładają wszelkich starań, by udostępnić zbiory zgodnie z zapisami ustawy z 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Niestety czasami nawet najlepsze systemy zabezpieczeń zawodzą i dochodzi do niekontrolowanego wycieku danych. Dlatego tak ważne jest kształcenie użytkowników w zakresie dozwolonego użytku jak i wdrażanie najnowszych technologii do zabezpieczenia zasobów przed nieuprawnionym wykorzystaniem. Biblioteki akademickie bardzo aktywnie propagują idee wolnego dostępu do publikacji, by zapewnić czytelnikom jak najszerszy legalny dostęp do literatury.

Jacek Raciborski, prezes Wydawnictwa Naukowego Scholar
Danuta Szewczyk-Kłos, dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Opolskiego
Dorota Wierzbicka-Próchniak, zastępca dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Opolskiego

Czytelnia czasopism

Miód z Marsa

Technologie kosmiczne to metody służące nie tylko do eksplorowania przestrzeni pozaziemskej. Za sprawą lektury „Biuletynu AGH” (nr 159-160/2021) przekonujemy się, że istnieje wiele innych obszarów, w których sprawdzają się one z równie dobrym skutkiem. Weźmy pod uwagę chociażby globalne rozwiązanie nawigacyjne, czyli popularny obecnie system pozycjonowania GPS. Jak bardzo ułatwił ludziom możliwość wskazania konkretnych obiektów na mapie. A satelity wykorzystywane do monitorowania wilgotności gleby i zawartości obecnych w niej mikro i makroelementów? Ich wpływ na poprawę jakości upraw jest już dziś wyraźnie zauważalny.

W Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie wiedzą, że warto jest korzystać z istniejącego potencjału technologii kosmicznych, dlatego uczelnia ze stolicy Małopolski od lat angażuje się w rozwój funkcjonujących rozwiązań na wiele różnych sposobów. Razem z partnerami z Francji, Niemiec, Szwecji i Luksemburga AGH tworzy sieć uniwersytetów kosmicznych UNIVERSEH (European Space University for Earth and Humanity), po to, by rozwijać współpracę w obszarach obejmujących inżynierię i biznes kosmiczny, nauki społeczne i humanistyczne, a także medycynę i sztukę. Studenci z AGH od sześciu lat budują rakiety sondujące i łaziki planetarne. Wysyłają do stratosfery balony z różnym ładunkiem. A ponieważ ludzkość coraz intensywniej szykuje się do kolonizowania Marsa, krakowscy studenci myślą już o tym, jak poradzić sobie z kwestią aprowizacji w nowym miejscu osiedlenia. Panaceum w postaci lokalnej hodowli roślin wymagałoby rozwiązania problemu zapylaczy. W AGH trwają więc prace nad skutecznym transportem pszczoł, które do roli zapylaczy nadają się idealnie.

Otwarci na świat

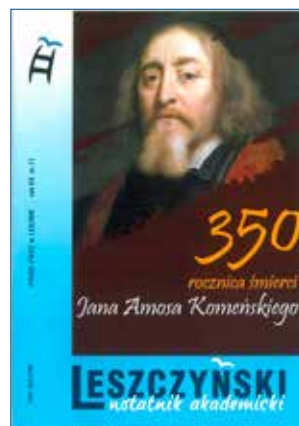
Pięćdziesiąt kierunków studiów z niemal wszystkich dziedzin, a więc humanistyki i nauk społecznych, nauk ścisłych oraz przyrodniczych, taką ofertą edukacyjną dysponuje Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach. Ta największa w województwie świętokrzyskim uczelnia, której historia sięga roku 1969, kształci 12 tysięcy studentów. Obecnie w jej strukturze znajduje się sześć wydziałów oraz dwie filie, jedna w Piotrkowie Trybunalskim, kolejna w Sandomierzu. Dynamiczny rozwój uczelni stał się możliwy m.in. dzięki efektywnemu pozyskiwaniu funduszy strukturalnych z Unii Europejskiej oraz umiejętnemu gospo-

darowaniu środkami pochodzącymi z budżetu państwa. Dzięki programowi Erasmus+ udało się zrealizować międzynarodową wymianę, w ramach której do Kielc przybywają studenci z różnych części Europy, a ich polscy koledzy wyjeżdżają poza granicę naszego kraju.

Wrażenia z doświadczeń związanych z uczestnictwem w programie opisuje „Czasopismo Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach” (nr 1/2021). Z zamieszczonych na jego łamach wypowiedzi młodych ludzi jasno wynika, że dostrzegają oni wyłącznie korzyści płynące z przeżytych doświadczeń. Wszyscy zgodnie podkreślają, że wyjazd był przygodą życia i spełnieniem marzeń, a także okazją, by nie tylko zdobyć wiedzę, ale również poznać odmienną kulturę oraz nawiązać nowe przyjaźnie. Trudny czas pandemii, który w znaczący sposób ograniczył możliwość mobilności, nie wymusił na szczęście konieczności całkowitej rezygnacji ze studenckich peregrynacji.

Czas podsumowań

Co można osiągnąć w czasie ośmiu lat? Czy taki czas jest wystarczający, by wprowadzić w życie założone wcześniej cele? Na te i wiele innych pytań odpowiada prof. dr hab. Maciej Pietrzak, prorektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie. W wywiadzie udzielonym „Leszczyńskiemu Notatnikowi Akademickiemu” (nr 71/2021) interlokutor dokonuje subiektywnego bilansu dwóch kadencji, kiedy to sprawował funkcję rektora. Do niezaprzeczalnych sukcesów rozmówca zalicza udaną realizację znaczącej części, podzielonych na pięć różnych grup, projektów. Ich szerokie spektrum tematyczne jest wyrazem zrozumienia złożoności skomplikowanego procesu edukacji. Wymiernym wskaźnikiem potwierdzającym osiągnięcie wysokiej jakości kształcenia PWSZ w Lesznie, jest, zdaniem prof. Pietrzaka, zarówno



podwojenie liczby oferowanych kierunków, jak i wprowadzenie pięciu kierunków magisterskich oraz drugiego stopnia, a także rozwój „leszczyńskiego modelu studiów dualnych” i powołanie do życia Rady Dyrektorów Szkół Ponadgimnazjalnych. To ostatnie posunięcie ma ścisły związek z przekonaniem rozmówcy o potrzebie ścisłej współpracy ze szkołami różnego typu.

Prof. Pietrzak zwraca uwagę na rolę, jaką w istniejącym systemie szkolnictwa wyższego w Polsce mają do odegrania uczelnie zawodowe. Ich funkcje, zarówno edukacyjne, jak i kulturowe, pozwalają, jego zdaniem, na aktywizację młodzieży pochodzącej z mniejszych miejscowości, która dzięki istnieniu tego rodzaju podmiotów zyskuje szansę zdobycia wykształcenia. Biorąc pod uwagę wszystkie atuty, ważne jest więc, by doceniać i wspierać tego rodzaju ścieżkę edukacyjną. Zachęta niech będą istniejące badania naukowe potwierdzające fakt, że szkoły zawodowe wywierają pozytywny wpływ na strukturę oraz rozwój społeczno-gospodarczy miast czy regionów, w których się znajdują.

Aneta Zawadzka

Rozmowa z Łukaszem Nowakiem, wiceprezesem PCG Academia

Ludzie to nasz największy kapitał

PCG Academia to jedna z najszybciej rozwijających się spółek, na polskim rynku rozwiązań IT dla uczelni. W ciągu ostatnich kilku lat firma rozwinęła portfolio 20 nowoczesnych systemów informatycznych, a z jej usług korzystają wiodące polskie uczelnie, na czele z Uniwersytetem Jagiellońskim, Uniwersytetem Warszawskim i Akademią Leona Koźmińskiego. O aktualnej sytuacji na rynku IT dla uczelni oraz o szansach i wyzwaniach, jakie niesie ze sobą cyfryzacja szkół, rozmawiamy z Łukaszem Nowakiem, wiceprezesem zarządu odpowiedzialnym za strategię i rozwój PCG Academii.

PCG Academia należy do międzynarodowej grupy kapitałowej. W jaki sposób firma PCG trafiła do Polski i czym aktualnie się zajmuje?

PCG Academia to integralna część Public Consulting Group – amerykańskiej firmy doradczej założonej w 1986 roku przez Williama Mosakowskiego. PCG specjalizuje się w usługach consultingowych i informatycznych dla instytucji z sektora publicznego w obszarze edukacji, ochrony zdrowia i opieki społecznej. W USA osiągnęliśmy spory sukces – pracujemy z największymi sieciami szkół, takimi jak Boston Public Schools, Miami Dade czy Los Angeles Unified School District, a swoje przedstawicielstwa mamy we wszystkich 50 stanach Ameryki Północnej i w kilku prowincjach w Kanadzie.

W Polsce jesteśmy obecni od 2010 roku, ale pierwszej poważnej inwestycji dokonaliśmy w 2015 roku, kiedy to przejęliśmy udziały dwóch spółek informatycznych z sektora edukacyjnego. Jedną z nich była firma LIBRUS z Katowic, lider na rynku usług informatycznych dla oświaty. Drugą spółką była Partners in Progress z Rzeszowa, którą w 2017 roku przekształciliśmy w PCG Academia. Dziś te dwa podmioty z grupy kapitałowej PCG obsługują szkoły na wszystkich poziomach edukacji w Polsce i robią to z dużymi sukcesami.

Jak rozumiem, mija zatem sześć lat, odkąd PCG zaangażowało się po raz pierwszy w sektor szkolnictwa wyższego w Polsce. Co przez ten czas zmieniło się w PCG Academia?

Praktycznie wszystko. Gdy w 2015 roku przejmowaliśmy Partners in Progress, firma była spółką kapitałową typu spin-off działającą przy uczelni. Zatrudniała niecałe 50 osób, w portfolio miała jeden produkt (system dziekanatowy) i świadczyła usługi dla kilkunastu uczelni. Dziś w PCG Academia zatrudniamy ponad sto osób, w naszym portfolio mamy przeszło 20 nowoczesnych produktów i usług, a współpracuje z nami kilkadziesiąt uczelni ze ścisłej czołówki rankingu „Perspektyw”.

Wszystko to nie byłoby możliwe, gdyby nie zespół, jaki udało się nam skompletować w PCG. Usługi IT dla uczelni to bardzo niszowa i wysoko specjalistyczna branża, a w PCG Academia mamy na pokładzie osoby, które mają w niej po kilkanaście lat doświadczenia. Ludzie to zdecydowanie nasz największy kapitał. To właśnie dzięki naszym pracownikom możliwy był rozwój i poszerzenie oferty produktowej PCG, a stąd był już tylko krok do nawiązania współpracy z wiodącymi szkołami z całego kraju.

Tak dynamiczny rozwój portfolio produktowego to nie lada wyczyn. W jaki sposób udało się tego dokonać w tak krótkim czasie?

Rozwój portfolio PCG Academia nie byłby możliwy bez ścisłej współpracy z naszymi partnerami z kraju i zagranicy. Od samego początku naszej obecności w Polsce postrzegaliśmy rolę PCG nie tylko jako producenta oprogramowania, ale przede wszystkim jako integratora nowoczesnych technologii dla uczelni. Działając w tym duchu na przestrzeni ostatnich kilku lat, zawarliśmy szereg umów partnerskich, w ramach których odpowiadamy za sprzedaż, wdrożenia i utrzymanie systemów IT, dostarczanych przez zewnętrznych producentów.

Aktualnie do najważniejszych partnerów produktowych PCG Academia należą amerykańskie firmy Blackboard i Open LMS (dwaj wiodący producenci platform e-learningowych), norweska firma INSPERA (producent platformy do elektronicznego egzaminowania studentów) oraz od niedawna WEBCON – polska firma dostarczająca system do elektronicznego obiegu dokumentów i automatyzacji procesów na uczelniach. Oczywiście lista naszych partnerów nie jest i nigdy nie będzie zamknięta. Jak długo na międzynarodowych rynkach edukacyjnych będą pojawiały się innowacyjne i wartościowe usługi IT, tak długo będziemy chcieli je identyfikować i dostarczać „na tacy” do polskich szkół wyższych.

Takie podejście nie wyklucza rozwoju własnych rozwiązań. Jesteśmy autorem jednego z najpopularniejszych w Polsce sys-

temów dziekanatowych, wykorzystywanych przez przeszło 30 uczelni (ok. 220 tysięcy studentów), a nasz nowy system do zarządzania nauką, Sciencecloud, działa w wiodących uczelniach badawczych i instytutach naukowych w całym kraju.

Które rozwiązania PCG Academia cieszą się obecnie największym zainteresowaniem ze strony uczelni i dlaczego? Na które produkty PCG spodziewacie się największego zapotrzebowania w nadchodzącej przyszłości?

Rynek szkolnictwa wyższego cechuje duża sezonowość. Jest ona ściśle związana z dostępnością środków unijnych, które od lat stanowią główne źródło finansowania inwestycji w IT na uczelniach. Duże znaczenie mają też zmiany legislacyjne wprowadzane przez Ministerstwo Edukacji i Nauki.

Dla przykładu, w ostatnich dwóch latach uczelnie żyły przede wszystkim kwestiami związanymi z ewaluacją działalności naukowej. W odpowiedzi na bardzo konkretne zapotrzebowanie dotyczące ewidencji i analizy danych naukowych narodził się Sciencecloud – nasz system do zarządzania nauką, z którego korzystają m.in. dwie największe uczelnie badawcze w Polsce: Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski.

Z kolei pandemia koronawirusa i związane z nią lockdowny skierowały uczelnie w stronę produktów związanych z kształceniem na odległość. Szczególną aktywnością w tym zakresie wykazywały się topowe uczelnie niepubliczne: Akademia Leona Koźmińskiego czy Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej, które za sprawą naszego systemu INSPERA przeniosły całość procesów związanych z egzaminowaniem studentów do Internetu.

Jeżeli chodzi o najbliższą możliwą do przewidzenia przyszłość, to spodziewamy się skokowego wzrostu zainteresowania platformami do elektronicznego obiegu dokumentów (EOD), takich jak oferowany przez nas WEBCON BPS. Potrzeba automatyzacji procesów na uczelniach występowała oczywiście już przed pandemią, jednak ogólnokrajowy lockdown zdecydowanie przyspieszył starania uczelni o pozyskanie systemów klasy EOD. W dzisiejszej rzeczywistości student czy dydaktyk muszą mieć możliwość załatwiania spraw administracyjnych bez konieczności fizycznej obecności na uczelni – to za kilka lat będzie standard, ale dziś jest zupełnie nieoczywiste.

Za nami już dwie duże perspektywy finansowania z Unii Europejskiej, w których sporo środków przeznaczono na infrastrukturę i systemy IT. Czy rynek usług informatycznych dla edukacji wyższej jest już wysyceny? Jak ocenia pan obecny stan informatyzacji szkół wyższych w Polsce?

Powiedziałbym, że za nami pierwszy udany etap procesu cyfryzacji polskich szkół wyższych. Zdecydowana większość uczelni wyposażona jest już w podstawowe narzędzia informatyczne, takie jak systemy dziekanatowe czy finansowo-księgowo. Te rozwiązania nie budują jednak przewagi konkurencyjnej uczelni – nie słyszałem, aby jakikolwiek student zapisał się na studia ze względu na posiadany przez uczelnię system dziekanatowy czy system ERP. Rozwiązania dziedzinowe zapewniają szkołom wyższym przede wszystkim sprawne funkcjonowanie i pozwalają wprowadzić sprawozdawczość do systemów ministerialnych, takich jak POL-on czy PBN.

Nie można zapominać, że wszystkie wdrożone systemy trzeba będzie teraz utrzymać i to niezależnie od modelu, w jakim zostały dostarczone do uczelni. Systemy wdrażane i utrzymywane samodzielnie, takie jak Moodle czy USOS, wymagają zatrudnienia przez uczelnie od kilku do kilkunastu osób, a pojedynczy etat programisty w Warszawie czy w Krakowie to obecnie kilkanaście tysięcy złotych brutto. Wykorzystanie systemów oferowanych komercyjnie również związane



Łukasz Nowak jest entuzjastą nowoczesnych technologii edukacyjnych, od 13 lat związanym z amerykańską firmą doradcą Public Consulting Group. W latach 2008-2010 pracował w centrali firmy w Bostonie, realizując projekty doradcze i technologiczne na zlecenie amerykańskich jednostek administracji stanowej i samorządowej. W 2010 roku odpowiedzialny za wprowadzenie PCG na polski rynek. W latach 2014-2015 zaangażowany w przejęcie dwóch spółek kapitałowych, działających na polskim rynku edukacyjnym. Od 2015 roku pełni rolę wiceprezesa Zarządu w PCG Academia, odpowiadając za strategię i rozwój firmy na polskim rynku szkolnictwa wyższego. Studiował m.in. w Clark University pod Bostonem (Business Communication), w Szkole Głównej Handlowej (zarządzanie IT), na Uniwersytecie Łódzkim (zarządzanie oświatą) oraz w Akademii Leona Koźmińskiego (zarządzanie sprzedażą). Posiada certyfikacje Project Management Professional (PMP) oraz Agile Certified Practitioner (PMI-ACP) nadawane przez międzynarodowy Instytut Zarządzania PMI.

jest ze stałymi opłatami serwisowymi lub subskrypcyjnymi dla uczelni.

Decydenci, zarówno na poziomie instytucji finansujących szkolnictwo wyższe w Polsce, jak i władze poszczególnych uczelni, powinni rozumieć, że IT już zawsze będzie znaczącą pozycją w ich planach finansowych. Brak inwestycji w rozwój i utrzymanie systemów informatycznych na uczelniach może spowodować paraliż poszczególnych procesów oraz dalsze zwiększanie dystansu pomiędzy uczelniami z Polski a doskonale z informatyzowaną światową czołówką szkół wyższych.

Powiedział pan, że systemy dziedzinowe nie budują przewagi konkurencyjnej uczelni. Gdzie zatem szukać wartości w inwestycjach w systemy informatyczne?

To oczywiście zależy od rodzaju uczelni, jej aktualnej pozycji na rynku oraz od tego, co ta uczelnia chce osiągnąć. Podam dwa przykłady. Kilka wiodących uczelni niepublicznych, które zdecydowaną większość przychodów czerpią z czesnego, wdraża

Na zdjęciu członkowie zespołu zarządzającego PCG Academia.
Od lewej: Tomasz Buczak, Dyrektor ds. Technologii, odpowiedzialny za rozwój oprogramowania i strategię chmurową oraz Mateusz Adamiak, Dyrektor Operacyjny, odpowiedzialny za nadzór nad realizacją projektów IT i obsługę klientów.



obecnie systemy klasy CRM (z ang. Customer Relationship Management). Dzięki tego typu rozwiązaniom szkoła może między innymi monitorować ścieżkę kandydata na studia – od jego pierwszego kontaktu z uczelnią (np. za pomocą strony internetowej uczelni), aż po finalną rejestrację w systemie rekrutacyjnym uczelni. W rezultacie uczelnie gromadzą niezwykle przydatne dane na temat efektywności działań marketingowych i po pewnym czasie są w stanie bardzo precyzyjnie określić, które z nich przynoszą najlepsze rezultaty. To z kolei przekłada się na bardziej racjonalne wykorzystanie budżetu marketingowego w kolejnej rekrutacji i potencjalnie wyższy poziom naboru na studia.

Inny przykład dotyczy procesu ewaluacji działalności naukowej. Jak wiemy, odpowiednie obsadzenie slotów publikacyjnych w poszczególnych dyscyplinach przekłada się na wynik ewaluacji, a ten z kolei może skutkować dodatkowymi środkami dla uczelni w ramach tzw. Inicjatywy Doskonałości. Z tego powodu wiele uczelni przygotowujących się do ewaluacji zdecydowało się skorzystać z naszego systemu Sciencecloud, który zapewnia stały i pełny wgląd w sytuację w poszczególnych dyscyplinach i pozwala nie tylko weryfikować te dane, ale również proaktywnie kształtować politykę publikacyjną uczelni.

W Polsce mocny akcent kładzie się na rozwiązania na licencjach open source oraz narzędzia wytwarzane przez uczelnie. Czy te inicjatywy są konkurencyjne, czy komplementarne w stosunku do działań prowadzonych przez PCG?

Rzeczywiście polskie uczelnie bardzo intensywnie wykorzystują oprogramowanie rozwijane samodzielnie lub na licencji open source. Z moich obserwacji wynika, że do top 3 tego typu rozwiązań w Polsce należą: system dziekanatowy USOS, platforma e-learningowa Moodle oraz repozytorium naukowe DSpace. Oferta produktowa PCG Academia od początku była budowana jako komplementarna w stosunku do tych rozwiązań. Oczywiście posiadamy własne, alternatywne systemy dziedzinowe, ale ich wdrożenie nie jest niezbędne, abyśmy mogli współpracować z daną uczelnią. Dla przykładu, mamy coraz więcej integracji pomiędzy rozwiązaniami PCG Academia a systemem dziekanatowym USOS. W oparciu o API USOS-a lub specjalnie przygotowane przez nas integratory wymieniamy się danymi i wspólnie obsługujemy uczelniane procesy. Takie integracje funkcjonują między innymi na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie – na styku USOS-a z naszą platformą e-learningową i systemem do zarządzania nauką, czy w Uniwersytecie

Marii Curie-Skłodowskiej, gdzie z USOS-em zintegrowaliśmy nasz system rekrutacji kandydatów na studia.

W obszarze kształcenia na odległość wszystkie nasze produkty są zaprojektowane w taki sposób, aby wymieniać dane z systemem Moodle. Mam tutaj na myśli m.in. system INSPIRA do elektronicznego egzaminowania studentów, system Intelliboard do analizy danych pochodzących z platform e-learningowych czy choćby Blackboard Ally dbający o dostępność treści tworzonych na tego typu platformach. Oczywiście tam, gdzie – jak w przypadku Uniwersytetu Jagiellońskiego – jest determinacja do tego, aby wymienić Moodle na jedną z dwóch oferowanych przez nas platform e-learningowych: Blackboard Learn Ultra lub OpenLMS, jesteśmy gotowi taką migrację przeprowadzić.

Jeżeli chodzi o DSpace, to poszliśmy nawet o krok dalej i staliśmy się certyfikowanym dostawcą tego oprogramowania na polskim rynku edukacyjnym. Jako partner LYRASIS, amerykańskiego konsorcjum uczelni, które kieruje pracami nad rozwojem DSpace, jesteśmy dobrze przygotowani do prowadzenia projektów polegających na wdrażaniu lub aktualizacji tego typu repozytoriów.

Jakie są, pana zdaniem, aktualnie największe wyzwania dotyczące informatyzacji szkół wyższych w Polsce?

Jest ich kilka. Po pierwsze, uczelnie powinny traktować IT poważnie. Wiele toczących się aktualnie projektów informatycznych realizowanych jest w trybie ad hoc, tylko dlatego, że jest na to dostępne finansowanie, a nie dlatego, że wymaga ich strategia rozwoju uczelni. Osoby, które odpowiadają za informatyzację na uczelniach – dyrektorzy IT – często nie mają możliwości kształtowania strategii i budżetu uczelni. W tym obszarze dużo jest do zrobienia przez samych rektorów, którzy swoim autorytetem i zwiększonymi w ostatnim czasie kompetencjami zarządczymi mogą wyposażyć uczelnianych liderów IT w narzędzia i przywileje odpowiednie do tego, aby być skutecznym.

Po drugie, nieunikniona wydaje się migracja systemów utrzymywanych na szkolnych serwerach do chmury. Uczelniana infrastruktura IT coraz częściej nie wytrzymuje próby czasu, a to, jak pokazują liczne artykuły na portalu „Niebezpiecznik”, coraz częściej prowadzi do wycieku danych i narażania dobrego imienia uczelni na szwank. Nikt nie przekona mnie, że własnym sumptem będzie w stanie zapewnić skalowalność i bezpieczeństwo na poziomie porównywalnym do tego, które oferuje Jeff Bezos i jego Amazon Web Services czy Satya Nadella i Micro-



Prof. Łukasz Sułkowski pełni funkcję Prezesa Zarządu PCG Polska, spółki pełniącej nadzór nad PCG Academia oraz LIBRUS. Na zdjęciu prof. Ł. Sułkowski podczas inauguracji konferencji Liderzy Zarządzania Uczelnią LUMEN, organizowanej corocznie przez PCG Academia w Warszawie.

soft, biorąc pod uwagę miliardowe budżety, jakimi dysponują te firmy na badania i rozwój w obszarze technologii chmurowych.

Po trzecie, ważny jest dalszy rozwój. W Polsce mamy dość poważny problem z dostępnością uczelnianych witryn internetowych i platform e-learningowych, przez co wielu studentów ze specjalnymi potrzebami nie może uczestniczyć w procesie edukacyjnym na równych zasadach z innymi studentami. Ponadto polskie uczelnie rokrocznie tracą tysiące studentów (tzw. drop-outs) z powodu niedopasowania potencjału i zainteresowań studentów do realizowanego przez nich programu studiów – brakuje oprogramowania wspierającego doradztwo edukacyjne i retencję studentów. To tylko kilka realnych problemów, z jakimi aktualnie się borykamy. Tematy te powinny trafiać na agendę konferencji rektorskich czy senatów poszczególnych uczelni i być przedmiotem troski ze strony środowiska akademickiego.

Listopad to tradycyjnie miesiąc, w którym PCG Academia organizuje konferencję LUMEN – w tym roku po raz pierwszy przy udziale Times Higher Education. Czemu firma IT angażuje się w tego typu działania?

To prawda. LUMEN 2021 to już siódma edycja, obecnie chyba największej i najbardziej rozpoznawalnej konferencji dotyczącej zarządzania uczelniami w Polsce. Jesteśmy bardzo dumni z tego projektu. LUMEN powołaliśmy do życia z dwóch

powodów. Po pierwsze, jako firma pracująca od 35 lat w sektorze publicznym wiedzieliśmy, że aby móc świadczyć wysokiej jakości usługi, dobrze dopasowane dla polskich uczelni, musimy w pierwszej kolejności zrozumieć ich potrzeby. LUMEN jest dla nas prawdziwą skarbnicą wiedzy o tym, w jaki sposób myślą decydenci uczelni – co ich interesuje, co frustruje oraz co powoduje, że chcą wprowadzać zmiany w swoich organizacjach.

Po drugie, potrzebowaliśmy forum dzielenia się dobrymi praktykami pomiędzy uczelniami. Cóż z tego, że wypracujemy nawet najlepsze rozwiązanie z jednym uniwersytetem, skoro nikt inny o nim nie usłyszy? Dlatego nieodłącznym elementem LUMEN jest konkurs na najciekawsze i najbardziej innowacyjne projekty realizowane w polskich uczelniach, który uczelniane inicjatywy prezentuje „w pełnym świetle”. Stąd nazwa projektu.

Gdy w zeszłym roku, w naszej konferencji online udział wzięło 1200 osób, zrozumieliśmy, że LUMEN, aby dalej rosnąć, musi stać się wydarzeniem międzynarodowym. Partnerstwo PCG Academia z Times Higher Education jest jednym z działań, które podjęliśmy, aby poszerzyć zasięg LUMEN-ów i dostarczyć dodatkową wartość uczestnikom konferencji. Współpraca z Times Higher Education ma również na celu upowszechnienie wiedzy o międzynarodowych rankingach THE World University Rankings oraz THE Impact Rankings wśród polskich szkół wyższych.

lumen
23 | 24
listopada 2021

VII KONFERENCJA
**LUMEN 2021
ONLINE**

VII edycja konferencji LUMEN odbędzie się
23 i 24 listopada 2021 r. w formule online.

Prof. Łukasz Sułkowski
Prezes PCG Polska,
Ministerstwo Jagielloński,
Spółeczna Akademia Nauk

Prof. Jerzy Woźnicki,
Prezes Fundacji
Rektorów Polskich

Organizatorzy: PCG Academia THE
Patronat Honorowy: Minister Edukacji i Nauki
Patronaty: ASAP
Forum

Jurty w Parku Narodowym Gorchi-Tereldź.



Marek Misiak

W domu Innego

Angielski to nie tylko narzędzie komunikacji w ramach międzynarodowej społeczności naukowej. Jeśli chcemy, by język giętki wyraził wszystko, co pomyśli głowa, musimy spróbować wejść do domu Innego.

Podczas nauki języka obcego można wskazać etapy, gdy obca mowa staje się do pewnego stopnia nasza. Pamiętam te momenty, gdy mogłem pierwszy raz po angielsku, a potem po niemiecku obejrzeć film, przeczytać powieść, przeczytać książkę naukową. Potem przychodzi czynne użycie języka, gdy możesz słuchać w nim cudzych zwierzeń, samemu się zwierzać, przyjaźnić się w tym języku. Dla mnie najintymniejszym doświadczeniem kontaktu z językiem obcym jest jednak spowiadanie się w nim, gdy sumienie przyznaje, że nie tylko zgrzeszyłem, ale też I've sinned, ich habe gesündigt. Obcy język staje się mój, ale nigdy nie do końca. Mówienie do native speakera w jego/jej ojczystym języku to jak wejście do cudzego domu – nie mogę być pewien, czy w którymś momencie nie naruszę tutejszych zwyczajów albo czyjeś wrażliwości. Z innych języków wrażliwości można się uczyć, a również w języku nauki kategoria wrażliwości ma znaczenie.

Zaskakujące może być dla wielu, że w tekście prezentującym zmierzające do obiektywnego poznania badania naukowe znaleźć się mogą sformułowania obraźliwe i raniące. Nie chodzi tu o język jawnie niemający nic wspólnego z szacunkiem do bliźniego, jak nazywanie osób z niepełnosprawnością „kalekami”, ale o różnicę między „osobą niepełnosprawną” a „osobą z niepełnosprawnością”. W pierwszym przypadku opisywany człowiek jest postrzegany głównie przez pryzmat niepełnosprawności, w drugiej jest ona tylko jedną z jego cech. To właśnie z anglojęzycznego piśmiennictwa naukowego wywodzi się np. sformułowanie „osoba w kryzysie bezdomności”, stosowane zamiast „osoby bezdomnej” dla uniknięcia etykietowania (labelling).

W międzynarodowych czasopismach naukowych redaktorzy zwracają na to baczniejszą uwagę, dlatego warto unikać sformułowań takich jak w następujących przykładach: „The study included 32 asthmatics and 30 diabetics”. Opisywane osoby są postrzegane przez pryzmat swoich przypadłości. Mimo iż takie postrzeganie jest uzasadnione z uwagi na tematykę cytowanego studium, nadal zawęża ona obraz tych pacjentów do ich chorób (trochę jak u niektórych XIX-wiecznych lekarzy, którzy widzieli nie tyle pacjentów, co „przypadki”). Wystarczy skonstruować zdanie tak: „The study included 32 patients with asthma and 30 patients with diabetes”, i widać, że mowa jest o osobach, a nie wyłącznie o chorych. W anglojęzycznej literaturze naukowej unika się też przymiotnika elderly (starszy, starsza, starsi) jako konotującego negatywne stereotypy o osobach w zaawansowanym wieku. Zamiast niego stosowane jest wyrażenie z rzeczownikiem: elderly patients/persons/people. Istotne jest też, aby w miarę możliwości nie przedstawiać osób dotkniętych różnymi przypadłościami jako ofiar, gdyż ofiara kogoś lub czegoś to ktoś przegrany i pokonany. „Patients suffering from AIDS were treated with potent antiretroviral therapy” – to zdanie jest prawdziwe, bo AIDS to cierpienie, ale z perspektywy samych chorych lepsza jest bardziej neutralna wersja: „Patients with AIDS were treated with potent antiretroviral therapy”.

Język neutralny płciowo

Elementem poprawnego stylu w anglojęzycznych tekstach naukowych jest także tzw. język neutralny płciowo/genderowo (gender-neutral language, gender-inclusive language). Może się

on kojarzyć z gorącymi sporami światopoglądowymi, ale niezależnie od prywatnych zapatrywań (jak najbardziej uprawnionych) warto mieć świadomość, że w anglojęzycznym piśmiennictwie naukowym stał się on już powszechnie przyjętym standardem. Język angielski umożliwia unikanie wskazywania na czyjąś pleć lepiej niż polski, gdyż wiele rzeczowników oznaczających rolę lub funkcje (patient, criminal, prisoner etc.) może zmieniać rodzaj gramatyczny bez zmiany formy, a czasowniki i przymiotniki w ogóle nie odmieniają się przez osoby. Jeśli rzeczownik złożony zawiera słowo man lub woman, zamienia się je na person (spokesperson zamiast spokesman, chairperson zamiast chairman) albo modyfikuje całe określenie w inny sposób (police officer zamiast policeman/policewoman, flight attendant zamiast steward/stewardess etc.). Sztucznie natomiast mogą wyglądać konstrukcje mające na celu uniknięcie użycia zaimka osobowego w liczbie pojedynczej. Stosowana jest wówczas liczba mnoga, nawet gdy chodzi o jedną osobę – jest to tzw. singular they („Somebody left their umbrella in the office. Could you please let them know where they can get it?”). Wbrew pozorom nie jest to nowy pomysł, ale konstrukcja stosowana w angielszczyźnie od XIV do XVIII wieku i ponownie przywrócona do łask, tyle że w specyficznej funkcji. Dla niektórych czytelników może to jednak wyglądać jak błąd, dlatego warto próbować zastępować zaimki osobowe rzeczownikami dwurodzajowymi. „Each patient revealed that s/he had been engaging in rigorous exercise immediately before experiencing heart palpitations”, zamiast hybrydowego zaimka z ukośnikiem zdanie można przeformułować tak: „The patients revealed that they had been engaging in rigorous exercise immediately before experiencing heart palpitations”.

Język fachowy i język nauki

Na pograniczu błędów stylistycznych i leksykalnych (nie właściwego użycia słownictwa) sytuuje się stosowanie szeroko rozumianego żargonu. Szeroko rozumianego, gdyż jest to rozmyte pojęcie i na obszarze tym dochodzi do częstych sporów na linii autor–redaktor. Często pojawia się tu nieśmiertelny argument, że „to zdanie jest zrozumiałe dla histologa/chirurga/patologa/astronoma” itp. To prawda, że w specjalistycznych odmianach języka pojawia się nie tylko specyficzne użycie konkretnych słów, ale także specyficzne konstrukcje gramatyczne (np. w niemieckim języku prawniczym). Jednak granica między specyficznym użyciem a deformacją gramatyki czy znaczenia słów jest płynna, żargon zaś może oznaczać sformułowania bardzo potoczne, niepasujące do rejestru naukowego. Żargonowy charakter mogą mieć dyskusje w kuluarach na konferencjach, nie zaś fachowe publikacje – tu obowiązują w pełni poprawna angielszczyzna.

Tendencja do skrótowości, naturalna w każdym żywym języku, nie może zatem oznaczać stosowania w publikacjach naukowych skróconych form wyrazów charakterystycznych dla mniej formalnej komunikacji: „The baseline examination (a nie exam) took place in a mobile laboratory (a nie lab) equipped with ophthalmologic devices”. Błąd taki jeszcze lepiej widoczny jest w tym zdaniu: „A 78-year-old woman with a congenital heart and a history of high blood pressure and heart attack was admitted to the hospital and prepped for surgery”. Niektóre słowniki notują nawet czasownik to prep jako występujący w medycznej odmianie US English i oznaczający w niej wyłącznie przygotowanie pacjenta do operacji (a nie po prostu przygotowanie kogoś do czegoś lub na coś). Widać tu wyraźnie, że język fachowy i język nauki to nie zawsze to samo, wymogi stylistyczne w tym drugim są surowsze. Sformułowanie poprawne w wewnętrznym dokumencie szpitala może nie nadawać się do artykułu naukowego opisującego tę samą procedurę.

Nie należy bez potrzeby skraćć pojęć: „Human T-lymphotropic virus 1-associated myelopathy can occur in individuals predisposed to pneumonia and urinary infections”. O jakie infekcje chodzi – układu moczowego, wskutek kontaktu z moczem, jeszcze inne? Wystarczy przywrócić pominięty przez autorów wyraz: „Human T-lymphotropic virus 1-associated myelopathy can occur in individuals predisposed to pneumonia and urinary tract infections” i zdanie staje się jednoznaczne. Innym przykładem nieprecyzyjności wskutek użycia żargonu jest następujące zdanie: „Laboratory findings were within the normal range”. Rzecz jasna przymiotnik „normalny” jest często stosowany w różnych gałęziach wiedzy, ale w różnych kontekstach ma odmienne znaczenia, zależnie od normy, do której się odnosi. W tym przypadku wystarczy zamienić normal na reference i wątpliwości znikają. Żargon może też oznaczać, że wyraz pospolity jest stosowany zamiast terminu, gdyż dla fachowca faktycznie i tak będzie to znaczyć to samo: „The patient's blood sugar (zamiast glucose) level was 37 mg/dL and her protein level was 25.0 g/dL”. Warto być świadomym, że fachowej terminologii można też nadużywać i jest to błędem nie mniej poważnym niż żargon lub nadmierna potoczność. Nie chodzi tu o skrajności w rodzaju Sokalowskiego mądrego brzmiącego tekstu o niczym, ale o obawę, że tekst wyda się odbiorcy zbyt „prosty”. Zrozumiałość jest jednak ważniejsza niż ogólne wrażenie.

Jednostajność utrudnia skupienie

Szlachetna prostota stylu nie może oznaczać monotonii, zwłaszcza składniowej. W tekstach z obszaru nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych itp. zdarza się, że – zwłaszcza referując stan badań – autorzy zaczynają każde kolejne zdanie lub każdy kolejny akapit tak samo („Smith et al. showed that [...] Jones et al. reported that [...] Evans et al. found that [...]”), a nawet tworzą całe ciągi zdań o identycznej strukturze. Jednostajność takiego wywodu nie jest wyłącznie usterką estetyczną, utrudnia ona skupienie i męczy. Jeśli ktoś obawia się w takiej sytuacji popadnięcia w kwiecistość lub innego typu nadkretywność, warto po prostu poprosić o pomoc native speakera lub doświadczonego anglistę. Nawet dość sztywna składnia języków germańskich ani formalizacja języka naukowego nie wymuszają monotonii. Sposobem na ożywienie tekstu nie jest natomiast dzielenie go na bardzo krótkie akapity. Akapit powinien stanowić logiczną całość (np. omawiać jeden konkretny aspekt zagadnienia). Jeśli każde zdanie porusza inną kwestię, warto połączyć kilka zdań w jedną, ogólniejszą całość. Wielu edytorów publikacji anglojęzycznych przyjmuje, że optymalna długość akapitu to od pięciu do dziesięciu zdań (przy założeniu, że jedno zdanie nie jest dłuższe niż trzy wiersze). Zbyt długie akapity sprawiają, że czytelnik może zgubić się w wywodzie, a ponadto źle wyglądają w składzie i utrudniają go (np. wstawianie tabel i ilustracji – lepiej, by następowały one między akapitami niż rozciągały akapit).

Metaforę bycia w domu Innego z pierwszego akapitu zawdzięczał znajomemu, który – choć od lat mieszka w Wielkiej Brytanii i zna angielski naprawdę biegle – nigdy nie pozbył się obcego akcentu. Miał z tego powodu bolesny kompleks do momentu, gdy jego przyszła żona, Angielka, powiedziała mu kiedyś, że on poprzez to, co mówi (po angielsku), pozwala jej się naprawdę zrozumieć. Niejeden rodak pozostaje dla niej zatrzęsnięty jak kamień z wiersza Szymborskiej, choć przecież mówi w ojczystym języku. Biegła znajomość języka naprawdę pozwoliła mu znaleźć się w domu Innego. Angielski to nie tylko narzędzie komunikacji w ramach międzynarodowej społeczności naukowej. Jeśli chcemy, by język giętki wyraził wszystko, co pomyśli głowa, musimy próbować wejść do domu Innego.

Rozmowa z Brianem Nosekiem, dyrektorem Center for Open Science, inicjatorem i koordynatorem wielu projektów replikacyjnych, uznanym w 2015 r. przez „Nature” za jednego z dziesięciu najbardziej wpływowych naukowców świata

Tama została przerwana

Dzięki internetowi i mediom społecznościowym o wiele łatwiej wyrzeć poza barikę własnej dziedziny nauki i stwierdzić: „O rany, w biomedycynie też mają z tym problem. O, w ekonomii także. Zaraz, zaraz. A czy jest jakaś dziedzina, której on nie dotyka?”

Jesteś jednym z najbardziej znanych na świecie propagatorów ruchu na rzecz otwartej nauki, który angażuje się w zwiększanie jej transparentności. Co skłoniło cię do tak znaczącego zaangażowania w poprawę metod badawczych i współpracy pomiędzy naukowcami?

Zainteresowanie tymi kwestiami rozpoczęło się podczas studiów, kiedy ucześniezałem na kurs metod badawczych prowadzony przez Alana Kazdina. Było to w okolicach roku 1997, a wykładowca kazał nam czytać artykuły publikowane w latach 60. i 70. przez Boba Rosenthala, Tony’ego Greenwalda, Jacoba Cohena i Paula Meehla, którzy opisywali wyzwania, takie jak brak obiektywizmu publikacji, brak replikacji, oraz wskazywali rozwiązania tych problemów. Na przykład: próbujemy powtarzać większą liczbę badań, zwiększmy znaczenie badań. W tych artykułach wspomniano nawet o wstępnej rejestracji badań. Dla studenta końcówki lat 90. szokująca była świadomość, że w metodologii na te problemy i rozwiązania zwraca się uwagę już od trzydziestu lat, lecz nic się nie zmienia. Dlaczego? Podobnie jak inne pokolenia studentów odbywaliśmy długie dyskusje po wykładach lub spotykaliśmy się w barze i rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób zmienilibyśmy system, gdyby tylko nadarzyła się taka sposobność. Oczywiście wówczas nie mieliśmy szansy na przeprowadzanie żadnych istotnych zmian, ale zainteresowanie tymi sprawami zakorzeniło się w moim sposobie myślenia o badaniach, które prowadziliśmy w laboratorium. Zaczęliśmy więc od próby zmierzenia się z mocą statystyczną naszych projektów badawczych. Stworzyliśmy stronę internetową do zbierania danych o ukrytych zniekształceniach poznawczych. Kiedy zostałem etatowym pracownikiem wydziału, wdrożyliśmy jako standard praktykę dzielenia się jak największą ilością materiałów i danych na naszych stronach internetowych. A gdy pojawiły się odpowiednie serwisy, staraliśmy się wdrażać rozwiązania, które ulepszałyby ten proces. W połowie lat dwutysięcznych zacząłem składać wnioski do National Institutes of Health i National Science Foundation z zamiarem stworzenia tego, co wówczas nazywaliśmy „systemem otwartego dostępu do nauki”. Dysponowaliśmy laboratorium technicznym, prowadziliśmy stronę internetową służącą do gromadzenia danych i sądziliśmy, że przydałby się serwis, który ułatwi wymianę danych i pozwoli na korzystanie z nich szerszej grupie odbiorców. Nie mogliśmy jednak otrzymać finansowania,

ponieważ opinie na temat naszych pomysłów były zbyt zróżnicowane. To nie był właściwy czas. Później, w 2011 roku, kwestie metodologii stały się przedmiotem szerokiego zainteresowania społeczności badaczy, a to za sprawą oszustwa popełnionego przez Diederika Stapela oraz z powodu bardzo zaskakujących rezultatów badań publikowanych w wiodących czasopismach, jak na przykład praca Daryla Bema o postrzeganiu pozazmysłowym. Opublikowany w 2011 r. w „Psychological Science” artykuł *False-Positive Psychology* autorstwa Simmonsa i jego współpracowników uświadomił wielu ludziom, że stosujemy praktyki, których znaczenia dla rzetelności wyników badań naprawdę nie rozumiemy. Wszystko to działo się mniej więcej w tym samym czasie. Zaczęliśmy analizować możliwości realizacji projektu opartego na współpracy, aby się przekonać, czy damy radę powtórzyć jakieś sensowne badania z naszej dziedziny. Mieliśmy projekt dotyczący replikacji, który przekształcił się w Projekt Replikowalność: Psychologia. Zaczęliśmy dzielić się tym pomysłem z innymi. Wiele osób zainteresowało się nim bardzo szybko i projekt rozrósł się do sporych rozmiarów. Oto kulisy powstania Centrum na rzecz Otwartej Nauki. Jeff Spies był studentem w naszym laboratorium, wcześniej pracował jako programista, a my szukaliśmy pomysłów na temat jego pracy doktorskiej. Wciąż też powracaliśmy do starego pomysłu dotyczącego systemu otwartego dostępu do nauki. W sumie było to dość niezwykle, kiedy Jeff uznał, że jest to w dużej mierze zgodne z jego długoletnimi zainteresowaniami, więc zaczął nad tym pracować jako nad projektem rozprawy doktorskiej. Mieliśmy więc projekt dotyczący replikacji i projekt techniczny, który cieszył się sporym zainteresowaniem, a obydwa zostały opracowane w naszym laboratorium. Byliśmy samowystarczalni finansowo, nie korzystaliśmy z grantów ani z innych źródeł, a nasze projekty zwróciły na siebie uwagę opinii publicznej i niektórzy sponsorzy zaczęli się z nami kontaktować. Bardzo szybko przeszliśmy od interesujących, ale małych projektów do rozważań nad podjęciem działań na większą skalę. W ciągu dwóch miesięcy pokonaliśmy drogę od niewielkiego laboratorium do uruchomienia Centrum na rzecz Otwartej Nauki.

Otwarta nauka może być postrzegana raczej jako kontynuacja, aniżeli rewolucja w praktykach zapoczątkowanych w XVII wieku wraz z pojawieniem się czasopism naukowych, wtedy

to bowiem społeczne zapotrzebowanie na dostęp do wiedzy naukowej osiągnęło punkt, w którym grupy naukowców stanęły przed koniecznością dzielenia się informacjami źródłowymi. Znany socjolog nauki Robert Merton wymienił komunitaryzm jako jedną z podstawowych wartości naukowego etosu. Skąd wśród naukowców, którzy są spadkobiercami tych tradycji i wartości, tak ambiwalentne postawy wobec ruchu na rzecz otwartej nauki?

U podstaw tego, do czego dążymy jako instytucja zmieniająca kulturę, leży zmiana motywacji, standardów i zasad w taki sposób, aby nauka była bliższa normom sformułowanym przez Mertona. Możemy je łatwo zidentyfikować jako podstawowe wartości, którymi powinna kierować się nauka. Pytanie o to, dlaczego się od nich oddaliliśmy, jest złożone – nawet sam Merton nie sądził, aby poszczególni naukowcy musieli zawsze działać zgodnie z nimi. Skupiał się raczej na tym, jak system musi dostosowywać się do tych norm, nawet jeżeli poszczególne osoby bardziej koncentrują się na własnych interesach i trzymają w tajemnicy sposób wykonywania swojej pracy. Natomiast system sam w sobie powinien funkcjonować, uwzględniając autosceptycyzm.

Mówiąc to, uważam, że możemy działać lepiej, możemy przestrzegać tych norm nawet w naszych indywidualnych zachowaniach. I sądzę, że jedną z kwestii, która przeszkadza nam w działaniu zgodnie z normami, są sprawy techniczne. Nigdy wcześniej nie można było tak łatwo dzielić się metodologią i danymi, jak jest to możliwe obecnie. Tony Greenwald, w połowie lat 70., był redaktorem czasopisma „Journal of Personality and Social Psychology” i przez cały czas pełnienia tej funkcji wymagał od autorów publikacji, aby przysyłali mu dane surowe. W latach 70. nie było to łatwe do spełnienia. Teraz to banalna sprawa. Więc ta zmiana przybliżyła nas do realizacji norm mertonowskich.

Drugim czynnikiem jest fakt, że nauka jest systemem opartym na rywalizacji. Trudno nie dostrzec rozbieżności między tym, co jest dobre dla mnie jako praktykującego badacza, a tym, co dobre jest dla nauki. Zasady, normy i zachęty składające się obecnie na system motywacyjny w nauce, a także sposób jego funkcjonowania, nie zostały stworzone wystarczająco dobrze, aby wspierać normy mertonowskie.

Zawód naukowca charakteryzuje niemal nieograniczona wolność. Sam wybiera przedmiot i metody badań, sam podejmuje większość decyzji. Przy dzisiejszej głębszej specjalizacji niewielu innych naukowców jest w stanie skontrolować poprawność wykonywanej przez niego pracy. Czy opór przed transparentnością nie jest próbą obrony wolności, a w szczególności wolności od kontroli?

Z pewnością istnieją elementy koncepcji wolności odnoszące się do sposobów działania związanych z postępowaniem nauki. Ja sam wspieram ideę, że nauka jest systemem otwartym, a ludzie mogą



podejmować samodzielnie decyzje dotyczące tego, jakie problemy są warte badania, jak powinni je badać, a co powinni krytykować. Nie podzielam natomiast przekonania, że wolność polega na braku transparentności, na przekonaniu, że nie muszą tłumaczyć się ze sposobu uzyskania rezultatów. Oczywiście każdy ma taką swobodę w pewnym ogólnym zakresie, ale powiedziałbym, że działając tak, nie uczestniczy w systemie nauki. Transparentność jest kwestią tak bardzo podstawową dla gromadzenia wiarygodnej wiedzy przez naukę, że jeżeli powiem: „To są moje rezultaty i musisz po prostu mi zaufać”, wykluczę sam siebie ze społeczności naukowej oraz ze sposobu, w jaki nauka musi funkcjonować.

Czy dostrzegasz jakieś reguły w tym, kto staje się zwolennikiem ruchu na rzecz otwartej nauki, a kto jego przeciwnikiem?

Chyba najsilniejszym wskaźnikiem jest czas pracy w zawodzie. Badaczom rozpoczynającym karierę naukową bardzo łatwo zaakceptować koncepcję otwartej nauki, ponieważ jest ona podstawą tego, jak nauka musi funkcjonować. Oczywiście kiedy już staniemy się częścią systemu nauki, zdajemy sobie sprawę, że nie działa on w ten sposób. Doświadczeni badacze często mówią: „Oto wszystkie przyczyny, dla których nie mogę dzielić się swoimi danymi. Oto wszystkie powody, dla których

wstępna rejestracja projektów tego rodzaju nie ma sensu. Oto wszystkie obowiązki administracyjne, które w rzeczywistości spowolnią tempo postępu nauki”. Starsi naukowcy wyrażają praktyczny sceptycyzm, który mówi: „Oczywiście, mogę wierzyć w twój idealizm, ale bądźmy realistami”. Uważam, że ten rodzaj sceptycyzmu narasta wraz z wiekiem i jest efektem stawiania czoła wyzwaniom tworzonemu przez obecny system.

Jest także drugi rodzaj sceptycyzmu, moim zdaniem również powiązany z wiekiem i doświadczeniem. Da się go przedstawić takimi słowami: „Robię to właśnie w ten sposób od dłuższego czasu, a wydaje mi się, że ty chcesz mi powiedzieć, że robię to źle. Nie podoba mi się to. Nie robiłem niczego źle. Robiłem to zupełnie dobrze”. Przyjęcie do wiadomości faktu, że muszę teraz zmienić swoje praktyki, byłoby przyznaniem się do czegoś, do czego przyznać się nie chcę. Badacz, który dotychczas nie opublikował żadnej pracy naukowej, nie będzie odczuwał takiego oporu, natomiast badacz, który ma na swoim koncie 500 artykułów, oczywiście będzie go czuł.

Od paru lat wszyscy mówią o kryzysie w psychologii i niektórych innych naukach, choć są i tacy, którzy aktywnie zaprzeczają jego istnieniu. Ale przecież Jacob Cohen pisał i mówił o proble-

mach wynikających z testowania znaczenia hipotezy zerowej od początku lat 60. W tym samym czasie Leroy Wolins zainicjował dyskusję na temat dostępu do danych surowych. Od czasu wielkiej afery sir Cyrila Burta systematycznie, co parę lat, ujawniano oszustwa psychologów fabrykujących dane. O problemie efektu szuflady mówi się co najmniej od lat 70. Artykuł zatytułowany *The desperate need for replication* John Hunter opublikował już w roku 2000. Inne problemy są dyskutowane od dziesięcioleci. Dlaczego dopiero w połowie drugiej dekady XXI wieku zaczęto otwarcie mówić o kryzysie w psychologii i to w taki sposób, z którego postronni obserwatorzy mogliby wnioskować, że jego ujawnienie było wielkim zaskoczeniem dla uczonych?

Chciałbym zobaczyć dobrą analizę historyczną, pozwalającą ustalić, która z możliwych przyczyn jest tą właściwą. O wielu tych problemach wiedzieliśmy od dawna. Zarzewie ruchu reformatorskiego tliło się od dłuższego czasu, a problemy narastały od wielu lat, więc w końcu musiał nadejść ten dzień. Powiedzmy, że punktem wyjścia jest rok 2011. Fakt, że zmiany zaczęły się właśnie w tym roku, mógł być przypadkiem. Inną możliwością jest to, że nabierało się sporo przykładów, a następnie pojawiło się kilka pojedynczych, stymulujących zdarzeń, które znacznie ułatwiły skonfrontowanie się z problemem na skalę, w jakiej

robimy to obecnie. Sprawa Stapela, praca Bema i artykuł Simonsa i in. Te poszczególne przypadki spotkały się z dużym zainteresowaniem nie tylko wśród ludzi, którzy interesują się metodologią. Te zdarzenia zmusiły nas do postawienia poważnych pytań: „Co z tym zrobimy?” lub „Co to naprawdę jest?”. Fakt, że wydarzyły się w tak niewielkim odstępie czasu, mógł również być znaczący. Zamiast pojedynczego wydarzenia mieliśmy ich nawarstwienie, co spowodowało, że tama została przerwana. Kolejnym czynnikiem był fakt, że kwestia ta okazała się istotna nie tylko w psychologii. Problem był zauważalny także w innych dziedzinach. Być może dzięki internetowi i mediom społecznościowym, zamiast sądzić, że problem dotyczy tylko mojego, niewielkiego obszaru, o wiele łatwiej jest wyrzeć poza bańkę własnej dziedziny nauki i stwierdzić: „O rany, w biomedycynie też mają z tym problem. O, w ekonomii także. Zaraz, zaraz. A czy jest jakaś dziedzina, której on nie dotyka?”.

Obserwując zachowania uczonych, dostrzegłem, że niektórzy z nich, mimo problemów, o których rozmawiamy, są pełni optymizmu i ogłaszają światu, że oto nastąpiła era wielkich replikacji, która rozwiąże wszystkie problemy, a my wkroczymy na prostą, szeroką drogę ku prawdzie. Tymczasem, pomimo pewnych

TOMASZ WITKOWSKI

GIGANCI PSYCHOLOGII

ROZMOWY NA MIARĘ XXI WIEKU

ELIZABETH F. LOFTUS
JEROME KAGAN
MICHAEL I. POSNER
ROBERT J. STERNBERG
ROBERT PLOMIN
SUSAN J. BLACKMORE
JOSEPH E. LEDDOUX
NOAM, A. CHOMSKY
ROY F. BAUMEISTER
ERICA BURMAN
BRIAN A. NOSEK
VIKRAM H. PATEL
DANIEL KAHNEMAN
CAROL TAVRIS

podstaw do optymizmu, rzeczywistość wygląda nieco bardziej zgrzebnie. W bazie PsycARTICLES sprawdziłem wyłącznie artykuły recenzowane w latach 2017-2019. Te poświęcone replikacjom stanowiły około 0,7% wszystkich publikacji. Czy zaliczasz siebie do optymistów, którzy liczą na to, że stoimy na progu lepszego jutra naszej dziedziny?

Tak, jestem optymistą, ponieważ mamy do czynienia z trwałą zmianą kulturową. Nie oznacza to jednak, że dzieje się to szybko. Z ruchem związanych jest wiele osób, które ulegają zniechęceniu. Myślą: „Przecież już rozwiązaliśmy tę kwestię, dlaczego ludzie nadal postępują źle?”. Zmianie kultury i ludzkich zachowań nie jest łatwym zadaniem. Powodem do optymizmu jest to, że najważniejsze wyzwania stają się bardzo dobrze znane jako problemy i trudno, nie będąc ich świadomym, zajmować się nauką. Drugi powód do optymizmu wynika z tego, że zmieniają się metody kształcenia i szkolenia. Metodolodzy bardzo dbają o ich jakość, a wielu z nich zmienia i aktualizuje kursy akademickie z zakresu statystyki i metod naukowych. Jest także trzeci powód do optymizmu, polegający na tym, że sponsorzy badań, wydawcy, stowarzyszenia oraz instytucje zwróciły uwagę na ten problem. Może nie dzieje się to szybko, ale wiele z nich zmienia swoje zasady, stosowane standardy i czynniki motywacyjne. To jest najlepszym sposobem na zapewnienie długofalowych, trwałych efektów. Przejście od braku wymogu przejrzystości do zachęcania czy wręcz wymagania otwartości zasadniczo zmienia wszystko, co jest nadsyłane do czasopisma naukowego i publikowane w nim. Zachęty dotyczące wstępnej rejestracji badań oraz zamieszczanie symboli, które potwierdzają przestrzeganie określonych zasad, mogą mieć długoterminowe, kumulatywne konsekwencje dla tworzenia nowych standardów. Wreszcie, ponad dwieście czasopism naukowych oferuje obecnie rejestrację raportów. To eliminuje stronniczość publikacji poprzez przeprowadzanie oceny i zobowiązanie się do publikacji rezultatów badania, zanim wyniki będą dostępne. To zasadnicza zmiana dotycząca obiegu publikacji naukowych, która będzie miała długotrwały wpływ, jeżeli zostanie przyjęta na szeroką skalę.

Powagę kryzysu w psychologii często się pomniejsza, określając go jako „kryzys replikacyjny”. Wiemy jednak, że składa się nań dużo więcej problemów niż tylko brak replikacji. Które z nich mogą zostać rozwiązane przez ruch na rzecz otwartej nauki, a które powinny zostać przezwyciężone w inny sposób?

Replikacja to łatwe rozwiązanie umożliwiające poprawę praktyk w obszarze badań naukowych – oto czyjś wniosek, a to zastosowana przez niego metoda, spróbujmy się zatem przekonać, na ile jest wiarygodna. Z tego punktu widzenia część ruchu zajmująca się replikacją pomaga zwrócić większą uwagę na kwestie dotyczące jak najszybszego postępu w badaniach. Replikacja nie rozwiązuje jednak takich problemów jak poprawność konstruktywne, zwracanie uwagi na to, aby nasze teorie były dopracowane i sformalizowane tak, by nadawały się do testowania, czy też na łączenie teorii z praktycznymi wdrożeniami oraz testami inferencyjnymi. Istnieją poważne wyzwania dotyczące metod rozumowania, sposobów gromadzenia dowodów i łączenia tych dowodów w naukowe teorie. Otwarta nauka nie rozwiązuje tych problemów, jednak jest narzędziem umożliwiającym wypracowanie odpowiednich rozwiązań.

Krytycy projektów replikacyjnych podkreślają czasami, że silny nacisk na replikowanie badań może doprowadzić do tego, że uczeni będą się koncentrować na prowadzeniu badań replikowalnych zamiast badań trudnych, poważnych problemów, które mogą w istotny sposób wpływać na naszą rzeczywi-

stość. Trudno nie przyznać im pewnej racji. Jak ty rozwiązujesz ten dylemat?

Według mnie jest to niewłaściwie zdefiniowana krytyka. Pomysł, że nie będziemy replikować i będziemy czynić postępy, jest przyczyną problemu, z którym mamy do czynienia. Nie potrafiliśmy zrozumieć wartości replikacji dla formułowania teorii i odkryć. Generujemy mnóstwo koncepcji, mamy poczucie, że posuwamy się do przodu, a potem mamy bardzo niskie zaufanie do podstaw leżących u podłoża formułowanych przez nas twierdzeń lub uważamy je za mało wiarygodne. Sam fakt, że istnieją setki badań dotyczących wyczerpywania się ego, a my nadal debatujemy, czy zjawisko to faktycznie ma miejsce, pokazuje, jak problematyczne jest niepojęcie działań zwiększających wiarygodność podstawowych dowodów. Inną rzeczą, która moim zdaniem została źle sformułowana, jest rola replikacji dla postępu teoretycznego. Czasami lepsza jest replikacja niż czysta eksploracja. Aby przeprowadzić replikację, musisz skonstruować sytuację, w której jasno przewidujesz, co powinno się wydarzyć na podstawie wcześniejszych wniosków i ich teoretycznego kontekstu. Replikacja to konfrontacja z istniejącym wyjaśnieniem jakiegoś zjawiska. Konsekwencją wyników replikacji może być wyjaśnienie istniejącego rozumienia i zwiększenie możliwości jego uogólnienia lub skonfrontowanie go z dowodami, które mu przeczą. To drugie prowadzi nieuchronnie do generowania kolejnych teorii, ponieważ nasze oczekiwania wynikające z poprzednich wniosków zostały podważone. Uważam, że niewłaściwe jest mówienie, iż sama replikacja jest czymś różnym od postępu teoretycznego.

Co uważasz za największe wyzwanie w dziedzinie nauk psychologicznych – w ogóle?

Największym wyzwaniem, jakie przed nami stoi, jest – według mnie – znalezienie sposobu naprawy systemu nagród. Nie chodzi w tym wypadku o tematy badawcze, ale myślę, że system nagród ma na nie bezpośredni wpływ. Elementem najtrudniejszym do zmiany jest system zatrudniania i awansowania pracowników akademickich. Jeżeli nie rozwiążemy problemu podstawowego kryterium oceny, jakim jest konieczność coraz większej liczby publikacji w coraz bardziej prestiżowych czasopismach, żadna ze zmian wprowadzanych przez system otwartej nauki nie będzie w pełni skuteczna.

Która koncepcja psychologiczna zasłużyła na to, by odeść ją na naukową emeryturę?

Moim zdaniem jest to przekonanie, że psychologia tak bardzo różni się od innych dziedzin nauki, że nie możemy wykorzystywać praktyk stosowanych w innych dziedzinach, by wskazywać, jak lepiej uprawiać naszą. Myślimy: „Powodem, dla którego ludzie postrzegają nas inaczej, nie szanują nas, jest to, że jesteśmy od nich całkowicie odmienni”. Sądzę, że takie myślenie wynika częściowo z zarozumiałości, a częściowo z niskiego zbiorowego poczucia własnej wartości. Nie jesteśmy jednak całkowicie odmienni. Badamy trudne problemy, być może najtrudniejsze spośród wszystkich dziedzin nauki. Ale nie możemy przyjmować tak bardzo defensywnej postawy, żeby nie przyglądać się innym obszarom nauki w celu identyfikacji pomysłów i nowych praktyk, które mogłyby pomóc nam pracować lepiej. Moim zdaniem to właśnie ta defensywna postawa powinna odejść w niebyt.

Rozmawiał Tomasz Witkowski

Prezentowana rozmowa jest fragmentem dłuższego wywiadu, którego pełen zapis znajduje się w książce *Giganci psychologii. Rozmowy na miarę XXI wieku*, tłum. Magdalena Wajda-Kacmajor, Wydawnictwo Bez Maski, Wrocław 2021. Premiera książki 30 listopada.

Genisteiną w toksyczne białka

Przeczytałam kiedyś, że ten, kto idzie za tłumem, nie dojdzie dalej niż wszyscy. Więc podążam własną ścieżką i na razie wychodzi mi to na dobre – mówi dr Karolina Pierzynowska.

Sojowe kiełki może nawet i są smaczne, ale czy ktoś wyobraża sobie, by zjeść jednego dnia jedenaście kilogramów? Podobnie z sojowym mlekiem – największy smakosz nie poradzi sobie z wypiciem 120 litrów w ciągu doby. Nie wspominając już o winie, które zawiera flawonoidy i z tych opcji wydaje się wprawdzie najatrakcyjniejsze, tyle że trzeba by w tak krótkim czasie opróżnić 260 butelek. Jakiegokolwiek wyboru dokonać, zadanie pozostaje niewykonalne. Alternatywą mogłaby być niewielka kolorowa pastylka, w której dr Karolina Pierzynowska chce zamknąć to, co w soi, ale też i w winie, najcenniejsze. I w dawce, która dla uzyskania podobnego efektu terapeutycznego wymagałaby w naturalnej postaci ponadludzkich możliwości. Ten ekwiwalent policzyła w jednej z takich chwil, gdy nuda bierze górę, gdy nie ma się ochoty – w jej przypadku to ulubione pozazawodowe zajęcia – na rysowanie, tańczenie ani tym bardziej przerzucanie ciężarów w siłowni. Choć zrobiła to dla zabawy, efekty kalkulacji uczyniły na niej spore wrażenie. Ale jeszcze większe wywierają telefony, które odbiera od momentu, gdy wyniki badań ujrzały światło dzienne. Dzwonią zdesperowani pacjenci, szukający w niej ostatniej deski ratunku. Przedstawiają historię choroby, wysyłają dokumenty z wynikami tomografii komputerowej mózgu, płaczą w słuchawkę. Bardzo chciałaby im pomóc, ale przecież nie jest lekarzem, nie odbywała praktyk w szpitalu, nigdy nie miała do czynienia z pacjentami. Owszem, swoją przyszłość niemal od zawsze wiązała z medycyną i nawet ukończenie studiów biologicznych nie przekreśliło tych marzeń, ale to dusza naukowca, nie klinicysty, w niej siedzi.

Przekraczanie granic

To dlatego jeszcze zanim na dobre weszła na naukową ścieżkę, którą postanowiła realizować na Uniwersytecie Gdańskim, cel miała jasno wytyczony – chciała prowadzić badania podstawowe, stawiać hipotezy i pytania, które tylko na pozór wydają się pozbawione sensu.

– Kieruję się chęcią odważnego przekraczania granic. Kiedyś przeczytałam: ten, kto idzie za tłumem, nie dojdzie dalej niż wszyscy. Bardzo dużo rzeczy robię „na czuja”, nie kieruję się przyjętymi ogólnie aksjomatami laboratoryjnymi – przyznaje.

Trafiła pod skrzydła prof. Grzegorza Węgrzyna, którego zespół od dawna zajmuje się rzadkimi chorobami genetycznymi. Takimi jak Sanfilippo, zwana też mukopolisacharydozą typu III. To bardzo poważne i wyniszczające schorzenie, które powoduje zmiany neurologiczne i śmierć przed ukończeniem pełnoletności. Dotyka jedno dziecko na około 70 tys. Uwagę gdańskich naukowców skupiła genisteina – związek chemiczny z grupy flawonoidów, który występuje w roślinach bobowatych, w tym m.in. w soi. Okazało się, że potrafi zatrzymać produkcję substancji, które nie mogą się rozkładać jak u osób zdrowych. Dało to podstawę do opracowania leku hamującego rozwój choroby. Jest właśnie w trzeciej fazie prób klinicznych. W niektórych krajach, m.in. w USA, lekarz może go już przepisać.

Przy okazji prof. Węgrzyn wykazał, że genisteina aktywuje w komórkach proces degradacji różnych niepotrzebnych białek. Szczególnie istotne jest to w chorobach neurodegeneracyjnych, gdzie nieodwracalne uszkodzenie i śmierć komórek nerwowych może wynikać z akumulacji w neuronach patologicznych białek. Najprostszym rozwiązaniem byłoby ich usunięcie, ale jak to zrobić, zapewniając jednocześnie ochronę przy przekraczaniu bariery krew-mózg? Okazało się, że idealnym rozwiązaniem może być genisteina, która nie przekracza ściany komórkowej i nie wiąże się z białkami, lecz działa jedynie na receptor. Na przekazany od niego sygnał komórka „zjada” wszystko, co jest jej niepotrzebne do funkcjonowania. Im wcześniejszy etap, tym bardziej niepotrzebne rzeczy zostaną usunięte.

– W skrajnym scenariuszu, gdybyśmy wycelowali bardzo dużą dawką, to pewnie komórka zjadłaby ostatecznie sama siebie. Natomiast genisteina podana w bezpiecznej ilości zdąży uruchomić szlaki „czyszczące”, ale nie ruszy tych białek, które są komórce potrzebne – tłumaczy dr Pierzynowska.

Przełom w medycynie?

Do przetestowania tego nowatorskiego pomysłu w chorobie Huntingtona, innym zaburzeniu genetycznym, które z kolei powoduje postępującą degenerację komórek mózgowych, co prowadzi do upośledzenia zdolności motorycznych i poznawczych, namówił ją szef zespołu. Nie poprzestała jed-

nak na tym i sama postanowiła rozszerzyć badania również na chorobę Alzheimera, do której rozwoju też przyczyniają się toksyczne białka. Pod tym względem to podobne schorzenia, lecz o ile w przypadku pierwszego powodem odkładania się patologicznych białek jest mutacja DNA, o tyle w drugim sytuacja pozostaje niejasna. Alzheimer przybiera wiele postaci i nie zawsze mają one to samo podłoże. Najczęściej uwarunkowany jest czynnikami spontanicznymi, co w praktyce oznacza, że nie wiadomo, jak dochodzi do powstania agregatów toksycznych białek.

– Nas jednak nie interesowało, czy są one wynikiem mutacji, czy innego procesu. Po prostu celowaliśmy w agregaty genisteiny, która aktywowała szlaki prowadzące do usunięcia zbędnych białek – wyjaśnia badaczka.

Testy przeprowadzono na modelach zwierzęcych. W przypadku Huntingtona – na genetycznym, w którym odkładanym białkiem jest huntingtyna. W Alzheimerze sztucznie indukowano chorobę za pomocą substancji przyczyniających się do powstawania blaszek amyloidów i hyperfosforylowanego białka Tau. Użycie tego modelu, w przeciwieństwie do genetycznego, pozwala na zaobserwowanie obu czynników chorobotwórczych. Sprawdzano, czy genisteina podana zarówno przed, jak i po wystąpieniu objawów, będzie dawała takie same efekty, a jeżeli tak, to w jakim czasie. Efekty okazały się spektakularne. Dzięki genisteinie spadła ilość toksycznych białek, a stan zwierząt poprawił się na tyle, że trudno je odróżnić pod względem zachowania od w pełni zdrowych.

– Liczyłam na poprawę, zwłaszcza w behaviorze, na to, że tych białek będzie mniej, a tym samym – że proces ich degradacji zachodzi. Natomiast, jak zobaczyłam chorą mysz, która nie powinna żyć od dwóch miesięcy, a pełna wigoru kręciła się na rolce, to przeszło moje najśmielsze wyobrażenia – wspomina moja rozmówczyni.

Stosowana przez nią genisteina nie jest nowym związkiem, w laboratoriach sztucznie się ją syntetyzuje od lat. Wykorzystywana jest np. jako inhibitor kinaz tyrozynowych w chorobach nowotworowych. Jednak odkrycie jej unikalnych właściwości może się okazać prawdziwym przełomem w medycynie. Obecne terapie obarczone są niepożądanymi skutkami – w Huntingtonie podaje się np. związki zwiotczające mięśnie, żeby wyeliminować niekontrolowane ruchy, ale powoduje to też problemy z ruchami w pełni dotąd kontrolowanymi – a do tego są bardzo inwazyjne: substancję podaje się bezpośrednio do rdzenia kręgowego, do ośrodkowego układu nerwowego, u dzieci robi się odwierty w czaszkach. Tymczasem na UG pracują nad lekiem doustnym w formie tabletki, który mógłby wspomóc terapię, ale też działać profilaktycznie. Jego przewagą byłaby również cena – genisteina jest zdecydowanie tańsza niż aktualnie stosowane substancje. Co ciekawe, mogłaby być stosowana także w innych chorobach. Genisteina nie celuje bowiem w jedno konkretne toksyczne białko, tylko we wszystko, co się odkłada. W przypadku Parkinsona byłaby to synukleina, w stwardnieniu zanikowym bocznym dysmutaza, a w chorobach prionowych – priony. Hipotetycznie genisteina mogłaby i w tych chorobach pomóc.

– Nie licząc Alzheimera, który jest najczęstszą chorobą neurodegeneracyjną i wzbudza większe zainteresowanie, skupiamy się głównie na schorzeniach rzadkich. Oczywiście wiąże się to z tym, że liczba potencjalnych odbiorców będzie mała, ale obojętnie staram się walczyć z takim podejściem i tłumaczyć, że to również ważne – podkreśla pierwsza polska laureatka Future Science Future Star Award.

Gwiazda przyszłości

Nagrodę dla badaczy nauk przyrodniczych, których praca może w znaczącym stopniu wpłynąć na ludzkie zdrowie, otrzy-



Fot. UG

mują osoby wykazujące szybki i intensywny start w karierze naukowej, cechując się jednocześnie ogromną pasją do prowadzonych badań. Kiedy po raz pierwszy zapytano ją, czy traktuje pracę jak misję, w pierwszej chwili zaniemówiła, bo nigdy nie postrzegła tak przychodzenia do laboratorium. Zresztą, jak przyznaje, woli działać koncepcyjnie, przy komputerze, gdy zbiera literaturę, porównuje różne informacje, wymyśla nowy projekt, planuje doświadczenia. Powiedzieć, że jej głowa jest pełna pomysłów, to w zasadzie nic nie powiedzieć. Poruszając się na styku biologii molekularnej, genetyki i neurofizjologii, już myśli o dodaniu kolejnego aspektu – psychologicznego. Ciekawi ją np. to, czy rodzaj mutacji może wpłynąć na zachowanie. Nie dziwi zatem, że usłyszała pewnego razu o sobie, iż z pewnością nie będzie naukowcem, któremu kiedykolwiek zabraknie inspiracji do napisania jakiegos badawczego przedsięwzięcia.

Od czasu pytania o misję zaczęła jednak patrzeć na to, co robi w szerszej perspektywie. I choć na początku tego nie zakładała, to dziś aplikacyjność bardzo ją motywuje. Zwłaszcza gdy odbiera telefony takie jak ten od kobiety, która dowiedziałysy

się o wynikach jej badań, zaczęła podawać swojemu choremu mężowi suplementy z dużymi dawkami flawonoidów, w tym genisteiny. Z relacji wynikało, że mężczyzna, będący do tej pory w stanie wegetatywnym, po miesiącu wstał z łóżka, sam zaczął jeść i rozmawiać.

– Po tej rozmowie prof. Węgrzyn zapytał mnie, czy czuję satysfakcję jako naukowiec. Miałam łzy w oczach. Po raz pierwszy poczułam, że moje badania doprowadziły do czegoś wielkiego. Nie dla świata, ale dla tej jednej rodziny. I to już mi wystarczyło – wspomina.

Takie sytuacje wywołują w niej mieszane uczucia. Z jednej strony jest świadoma tego, że zrobiła już duży krok w kierunku leczenia tych chorób. Z drugiej – towarzyszą jej obawy. Jak podkreśla, niewątpliwy sukces został bowiem odniesiony na etapie badań na zwierzętach. Kluczowa dla dalszego postępu prac będzie jednak eksperymentalna próba na pacjentach. Zaplanowano ją w złożonym już wniosku o najbardziej prestiżowy dla naukowców grant European Research Council.

Z królewskiej puszczy na ołtarze

Drewno z ponadstuletnich dębów wyciętych w 1479 r. w królewskiej Puszczy Niepołomickiej posłużyło Witowi Stwoszowi do budowy konstrukcji ołtarza w krakowskim kościele Mariackim – ustalili badacze z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Dendrochronologia pozwala na podstawie analizy wzoru przyrostów rocznych określić wiek drzew, czasami nawet z dokładnością co do sezonu ich ścięcia. Opiera się na zasadzie, że drzewa danego gatunku rosnące na tym samym obszarze jednakowo reagują na warunki klimatyczne, m.in. wilgotność i temperaturę.

– Przy datowaniu drewna historycznego bardzo ważna jest obecność oflisu, czyli ostatniego przyrostu podkorowego. Przykładowo badając więźbę, zawsze wybieramy takie elementy, które oflis zachowały – żeby znać rok ścięcia drzewa – wtedy możemy precyzyjnie datować. W przypadku drewna iglastego bardzo często się to udaje – zauważa mgr Barbara Gmińska-Nowak, która realizuje właśnie doktorat na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Trudniej jest w przypadku dębu, czyli drewna, z którego zbudowana jest m.in. konstrukcja ołtarza mariackiego. Na szczęście ten gatunek, nawet jeśli nie zachował się słoj podkorowy, daje badaczom pewne wskazówki. Zawiera bowiem twardziel i biel. Biel występuje w zewnętrznej warstwie pnia. Na obszarze Polski maksymalna liczba przyrostów bielu wynosi 21. Podczas badań przyjmuje się uśrednioną liczbę słoików – 15.

Toruńscy naukowcy w Krakowie trzy razy pobierali z ołtarza materiał do badań. Datowali głównie szafę, a do tego kilka części predelli i elementów wcześniej zdemontowanych przez konserwatorów, np. złoconą ramę, w której był

dostęp do sztorców. Oczyszczili sztorce, zrobili zdjęcia i w specjalnym programie komputerowym wykonali pomiary szerokości przyrostów rocznych.

– Zawsze lepiej się pracuje na wywertkach niż na zdjęciach. Pod mikroskopem mogę badać drewno z dokładnością do jednej setnej milimetra – tłumaczy mgr Gmińska-Nowak.

Ustalono, że do budowy szafy wykorzystano najprawdopodobniej dąb z Puszczy Niepołomickiej, zaś do wykonania predelli – dąb ścięty na Pomorzu. Różnicę w strukturze drewna było widać na pierwszy rzut oka. W predelli ostatni datowany przyrost sięga 1463 r. Próbkę do badań pochodziły z części przyrzeniowej drzewa. Nie miały zachowanego bielu, więc do tej daty trzeba było dodać statystyczne 15 lat bielu, z czego wynika, że prawdopodobnie

drzewa ścięto po 1478 r.

Już deski, z których zbudowana jest szafa ołtarza mariackiego, wskazywały, że pochodzą z dorodnych drzew. Ich średnicę badacze oszacowali na 60–70 cm. Z dużym prawdopodobieństwem określili także wiek ścinanych drzew na 120 lat.

– To, że drewno pochodziło z lasów królewskich, pokazuje pozycję Wita Stwosza w Krakowie i to, jak jego dzieło było ważne nie tylko dla mieszczan, ale i dla króla – podsumowuje badaczka z UMK.

Zespołem specjalistów, którzy badali i prowadzili prace przy XV-wiecznym ołtarzu mariackim kierował dr hab. Jarosław Adamowicz, profesor Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

Marcin Behrendt



Fot. Andrzej Romaniuk

Danuta Ciesielska

David Hilbert i Polacy

Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków. Cz. 2

Kontynuujemy cykl historyczny o polskich studentach w Getyndze, rozpoczęty artykułem *Felix Klein i Polacy* (nr 7-8/2021).

David Hilbert to jedna z osób, które miały największy wpływ na współczesną matematykę. Znany jest nie tylko ze względu na szerokie zainteresowania, które obejmowały z jednej strony podstawy matematyki ze szczególnym uwzględnieniem podstaw geometrii, z drugiej zaś zastosowania matematyki zwłaszcza w fizyce, ale również ze względu na zmiany, jakie wprowadził do systemu kształcenia przyszłych uczonych. W Getyndze znalazł się dzięki staraniom Felixa Kleina, którego druga próba sprowadzenia z Królewca młodego uczonego, wtedy bez stałej płatnej posady profesorskiej, została uwieńczona sukcesem w 1895 roku. Wtedy, jeszcze u początku kariery, Hilbert był znany głównie z powodu pracy z teorii niezmienników, w której wykazał, że każdy ideał pierścienia wielomianów nad ciałem jest skończenie generowany. Dowód, który przedstawił, nie był rozumowaniem konstruktywnym i z tego powodu wzbudził ogromne kontrowersje. Do opublikowania tej przełomowej w historii matematyki pracy z pewnością przyczyniła się opinia Kleina, który w liście przesłanym do redakcji „Mathematische Annalen” napisał: „Nie mam wątpliwości, że jest to najważniejsza praca z ogólnej algebry, która kiedykolwiek się ukazała w »Annalen«”.

Pierwsze lata w Getyndze wspominał Hilbert z pewną rezerwą: „Nie było mi łatwo, nie od razu poczułem się w sztywnej atmosferze getyńskiego środowiska jak w domu. [Koledzy] nierzadko potrząsali na nasz widok głowami, spoglądali z politowaniem, kiedy nie dbając o różnice w stopniach naukowych, prowadziliśmy rozmowy nie tylko z prywatnymi docentami, ale nawet ze zwykłymi studentami”. Courant wspominał, że w getyńskim środowisku profesor był „półbogiem świadomym swego wysokiego stanowiska”, i wielu profesorów, a szczególnie ich żony chciały, aby tak pozostało. Z latami sytuacja się zmieniła, ale na początku oburzone żony profesorów mówiły: „Czy słyszeliście o tym nowym matematyku, który przybył? Podważa całą sytuację miejscową. Dowiedziałam się, że onegdaj widziano go w jakiejś restauracji grającego w tylnych salach z docentami w bilard”. Szczęśliwie Hilbert mógł w zupełności polegać na Kleinie, który swą nieomal boską rolę umiał wykorzystać na potrzeby matematyki i społeczności matematyków.

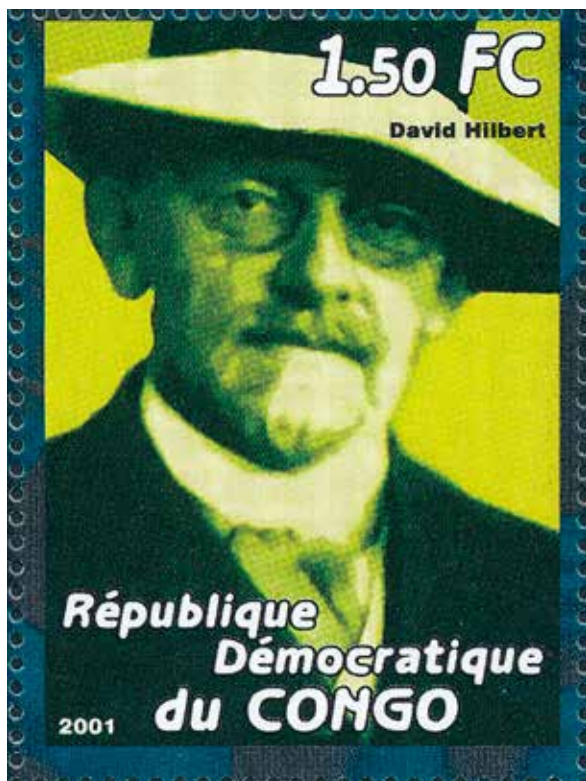
Stanisław Tołłoczko

Znalezienie się wśród uczniów Hilberta przynosiło swobodę naukową i nobilitację. Liczba uczniów i doktorantów Hil-

berta jest duża. Wśród uczniów znaleźli się nie tylko matematycy, fizycy i astronomowie – co nie dziwi, ale także liczna grupa statystyków, filozofów oraz spore grono politologów i socjologów. Pierwsi Polacy, którzy mieli okazję uczestniczyć w wykładach Hilberta, to chemik Stanisław Tołłoczko oraz matematyk i historyk matematyki Stefan Kwietniewski. Tołłoczko w Getyndze znalazł się już w 1894 roku, podążył tam za radą profesora Cesarskiego Uniwersytetu w Warszawie, rosyjskiego chemika Jegora Jegorowicza Wagnera, który wysłał go na studia do przyszłego noblisty Walthera Nernsta. Tołłoczko w czasie studiów w Getyndze nie tylko zapisał się na matematyczne wykłady Kleina i Hilberta, ale od pierwszego roku studiów uczestniczył w posiedzeniach tamtejszego towarzystwa matematycznego. Z tego okresu została bardzo interesująca pamiątka – zdjęcie członków towarzystwa, a wśród nich Tołłoczko, mający polskie korzenie Teofil Friesendorff (jego syn Feliks został zamordowany w Charkowie w 1940 roku), późniejszy profesor Instytutu Politechnicznego w Petersburgu oraz



Znaczek z kolejnymi iteracjami krzywej Hilberta. Kolekcja D. i K. Ciesielskich



Znaczek z podobizną Davida Hilberta. Kolekcja D. i K. Ciesielskich

Niemiec urodzony w Warszawie Julius von Braun, w latach 1915-1918 organizator katedr chemii na politechnice i uniwersytecie w Warszawie.

Zainteresowanie Tołłoczki matematyką było tak duże, że zdecydował się wybrać ją jako jeden z trzech egzaminów obowiązkowych przy doktoracie. Zdawał u Hilberta. Ten pytał go o zastosowania rachunku różniczkowego i całkowego w geometrii, mechanice i analizie matematycznej i wystawił bardzo pozytywną ocenę. Warto zwrócić uwagę na to, że klasyczna filozofia nie była obowiązkową dyscypliną egzaminacyjną dla przyszłych doktorów filozofii Uniwersytetu w Getyndze. Tołłoczko z dyplomem doktorskim z najwyższym wyróżnieniem – magna cum laude – przybył na ziemię polskie. Na początku związał się z Uniwersytetem Jagiellońskim, był przez pewien czas asystentem Karola Olszewskiego, nostryfikował tu dyplom doktorski i zdobył veniam legendi. Do Getyngi wrócił w latach 1903–1904, prowadził badania w Instytucie Chemii Nieorganicznej u swego mistrza Tamanna. Po powrocie z Niemiec objął katedrę chemii nieorganicznej na Uniwersytecie im. Cesarza Franciszka we Lwowie. Został członkiem Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika we Lwowie, a w 1913 roku prezesem tego towarzystwa. Redagował znane i cenione, wydawane do dziś czasopismo „Kosmos”. W odrodzonej Polsce znalazł się w grupie członków założycieli Polskiego Towarzystwa Chemicznego, którego w 1931 roku został prezesem.

Pierwszy polski doktorant Hilberta

Powróćmy jednak do matematyków. W 1898 roku do Getyngi przybył warszawianin Michał Feldblum (1875-1926), który wcześniej uzyskał dyplom kandydata nauk na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Marzeniem Feldbluma były studia w Getyndze i doktorat u Hilberta. Udało mu się to osiągnąć. W 1899 roku złożył rozprawę doktorską na temat konstrukcji geometrycznych wykalnych za pomocą samej linijki z podziałką. Problemem tym, a szczególnie zagadnie-



David Hilbert
(1862-1943)
and his space-filling curve

Plakat z podobizną Davida Hilberta wykonany z wykorzystaniem krzywej Hilberta wypełniającej kwadrat. Projekt: Fritz Lott. Analityczny opis konstrukcji krzywej wypełniającej kwadrat został podany przez Hilberta w 1891 roku. Pierwszą konstrukcję takiego tworu zaledwie rok wcześniej podał Giuseppe Peano, ale to na cześć Hilberta krzywe wypełniające kwadrat noszą jego nazwisko. Praca Peano o krzywej została opublikowana w getyngim czasopiśmie „Mathematische Annalen”. W 1912 roku inny, pod pewnymi względami bardziej oryginalny przykład takiej krzywej podał Sierpiński.

niami pokrewnymi z nim związanymi pasjonował się wtedy Hilbert. Rozprawa Feldbluma została bardzo pozytywnie oceniona. Egzamin u Hilberta, w czasie którego pytał on między innymi o twierdzenie Cauchy’ego–Riemanna i jego zastosowania w teorii równań różniczkowych, również miał pomyślny przebieg. Do zakończenia postępowania doktorskiego zgodnie z przepisami pozostało już tylko przedstawienie 150 kopii wydrukowanej rozprawy doktorskiej, złożenie przysięgi doktorskiej i uroczysta promocja. Z tym pierwszym Feldblum miał kłopot. Koszty druku w Getyndze były bardzo duże, dodatkowo drukarz podniósł cenę z 32 do 40 marek za arkusz. Feldblum zdecydował się napisać w języku niemieckim rozprawę wydrukować w Warszawie. W ten sposób mamy kolejną ciekawą pamiątkę. Rozprawa, jako zapewne jedyny doktorat w Getyndze, ma adnotację rosyjskiego cenzora, który dopuścił pracę do druku.

Feldblum znalazł się w pierwszej dziesiątce (ze względu na chronologię) doktorantów Hilberta. Niestety to, co miało go nobilitować, uskrzydlić jego dalszą karierę, nie przyniosło spodziewanych efektów. Polacy wyznania mojeszowego nie mieli łatwego życia nad Wisłą, w kraju pod rosyjskimi rządami. Feldblum w bardzo przejmującym liście do swego mistrza naukowego Hilberta narzekał na zupełny brak kontaktów z profesorami warszawskimi, którzy nie zajmują się pracą twórczą, a głównie wykładami na uniwersytecie i w szkole politechnicznej. Informował ponadto, że ze względu na swoje wyznanie doświadcza dyskryminacji ze strony rosyjskich władz i nie ma żadnych możliwości rozwoju kariery naukowej. Feldblum nie zapisał się również w historii matematyki w odrodzonej Polsce – wtedy także nikt nie zainteresował się tym niespełnionym uczonym, pierwszym polskim doktorantem Hilberta.

Axer, Laub, Werner...

W późniejszych latach do Getyngi przybywali kolejni adepci nauk ścisłych. W 1903 roku z wiedeńskim doktoratem z matematyki przybył na dalsze studia przemyslanin Aleksander Axer. Studiował u wszystkich mistrzów: Kleina, Hilberta i Minkowskiego, ale głównie interesowała go teoria liczb. Axer na stałe związał się z niemieckojęzycznym środowiskiem matematycznym, a ostatecznie osiadł w Szwajcarii.

W tym samym roku podjął studia rzeszowianin Jan Jakub Laub, który zajmował się głównie fizyką. Na uniwersytecie wysłuchał wielu wykładów z matematyki i jej zastosowań u Hilberta, Kleina, Minkowskiego i Zermelo. Laub, świetnie znający metody fizyki matematycznej i zainteresowany teorią względności, przybył w 1908 roku do Alberta Einsteina, wtedy jeszcze pracownika biura patentowego w Bernie, i jako pierwszy spośród wszystkich uczonych napisał wspólnie z nim prace naukowe. Później przeniósł się do Argentyny, przez pewien czas pracował jako polski dyplomata. Życie zakończył w Szwajcarii w skrajnym ubóstwie.

W 1904 roku, po studiach inżynierskich w Darmstadt i uniwersyteckich na Uniwersytecie Jagiellońskim, zapisał się na fizykę warszawianin Wacław Werner. On też nie stronił od wykładów i seminariów matematycznych, wysłuchał czterech wykładów Hilberta, uczestniczył w wykładach Kleina, ale jego mistrzem był Woldemor Voigt. O nich będzie mowa w kolejnym artykule na temat Polaków w Getyndze związanych z Voigtem.

W tym samym roku na studia zapisał się przybyły z Charkowa Polak, docent technicznej uczelni w Charkowie, Antoni Przeborski. W swym sprawozdaniu napisał zaskakującą opi-

nię: „Wykłady prof. Hilberta miały charakter elementarny”, co raczej świadczy bardzo pozytywnie o poziomie studiów matematycznych w Rosji niż o niskim poziomie studiów w Getyndze. Kilkanaście lat później w odrodzonej Polsce Przeborski został profesorem mechaniki teoretycznej Politechniki Warszawskiej.

Steinhaus

W 1906 roku na studia matematyczno-fizyczne w Getyndze zapisali się znani później uczeni – astronom Felicjan Kępiński, matematycy Hugo Steinhaus i Antoni Łomnicki. Kępiński rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, który musiał opuścić ze względu na udział w strajku szkolnym, a potem studiował w Krakowie, Lipsku, Getyndze i Berlinie. Z wielkim rozrzewnieniem wspominał swe getyńskie studia, w tym udział w wykładach Hilberta.

Hugo Steinhaus to drugi z kolei i ostatni Polak, który pod opieką Hilberta uzyskał w Getyndze doktorat z matematyki. Steinhaus znalazł się tu, gdyż porzucił lwowską wszechnicę, na której spędził zaledwie rok. W Getyndze odbył w latach 1906–1911 pełne studia w zakresie matematyki i jej zastosowań, wysłuchał wielu wykładów Hilberta, uczestniczył w jego seminariach, niestety nie wygłosił tam żadnego odczytu. Zwykle mówi się, że Hilbert był promotorem doktoratu Steinhaus. Należy jednak pamiętać, że były to inne czasy i inne niż dziś przepisy. W zasadzie doktorant pisał swą rozprawę samodzielnie i już gotową przedstawiał do oceny profesorowi, a tylko czasem wcześniej przedstawiał ją do wstępnej oceny. W latach 1898–1911 liczba doktorantów Hilberta przekroczyła 50 i mistrz



Członkowie Towarzystwa Matematycznego, Getynga 1895 rok. SUB GÖ, Sammlung Max Vogt, Gruppenbild 4. W pierwszym rzędzie, od lewej: Eduard Götting, Ernst Schering, Heinrich Weber, Woldemor Voigt, Eduard Riecke, Wilhelm Schur; w drugim rzędzie: Ernst Harald Schütz, Ernst Ritter, Heinrich Burkhardt, Georg Bohlmann, Wilhelm Felgentraeger, Stanisław Tołoczko, Adolf Jost, Teofil Friesendorf, Dychhoff (prawd. Otto Dieckhoff), Wilhelm Lorey; w trzecim rzędzie: Ignatz Robert Schütz, Erich Prümm, Sophus Marxsen, August Toepler; w czwartym rzędzie: Ludwig Harald Schütz, Julius von Braun, Rudolf Schmidt, Otto Blumenthal. Fotografia z atelier Williama Nölle'a

nieczęsto osobiście zajmował się pracami powstającymi pod jego opieką. Jak było w przypadku Steinhausa – nie wiemy. Wiadome jest, że Steinhaus swą rozprawę *Neue Anwendungen des Dirichlet'schen Prinzip* przedstawił Hilbertowi do oficjalnej oceny 1 marca 1911 roku. Rozprawa, jak i egzaminy, zostały ocenione wyjątkowo pozytywnie. Gdy tylko dopełniono formalnego wymogu wydrukowania 150 egzemplarzy, odbyła się uroczysta promocja. Na stopień doktora filozofii ze szczególnym wyróżnieniem (*summa cum laude*) Steinhausa promował profesor botaniki getyńskiej wszechnicy Albert Peter.

Steinhaus to kolejny młody polski uczyony, który po powrocie do ziem ojczyźstych nie mógł znaleźć pracy na uczelni. Wyznanie mojżeszowe utrudniało zdobycie posady nie tylko w krajach pod rosyjską władzą, ale także w Austrii, gdzie przepisy również ograniczały osobom tego wyznania dostęp do posad na uczelniach. Tu – zgodnie z rozporządzeniem – w pierwszej kolejności na katedry powoływani byli rzymscy katolicy. Posad było niewiele, konkurencja duża, więc na wolne miejsce wyznawca judaizmu musiał czasem czekać wiele lat. Do roku 1917 Steinhaus pozostawał niezależnym uczonym, oddanym Polsce – służył w Legionach. Sześć lat po doktoracie doczekał się posady. Uzyskał *veniam legendi* na Uniwersytecie im. Ciesarza Franciszka we Lwowie, a potem w 1920 roku zdobył profesurę na tej samej uczelni, która wtedy w wolnej Polsce nosiła już imię króla Jana Kazimierza.

Steinhaus jest powszechnie znany. Wraz ze Stefanem Banachem tworzył lwowską szkołę matematyczną, której osiągnięcia przyniosły polskiej matematyce światową sławę. Po II wojnie światowej przyczynił się do powstania ośrodka matematycznego we Wrocławiu. Napisał wspomnienia z młodości, w których spory fragment poświęcił pobytowi w Getyndze. Za życia przyznano mu wiele nagród i wyróżnień. Po śmierci został patronem Nagrody Głównej Polskiego Towarzystwa Matematycznego, którą otrzymują uczeni za znaczący dorobek w dziedzinie zastosowań matematyki. W 2018 roku na domu, w którym mieszkał podczas swych getyńskich studiów, umieszczono tablicę z jego nazwiskiem – podobną do tych, które upamięniają najwybitniejszych: Gaussa, Kleina i Hilberta.

Astronomowie, matematycy, fizycy...

W czasach studiów Steinhausa i aż do I wojny światowej liczba Polaków studiujących w Getyndze nauki ściśle była

bardzo duża. Studiujący w tym samym czasie Roman Dmochowski wspominał: „W Getyndze [...] obracałem się w towarzystwie kilku starszych kolegów Polaków z dyplomami uniwersyteckimi lub doktorantów – wszyscy o zdecydowanych zamiłowaniach naukowych fizyczno-matematycznych. Do Getyngi przyciągały ich takie nazwiska jak Hilbert, Minkowski, Klein – wszyscy matematycy”. Kto z Polaków studiował wtedy u Hilberta? Kilku najbardziej znanych to warszawianie: astronom Tadeusz Banachiewicz, twórca ośrodka astronomicznego w Krakowie, Władysław Dziewulski, twórca obserwatoriów astronomicznych w Wilnie i Toruniu, matematycy: Zygmunt Janiszewski, Stefan Mazurkiewicz i Waław Sierpiński – przyszli założyciele warszawskiej szkoły matematycznej. Studiowali tu także matematycy z Krakowa: Antoni Hoborski i Alfred Rosenblatt – obaj byli już doktorami filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Hoborski był profesorem Akademii Górniczej w Krakowie, pierwszym rektorem tej uczelni. Rosenblatt po wielu latach oczekiwań na katedrę w Polsce wyjechał do Peru, gdzie odegrał czołową rolę w tamtejszym środowisku naukowym, m.in. był współzałożycielem tamtejszej akademii nauk.

Wśród Polaków, którzy w tym czasie studiowali nauki fizyczno-matematyczne, a dziś są zupełnie zapomniani, warto wymienić dwóch: łodzianina Juliana Przedborskiego (często mylnego z Antonim Przeborskim), późniejszego majora Wojska Polskiego oraz doktora getyńskiej wszechnicy, wschodzącą i przedwcześnie zgasłą gwiazdę fizyki matematycznej, krakowianina Jana Kroo.

Czym zainteresowali się polscy studenci Hilberta? Banachiewicz zapisał się tylko na jeden jego wykład – *Mechanik der Kontinua*. Ten cykl wykładów był jeszcze prowadzony w klasycznym, newtonowskim duchu. Na cykl odczytów z mechaniki, w których Hilbert odniósł się do przedstawionej w 1905 roku przez Einsteina szczególnej teorii względności, trzeba było poczekać aż do 1911 roku. Janiszewski uczestniczył w 1908 roku w wykładzie Hilberta o podstawach matematyki (*Prinzipien der Mathematik*), a także w seminarium z logiki prowadzonym wspólnie przez Hilberta i Zermelo. Hoborski zapisał się na wykłady Hilberta z teorii równań różniczkowych oraz seminarium prowadzone wspólnie przez Hilberta i Landaua. Z seminarium, za zgodą Hilberta, zrezygnował, gdyż nie interesowała go teoria idealów. Większość Polaków wysłuchała któregoś z wykładów z teorii równań różniczkowych lub metod matematycznych fizyki. Warto zwrócić uwagę na te zainteresowania Hilberta, gdyż według bazy referencyjnej Zentralblatt für Mathematik najczęściej cytowane jego dzieło to wspólna z Richardem Courantem monografia o metodach matematycznych (w oryginalnej wersji niemieckiej i tłumaczeniu na angielski). Ta dwutomowa książka powstała głównie dzięki pracy Couranta, ale w dużej mierze związana jest z pracami, jakie prowadził oraz przedstawiał na swych wykładach i seminarium Hilberta.

Zainteresowania Hilberta fizyką matematyczną widać już w słynnym odczycie wygłoszonym na Międzynarodowym Kongresie Matematyków w Paryżu w 1900 roku, w którym przedstawił problemy, jakie – jego zdaniem – powinny wytyczyć drogę badań matematycznych w XX wieku. Prace nad aksjomatyzacją fizyki Hilbert wymienił jako jedno z głównych zagadnień, nad którymi należy intensywnie pracować. Bardzo wcześnie zainteresował się teorią względności Einsteina. Courant wspominał, że Hilbert postanowił się nauczyć fizyki i teorii kwantów. W tym celu zatrudnił fizyków jako prywatnych asystentów, których w tym celu przysyłał mu Sommerfeld. Do 1910 roku Hilbert prowadził wykłady teorii równań różniczkowych i całkowych, w okresie 1911–1920 w każdym semestrze miał co najmniej jeden wykład związany bezpośrednio



Tablica upamiętniająca pobyt Hugona Steinhausa w Getyndze, Getynga 2018. Fot. D. Ciesielska



Podpis własnoręczny:

Tadeusz Felsztyn

Tadeusz Felsztyn (1894–1963) jako student Uniwersytetu Warszawskiego. Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego



Jakub J. Laub (1882–1962), Mennheim. Caltech Image Archives. Fotografia z atelier G. Tillmana Mattera.

nio z zagadnieniami współczesnej fizyki, niektóre z nich były wprost zatytułowane *Podstawy fizyki*. Po I wojnie światowej poruszał tematy związane z teorią kwantów. Wraz z getyńskim fizykami stworzył seminarium struktury materii. Uczestniczyli w nim Heisenberg, Born, Franck, Jordan, Pauli... Courant w 1974 roku wspominał, że: „był to bohaterki okres nowoczesnej fizyki teoretycznej, a rola w nim tego seminarium i inspiracja samego Hilberta odegrały znacznie większą rolę niż wie, a nawet choćby przypuszcza, fizyk zainteresowany dziejami swej dyscypliny”.

...i filozofowie

Tymczasem kolejna grupa Polaków, studentów, którzy licznie przybyli do Getyngi zachęteni przez byłych studentów, to w dużej mierze filozofowie. Przed I wojną światową znaleźli się tu: Roman Ingarden, Leon Chwistek, Kazimierz Ajdukiewicz, Aleksander Rosenblum (później Augustowski) oraz przyszli doktorzy psychologii na Uniwersytecie w Getyndze – Stefan Błachowski i Wanda Łempicka. Prawie wszyscy zdecydowali się na udział w którymś z wykładów Hilberta. Ingarden i Łempicka wysłuchali wykładu *Prinzipien der Mathematik*, który odbył się w letnim semestrze roku akademickiego 1912/1913. Wbrew powszechnej opinii nie uczestniczył w nim Ajdukiewicz, który do Getyngi przybył dopiero jesienią 1913 roku, a w kolejnym roku akademickim Hilbert nie powtórzył wykładu z podstaw matematyki. Chwistek, w Getyndze już doktor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zamierzał podjąć współpracę z Hilbertem, do czego jednak nie doszło.

Na koniec przywołajmy studenta Hilberta, który może zaskoczyć. Niewiele osób kojarzy Tadeusza Felsztyna, emigracyjnego popularyzatora nauki, z matematyką i studiami w Getyndze. Znany jest bardziej jako żołnierz. Felsztyn (ur. Felsein) walczył w Legionach Polskich, Polskich Siłach Zbrojnych, uczestniczył w obronie Lwowa w 1918 roku. W okresie międzywojennym pełnił funkcje administracyjne w Wojsku Polskim. Uczestniczył w kampanii wrześniowej. Trafił do radzieckiej niewoli i był więziony w obozie w Starobielsku, ale jako jeden z niewielu ocalał. Znalazł się w Armii Polskiej w ZSRR, gdzie został pułkownikiem. Po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. Służbę wojskową łączył, i to z dobrym skutkiem, z pracą naukową. Studiował na uniwersytetach we Lwowie i w Warszawie. Pod opieką Janiszewskiego i Mazurkiewicza podjął badania naukowe, które uwieńczone zostały rozprawą doktorską *O topologicznej definicji czasu*. Początek jego kariery akademickiej sięga jednak roku 1912, gdy rozpoczął w Getyndze studia matematyczne. Na pierwszy wykład Hilberta, a był to wykład z metod matematycznych fizyki, zapisał się dopiero wiosną 1914 roku. Okazało się, że była to tzw. ostatnia szansa, gdyż w kolejnym semestrze, ze względu na toczące się już działania wojenne, Felsztyn, tak jak pozostali Polacy, został wykluczony z uczelni.

Hilbert miał duży wpływ na badania polskich uczonych. Jednak wpływ ten niekiedy zaskakuje i dziwi, objawiając się tam, gdzie byśmy się go nie spodziewali, i znikając tam, gdzie jesteśmy go nieomal pewni.

Dr Danuta Ciesielska, matematyk, historyk matematyki, Instytut Historii Nauki PAN im. L. i A. Birkenmajerów w Warszawie

Ludzie systemu

Na wzór ZSRS – jeszcze przed 1948 rokiem – zaczęto budować system partyjnego zarządzania nauką. Miał on początkowo charakter niesformalizowany i skryty. Wybrane dyscypliny nauki, mające znaczenie ideologiczne, poddano nadzorowi „kierowników frontu nauki”.

Jak Berman z Ochabem

Formowane przed wojną wzory polityki naukowej w Polsce kojarzyły inicjatywy instytucji akademickich z działaniami agend ministerialnych, uwzględniano zarówno interes nauki, jak i rację stanu. Harmonia ta została zburzona przez powojenne władze komunistyczne. Na wzór ZSRS – jeszcze przed 1948 rokiem – zaczęto budować system partyjnego zarządzania nauką. Miał on początkowo charakter niesformalizowany i skryty. Wybrane dyscypliny nauki, mające znaczenie ideologiczne, poddano nadzorowi „kierowników frontu nauki”. Była to terminologia rewolucyjna, uczonych akademickich, instytucje i towarzystwa naukowe definiowano jako przeciwników frontowych. Kierownicy zawiadywali uruchamianą nauką partyjną, której reprezentatywną placówką stał się Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR. Miejsce dla „nowej nauki” zdobywano poprzez ofensywę ideologiczną. Uczni zostali poddani rygorom administracyjnym i uprzedmiotowieni. Ofensywą ideologiczną kierował z ramienia władz PPR Jakub Berman, wspomagany przez Franciszka Fiedlera, redaktora „Nowych Dróg”. Powoływani uchwałą Sekretariatu KC PPR/PZPR kierownicy frontu nauki odpowiadali za przebudowę metodologiczną wybranych dyscyplin oraz sterowali polityką awansów i eliminacji kadrowych. Poprzez uzależnione od władz PPR Ministerstwo Oświaty uzyskali dostęp do stanowisk uczelnianych i możliwość instytucjonalnego awansu. Z założenia kierowali się obcymi nauce akademickiej wartościami.

W Polskiej Partii Robotniczej sprawy nauki znalazły się w gestii Wydziału Oświaty i Kultury. Powołano go w marcu 1947 roku w drodze przekształcenia sekcji oświaty Wydziału Propagandy i Agitacji. Przy Wydziale działały komisje zajmujące się poszczególnymi dziedzinami sztuki. Na początku 1948 roku powołano dwie sekcje: oświaty oraz kultury i sztuki. Od grudnia 1947 roku kierownictwo Wydziału od Stanisława Trojanowskiego przejął Stefan Żółkiewski. Z jego inicjatywy objęto działaniami także naukę, organizując partyjne narady wykładawców. Żółkiewski przygotował program represji personalnych wobec najbardziej znanych uczonych-humanistów. Odgrywający pomniejszą rolę Wydział Oświaty i Kultury Polskiej Partii Socjalistycznej kierowany był – po utworzeniu w styczniu 1946 roku – przez Tadeusza Jabłońskiego, kolejni kierownicy podlegali częstej rotacji. W wydziale wyodrębniono dwa referaty: szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego oraz nauki i szkół wyższych.

Po utworzeniu PZPR pojawił się już aparat partyjny w formie Wydziału Nauki, jednej z agend Komitetu Centralnego tej partii. Początkowo zatrudniano jedynie pięciu instruktorów politycznych, którym przydzielono z osobna sprawy szkolnictwa (ekonomiczne, humanistyczne, techniczne, prawne) oraz sprawy studenckie. W praktyce sprawowania władzy ustalono relacje między wydziałami KC PZPR a odpowiednimi ministerstwami. Nauka należała do sektora ideologicznego, w którym zasadnicze decyzje podejmował odpowiedni wydział KC PZPR, a nie dane ministerstwo. Odmienne ułożyły się relacje w sektorze gospodarczym, w którym prymat miały biurokratyczne decyzje ministerstw. Wydziały KC PZPR były podstawą administracyjną działań partii. Obie biurokracje, partyjna i ministerialna, posługiwały się rozbudowanym instrumentarium władzy. Działały permanentnie, na co dzień. Główne wytyczne do działań pozyskiwały w Sekretariacie PZPR. Strategiczne decyzje podejmowało Biuro Polityczne KC PZPR na podstawie opinii członka biura lub sekretarza KC odpowiedzialnego za daną domenę. Sprawami nauki zajmował się w latach 1945-1953 Jakub Berman. Od roku 1951 podzielił się władzą nad nauką z Edwardem Ochabem. Powodem była kampania przeciw syjonistom, uruchomiona przez Józefa Stalina.

Nadal organizowano narady coraz liczniejszej partyjnej profesury, ale prymat uzyskała sieć komórek partyjnych w uczelniach i instytucjach, sterowana przez instruktorów Wydziału Nauki. Struktury sieciowe animowane były z centrali okólnikami i poleceniami, stanowiły w nauce ciało obce, tkankę zrakovaciałą i zgonną dla uczonych i instytucji nauki akademickiej. Pod bezpośrednią kontrolą Edwarda Ochabą kierował Wydziałem Nauki Kazimierz Petruszewicz, po trzech latach zastąpiony przez Zofię Zemankową. Dziełem tego układu była przebudowa instytucjonalna nauki „na fali I Kongresu Nauki Polskiej”. Dokonano też systemowej wymiany „potencjału kadrowego” – około tysiąca pracowników uczelni zostało usuniętych, w ich miejsce zaangażowano wyselekcjonowanych ludzi systemu. Mimo rozbudowy aparatu administracyjnego PZPR, utrzymany został system osobistej odpowiedzialności kierowników frontu nauki za przebudowę ideologiczną poszczególnych dyscyplin. Kierowników tych osadzono w roli referentów sekcji i podsekcji I Kongresu Nauki Polskiej. W okresie prac przygotowawczych do Kongresu (1949-1951) pojawił się megakierownik – Adam Schaf, odpowiadający za

„Akcję N” (Nauka). Stopniowo uzyskiwał rangę głównego ideologa. Wsparcie władz partyjnych, całkowita niezależność od środowiska akademickiego, mimo zakładania kostiumu akademickiego, liczne apanaże, w tym przydzielone mieszkanie i możliwość dodatkowych zarobków – w połączeniu z rewolucyjnym wykształceniem i nihilizmem moralnym – wszystko to dawało kierownikom frontu nauki pozycję udzielnych władców.

Stabe wyrobienie partyjne

Uchwałą Sekretariatu Biura Organizacyjnego KC PZPR z 7 sierpnia 1952 roku powołano w komitetach wojewódzkich (w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu i Katowicach) wydziały oświaty i szkół wyższych. Przy każdym z nich działało miejscowe kolegium międzyuczelniane. Pracę partyjną i administracyjną uczelni nadzorowali instruktorzy KW. Zwracali uwagę na „odcinek studencki”. W okresie „odwilży” politycznej (po śmierci Stalina 5 III 1953) miarkowali egzekutywy POP, które stale nadmiernie „zastępowały” władze rektorskie. Ta tendencja świadczy o ukierunkowaniu terenowego aparatu partyjnego. Władze PZPR uznawały działania za pośrednictwem rektorów jako nieskuteczne. W „Notatce w sprawie wyższego szkolnictwa muzycznego w Polsce z 15 listopada 1955 r.” wskazywano: „Wśród kadry kierowniczej i profesorskiej bardzo nieliczną część stanowią członkowie partii. Na 44 rektorów, profesorów i dziekanów tylko 10 jest członkami partii o dość słabym wyrobieniu partyjnym”. Ogółem we wszystkich uczelniach podległych ministrowi szkolnictwa wyższego we władzach było (V 1959) 19 członków PZPR (na 107), a w roku kolejnym 24 (na 84). Pozycję rektora wzmocniła dopiero nowelizacja ustawy z 1951 roku, przeprowadzona 10 września 1956 roku.

W skali ogólnokrajowej początkowo zakładano, że polityka naukowa – po wyłączeniu polityki „na odcinku szkolnictwa wyższego” – będzie prowadzona przez Polską Akademię Nauk. W jej ramach ulokowano Zespół Partyjny Prezydium PAN, którego sekretarzem „z urzędu” została po Kazimierzu Petruszewiczu pełniąca obowiązki kierownika Wydziału Nauki i Szkół Wyższych KC PZPR Zofia Zemankowa, usytuowana poza PAN. Na niższym szczeblu działały komisje partyjne przy wydziałach PAN. Na posiedzeniu Podkomisji Nauki w KC PZPR (27 X 1957) Henryk Jabłoński postulował połączenie rozproszonych organizacji partyjnych w PAN, łącznie z Zespołem Partyjnym Prezydium, ale i powołanie zespołów partyjnych w wydziałach PAN.

Szukając przyczyn słabości

W okresie „odwilży” przejściowo połączono w KC Wydział Nauki i Szkół Wyższych z Wydziałem Kultury (IV 1955 – VI 1956) pod kierownictwem Stefana Żółkiewskiego. Z kolei po rozłączeniu funkcjonowały w Wydziale Nauki trzy sektory: medycyny i nauk rolniczych, nauk humanistycznych oraz nauk technicznych (pomijano więc nauki ścisłe). Od początku 1957 roku zamiast Wydziału Nauki podjęła działalność Komisja



Adam Schaff



Stefan Żółkiewski

Oświaty, Nauki i Kultury (od VII 1957 – Oświaty i Nauki). Jej sekretarzem była Zofia Zemankowa, zastąpił ją (X 1959) Henryk Garbowski. Komisja, złożona z partyjnych profesorów i działaczy, była „organem doradczo-informacyjnym” władz PZPR. Przewodniczył jej Witold Jarosiński, a po nim Jerzy Morawski, sekretarz KC. Komisja przejęła zadania od zlikwidowanego Zespołu Partyjnego Prezydium PAN. Debatowała też nad sytuacją w uczelniach POP, oceniała stan ideologii poszczególnych dyscyplin nauki i projekty zmian normatywnych. W roku 1958 rozszerzono jej skład z 19 do 34 osób. Powstały wtedy podkomisje: oświaty oraz nauki i szkolnictwa wyższego. Jak głosiła notatka w „Życiu Szkoły Wyższej” (nr 3, 1958), komisja kierowała się zasadą: „odwrót od komenderowania i dogmatyzmu nie może oznaczać rezygnacji z politycznego kierowania nauką”. Szukając przyczyn słabości „nauki marksistowskiej”, proponowano „walkę na dwa fronty”: przeciw dogmatykom i przeciw rewizjonistom. Wyrazem nowej polityki była też likwidacja na szczeblu KW wydziałów oświaty i szkół wyższych. W ich miejsce wprowadzono komisje nauki i oświaty (II 1957), jednak sprawy organizacyjne uczelni przekazano w gestię aparatu etatowego – wydziałów propagandy KW.

Gdy system odzyskał równowagę po kryzysie z końca 1956 roku, powrócono do rządów etatowego aparatu. Powołanym w styczniu 1960 roku Wydziałem Oświaty i Nauki KC PZPR kierował (do III 1971) Andrzej Werblan, następnie Romuald Jezierski (do II 1975) i Jarema Maciszewski. W lutym 1960 roku odbudowano także terenowy aparat etatowy w postaci wydziałów nauki, oświaty i kultury KW PZPR. Przy tych wydziałach ulokowano dotychczas samodzielne komisje nauki i oświaty. Partyjny system kierowania nauką legalizowało zarządzenie czterech ministrów mających w swej gestii szkoły wyższe (21 lutego 1968 roku), na mocy którego oficjalnie powołano kolegia rektorów w poszczególnych miastach wojewódzkich. Uzupełniono je po 1971 roku kolegiami dyrektorów instytutów resortowych i oddziału PAN. Kolegia te sytuowano przy Komitecie Wojewódzkim PZPR.

Zadania „kierowników frontu nauki”, a następnie komisji dyscyplinowych przy Wydziale Oświaty i Nauki KC, przejęły (I 1973) zespoły partyjne przy komitetach naukowych PAN. Miejscem posiedzeń zespołów partyjnych była siedziba Wydziału Oświaty i Nauki KC PZPR.

W sprawie podyplomowego stażu lekarskiego

Kiedy otrzymywałem dyplom lekarza, 52 lata temu (tak, tak!), miałem w Polsce 173 tysiące nowych kolegów, co dawało średnią 5,29 lekarza na 1000 mieszkańców. Dziś ocenia się, że mamy ledwie 2,4 lekarza na 1000. Tak podano w rankingu Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Daje to nam miejsce gdzieś między Meksykiem a Turcją i Kolumbią i stawia naszą służbę zdrowia na szarym końcu cywilizowanego świata. Inne dane, oparte podobno na bardziej wiarygodnych metodach badań (GUS i Naczelna Izba Lekarska), mają wskazywać, że na 1000 osób przypada 3,7 lekarza, a więc kolegów miałbym 140 tysięcy. To nadal bardzo mało.

Odpowiednio wygląda sytuacja w szpitalach i poradniach. Lekarz, któremu nie podoba się praca w jednym miejscu, już w następnym dniu może sobie pracować gdzie indziej. Zapotrzebowanie na lekarzy jest olbrzymie, dlatego przy zatrudnianiu patrzy się w ich dokumenty raczej tylko ze względów czysto prawnych.

Stan, który zastałem w 1970 roku, był niewygodny z innych powodów niż ten dzisiejszy, bo ze względu na brak miejsc pracy, na skutek zbyt małej liczby łóżek szpitalnych, niewydolnych poradni i innych zakładów medycznych, do których stały niekończące się kolejki. Płacono lekarzowi asystentowi tyle co niewykwalifikowanemu robotnikowi budowlanemu. Minister zdrowia Jerzy Sztachelski oświadczył w latach 60., że (cytuję z pamięci) „lekarze sami się wyżywią, bo zawsze sobie dawali radę”, czyli (w domyśle) będą pracowali na paru etatach po 16 godzin na dobę, brali po 8 dyżurów miesięcznie i wyciągali rękę po łapówkę. Oceniano, że pod względem korupcji lekarze znajdują się na trzecim miejscu (po sędziach i prokuratorach). Nie zmieniało to faktu, że z kolei w rankingach szacunku społecznego występowali na pierwszym miejscu (przed profesorami uniwersytetu i dyrektorami fabryk).

Dziś trochę to się poprzewracało, bo jak donosi Business Insider, na pierwszym miejscu są strażacy, na drugim pielęgniarki, potem robotnicy, górnicy, a profesorowie uniwersytetu przegonili szóstych lekarzy. Ci jednak szybko wspinają się na szczyt listy płac, daleko przed profesorów. Ta zmiana jednak nie powoduje powrotu lekarzy z zagranicy, dokąd wręcz masowo w latach 90. uciekli.

Władze od dawna doskonale zdają sobie sprawę z konieczności szybkiego przywrócenia prawidłowej liczebności lekarzy, przynajmniej do stanu z roku 1970, a który obecnie występuje w najlepszych pod tym względem służbach zdrowia na świecie, tj. w Austrii i Norwegii. Sytuacja jest niewesoła, ponieważ uczelnie medyczne muszą dysponować sporą i drogą bazą laboratoryjno-dydaktyczną i szpitalną, co znacznie utrudnia uruchamianie medycyny na kolejnych uczelniach i „produkcja” lekarzy wciąż jest za mała.

Poziom nauczania teorii medycyny zawsze był w Polsce bardzo wysoki i nowe wydziały lekarskie starają się tę tradycję kontynuować. Podobnie powinno być ze stażem podyplomowym. Część praktycznolekarska nauki z konieczności od dwóch stułeci jest realizowana poza uczelnią, w „zwykłych” zakładach zdrowia. Wkuwanie teorii jest bardzo pracochłonne, trwa 6 lat. Potem następuje 13-miesięczna podstawowa edukacja w zakresie praktyki zawodowej („od zastrzyku po decyzje co do życia”), która trwa między wręczeniem dyplomu lekarskiego a uzyskaniem pozytywnego wyniku LEK-u (Lekarskiego Egzaminu Końcowego). Lekarz przecież musi nie tylko wiedzieć, ale i umieć to wszystko robić...

Okres ten, zwany stażem, ma ściśle określony program. Teraz nauczycielami już nie są pracownicy uczelni. Stają się nimi lekarze praktycy w szpitalach, poradniach, laboratoriach. Teraz oni są mentorami młodych lekarzy. Wprowadzają w hermetyczny świat medycyny, ten owiany tajemnicą, w którym swoje miejsce może znaleźć tylko ktoś, kto ma za sobą rozległe studia.

Do działania lekarskiego konieczne jest nabycie umiejętności posługiwania się wiedzą, ponieważ każda decyzja lekarska (powtarzam: każda!) jest zawsze jedyna. Wyjątkowa. Każda musi być przemyślana, oparta na setkach błyskawicznych skojarzeń, ogromnej pamięci, intuicji, doświadczeniu (na stażu przekazywanym przez mentorów), rozeznaniu co do konkretnego przypadku i zgodności z aktualnie obowiązującą nauką oraz etyką. Zawsze istnieje jakiś szczegół, który dany przypadek czyni wyjątkowym. Ignorant czy (ładniej) laik medyczny nigdy do końca sobie z tym nie poradzi, natomiast lekarz musi to czynić perfekcyjnie. Lekarza nie zastąpi żadna wiedza internetowa ani zasięgnięta u innego pacjenta.

I właśnie staż podyplomowy jest tym genialnym sposobem na dobrą medycynę. Uczy wiązania teorii lekarskiej z praktyką. To fascynujący okres wtajemniczania się i dojrzwiania. Lekarz dokonuje wtedy w swym umyśle metodologicznego ujednoczenia wiedzy, przekształcenia jej w poręczne, niezawodne narzędzie bycia i życia.

Już raz, w roku 2011, minister Ewa Kopacz, notabene lekarka, zlikwidowała staże. Na szczęście mądra Naczelna Rada Lekarska i mądry minister zdrowia w 2015 przywrócili je polskiej medycynie, co było tym bardziej logiczne, że zniesienie stażów nie zwiększyło liczby lekarzy.

Ostatnio znowu się słyszy, że ktoś, aby przyspieszyć przyrost liczby lekarzy gotowych do pracy i z powodu braku miejsc stażowych, wpadł na wątpliwy pomysł ponownej likwidacji stażu. Znowu są ostre protesty lekarzy starych i młodych, w tym Rady Lekarskiej. Znowu protestują razem z nimi.

Patrząc w lustro – wiesz, kim jesteś?



Michał Paweł Markowski wykładał na zagranicznych uczelniach od końca lat dziewięćdziesiątych, natomiast od 2010 roku ma dość egzotyczny przywilej bycia akademickim polonistą za granicą (szefuje Wydziałowi Studiów Polskich, Rosyjskich i Litewskich na Uniwersytecie Illinois w Chicago, jednej z bardziej prestiżowych uczelni stanowych w USA). Jest zatem polonistą funkcjonującym w anglo- oraz częściowo hiszpańskojęzycznym środowisku (wielokrotnie wspomina o swojej partnerce o portorykańskich korzeniach). Jednocześnie jednak książki pisze przede wszystkim

po polsku i wydaje je w Polsce. Największy rozgłos zyskały *Wojny nowoczesnych plemion* z 2019 roku. W *Polsce, rozkosz, uniwersytecie* łączy naukową eseistykę (wiązącą refleksję literaturoznawczą, filozoficzną i historiozoficzną) z bardzo osobistą perspektywą związaną z sytuacją rodzinną, zamiłowaniem do gotowania i wspomnieniami z dzieciństwa i studiów. Koncentruje się ona wokół trzech pytań: Czym powinna być współczesna polonistyka? Jaką rolę spełnia obecnie uniwersytet? Jakie znaczenie ma język, w którym piszemy? Wszystkie zaś obejmuje ogólne zagadnienie filozoficzne: różnica między indywidualnym i podmiotowym (w dużym uproszczeniu: związanym z podmiotowością wytwarzaną przez zbiorowość) postrzeganiem siebie i otaczającej rzeczywistości (sama kategoria „rzeczywistości” jest inaczej rozumiana w kontekście indywidualnego, a inaczej w kontekście podmiotu).

Autor słusznie zwraca uwagę, że pułapką i ograniczeniem jest nie tylko zamykanie się we własnej, wąskiej specjalności; również interdyscyplinarność jest konceptem na tyle starym, że zdążyła obrósnąć w petryfikującą tradycję. W swoich rozważaniach płynnie łączy filozofię z psychologią, a przecież tak naprawdę żadna z nich nie jest jego specjalnością. Tym właśnie jest prawdziwa eseistyka – nie tylko pozwala myśli płynąć, nie tylko wykazywać się erudycją, ale łączyć rozumienie z różnych sposobów poznania. Jednocześnie nie jest to interdyscyplinarność rozumiana jako oglądanie tego samego przedmiotu badań z różnych perspektyw. Markowski określa się mianem nominalisty: skoro sposób, w jaki mówimy o przedmiocie, wpływa na sam przedmiot (w każdym razie na jego postrzeganie, a przecież nie jesteśmy w stanie wyjść poza kategorie naszego postrzegania), to przedstawiciele różnych dziedzin nauki badają tak naprawdę coś w mniejszym lub większym stopniu różnego, nawet jeśli jest to ten sam obiekt.

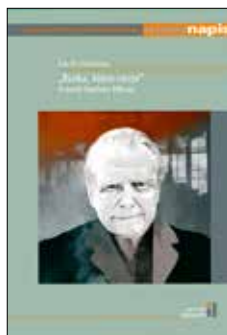
Ten sam, ale nie taki sam. Autor zarówno wskazuje na konieczność zachowania ważnej dla nauki dyscypliny także w humanistyce, z drugiej jednak podkreśla, że próba upodobnienia humanistyki do nauk ścisłych jest ślepą uliczką, także w wymiarze używanych języków. To jego kluczowa teza: polonistykę można uprawiać wyłącznie po polsku; po angielsku mogą publikować amerykańscy lub angielscy piszący o polskiej literaturze. Wbrew pozorom takie podejście nie ma w sobie nic z nacjonalizmem – Markowski zarysowuje szeroki projekt całkowitego przededefiniowania podziału humanistyki na dyscypliny. Wymaga od polonisty naprawdę szerokich kompetencji z różnych dziedzin wiedzy, ale też takie podejście pozwala do reszty pozbyć się kompleksu zaścianowości. Polonistyka staje się tu analizą wszelkich przejawów polskości: literatury, ale też każdego innego przejawu samoświadomości. Ta ostatnia rozumiana jest indywidualnie, ale też jako konstrukkt kształtowany przez zbiorowość, to drugie ujęcie zaś niekoniecznie wiąże się z narzucaniem czegoś, gdyż stuprocentowy nominalizm oznaczałby zanik intersubiektywności. U tego autora nie ma miejsca na schematyczne dychotomie.

Z nadzieją, ale i niepokojem czekam na kolejne książki Markowskiego. Z jednej strony chcę, by zakwestionował moje intelektualne przyzwyczajenia, z drugiej jego śmiałość w przełamywaniu schematów sprawia, że czuję, jakby ktoś wyrwał mi dywan spod nóg.

Marek Misiak

Michał Paweł MARKOWSKI, *Polska, rozkosz, uniwersytet. Opowieść edukacyjna*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021, seria: Hermeneia.

Propedeutyka poezji Miłosza



Zapewne nie bardzo zblądzi, kto stwierdzi, że to książka, na którą czekali czterdzieści lat. W 1982 roku ukazała się w serii „Biblioteka Analiz Literackich” WSiP praca Bożeny Chrzęstowskiej *Poezje Czesława Miłosza*. Później jeszcze dwukrotnie wznawiano tę popularizatorską monografię. Wciąż jednak brakowało innej tego rodzaju syntezy, która stanowiłaby swoistą propedeutykę poezjowania naszego noblisty. Były inne próby, ale zawsze obciążone przerostem funkcji interpretatorskich nad analitycznymi lub, co jeszcze gorsze, niezbyt nawet skrywanym zideologizowaniem wywodu. Książka Chrzęstowskiej, choć wydana w początkach stanu wojennego, wolna była przynajmniej od tych wad. Miała natomiast inne, a przede wszystkim zbyt silny akcent położony na kwestie dydaktyki literatury kosztem zagadnień teoretycznoliterackich. Była to książka przeznaczona nie tyle dla bezinteresownych miłośników liryki, co dla nauczycieli i uczniów, a uwikłania pedagogiczne zawsze pomniejszają bezinteresowność lektury.

Książka Lecha Gieźmy, w przeciwieństwie do Chrzęstowskiej, oferuje rzecz, która ma być nie tyle pomocą dydaktyczną w procesie kształcenia polonistycznego, ile raczej zaproszeniem admiratora poezji do czytania wierszy Miłosza. Zaproszeniem, bo niestety „klasycyjnemu” nam Miłosz coraz bardziej. O ile wcześniejsze pokolenia sięgały do dzieł autora *Gucia zaczarowanego* niezależnie od szkoły, a zdarzało się, że i wbrew niej, szukając niepowtarzalnych doznań estetycznych, wskazań moralnych, usensownienia egzystencji, to dzisiaj jest zupełnie inaczej. Szkoła niejako narzuca Miłosza, a obdarzeni wrażliwością poetycką szukają spełnienia swych potrzeb u innych liryków. Lech Gieźma zdaje się mówić, że nikt i nic nie zastąpi samodzielnej lektury, w przysłowiowych czterech ścianach, z dala od zgłębienia sal lekcyjnych i wykładowych. Czytanie poezji jest nade wszystko aktem indywidualnego spotkania z dziełem. Pięknie pisał o tym Roman Ingarden.

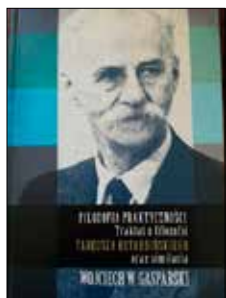
Miłosz jest poetą, który ma wiele do powiedzenia. Zwłaszcza dziś, w trudnym czasie pogłębiającego się chaosu i coraz bardziej widocznych oznak uwiadu tych form cywilizacji, które przez setki lat odgrywały w świecie pierwszorzędną rolę. Przez swój pesymizm w porządku indywidualnym i katastrofizm w społecznym. Dalej, przez niepoddawanie się oraz – jednak przecież – religijność. W końcu też: „Ustawiczne, konsekwentne poszukiwanie sensu, wbrew ideom XX wieku, wbrew rozpaczom...”. Homo inquietus (termin Stefana Symotiuka) doby obecnej łatwo odnajdzie siebie w antynomiach poezji Miłosza: religijność bez religii, awangardowy klasycyzm i kosmopolityzm łaknący swego „zaścianka”.

Praca Lecha Gieźmy jest rzeczą dla wszystkich i wybranych jednocześnie. Dla wszystkich, bo napisana w sposób prosty, pozbawiona naleciałości naukowego żargonu, skonstruowana od początku do końca na sposób – powiedzmy – zdroworoządkowy. Dla wybranych, bo jednak dla tych, którzy pozytywnie odpowiedzieli niegdyś na zaproszenie Euterpe i teraz w liryce szukają odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Ideальnym odbiorcą tomu będzie nie koneser, „miłoszolog”, choć i on zapewne znalazłby coś dla siebie, lecz admirator poezji, początkujący lub taki, któremu do tej pory z Miłoszem nie było po drodze. Zaopatrzwszy się w wybór wierszy poety, należy przystąpić do lektury „*Rzeki, która cierpi*”. Własne przemyślenia konfrontować z komentarzami do poszczególnych wierszy. Po co to wszystko? Choćby po to, żeby „wymodelować postawę moralną jednostki tak, aby zdolna była wytrzymać ciśnienie destrukcyjnych procesów historii” i jeszcze, aby odpowiedzieć na pytanie: „Jak znieść cierpienie, jak przetrzymać klęski niesione przez czas «pożaru świata», aby zachować godność?”. W tej uwadze Krzysztofa Dybciaka odnoszącej się do Żagarystów rysuje się odpowiedź na pytanie o sens czytania Miłosza i książek takich, jak ta.

Tomasz Klusek

Lech GIEŹMA, „*Rzeka, która cierpi*”. *O poezji Czesława Miłosza*, Instytut Literat., Kraków 2021, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej.

Praktyczność i Kotarbiński



3 października 2021 minęła 40. rocznica śmierci Tadeusza Kotarbińskiego. Rocznicę tę prof. Wojciech Gasparski, nestor polskiej prakseologii, postanowił uczcić wydaniem tomu *Filozofia praktyczności*. Na początek winni jesteśmy czytelnikowi kilka słów objaśnienia tytułu książki. Łączy ona przekład wydanej w 1993 roku w Helsinkach książki Gasparskiego *A Philosophy of Practicity. A Tractat on the Philosophy of Tadeusz Kotarbiński* z simila-

riami, tzn. powiązany z nią tematycznie pracami dotyczącymi studiów nad dorobkiem Kotarbińskiego. Całość stanowi spójną monografię poświęconą filozofii działania T. Kotarbińskiego.

Filozofia praktyczności składa się z czterech części. Pierwsza wprowadza pojęcie praktyczności i wskazuje pozornosc przeciwieństwa teoretycznego (już Arystoteles wskazywał, że podstawą odróżnienia poznania praktycznego i teoretycznego jest inny cel) oraz tego, kiedy mamy do czynienia z „błędem praktycznym” – jest to „wywarcie impulsu nieodpowiadające celowi” (a w poszczególnym przypadku – przeciwcelowe), a także główne przyczyny tego błędu: opieszałość, niedobór siły, brak wprawy, automatyzm i wadliwe rozeznanie. Część druga to rozważania o praktyczności filozofii, które obejmują uwagi o praktykowaniu filozofii (na wydziałach filozofii) oraz ważne konstatacje nad kulturą filozoficzną (obejmującą kulturę historyczno-filozoficzną, choć trzeba tu przyznać, oczyszczoną z wątków metafizycznych, oraz kulturę etyczną) jak i kulturą logiczną (pożytki logiki są, jak się wydaje, w Polsce powszechnie nadal znane, więc je tu pominię). Ważny moment tej części to kwestia relacji praktyczności filozofii i głoszonego przez Kotarbińskiego konkretyzmu (reizmu, czyli poglądu, że nie istnieją inne obiekty niż rzeczy, a wszelkie zdania pierwotne mają za przedmiot rzeczy); daje to osobliwe skutki, gdy chodzi o badanie przedmiotów humanistyki: „Jeśli ktoś żąda, by humanistyka badała dzieje nauk, systemów filozoficznych, systemów prawa i rozumie to w ten sposób, że są to przedmioty humanistyki, podobnie jak minerały, rośliny i zwierzęta są przedmiotami badania naturalistów – ulega złudzeniu”. Wszystkie te obiekty mają istnienie w stopniu obrazowym... Brzmiały te tezy osobliwie, chyba dziś nie do obrony – jest to pogląd skrajnie „nieekonomiczny poznawczo”.

Trzecia część dotyczy filozofii praktycznej, do której Kotarbiński zaliczał naukę o życiu szczęśliwym (felicytologię), naukę o praktyczności działań (prakseologię) i naukę o tym „jak trzeba żyć, aby zasłużyć na miano porządnego człowieka” (czyli etykę w sensie ścisłym); oczywiście nie są to w sensie ścisłym nauki, ale „mają one na celu konstrukcję jak najracjonalniejszych programów postępowania z punktu widzenia satysfakcji, sprawności i godziwości”. I w końcu czwarta część dotyczy metodologii dyscyplin praktycznych; według Kotarbińskiego tym, co wyróżnia nauki praktyczne, jest sporządzanie projektów. „Nauką normatywną można by nazwać np. etykę, ile że uprawiając głównie projektowanie czynności, pracuje ona w tym obrębie przede wszystkim nad uzasadnieniem trafnych zdań normatywnych”, a ich twierdzenia przyjmują charakter wzorów czy norm.

Similaria dołączone do *Filozofii praktyczności* obejmują kilka artykułów Gasparskiego bezpośrednio poświęconych myśli, ale i życiu Kotarbińskiego. Szczególny charakter ma wieńczący książkę *Adres do Tadeusza Kotarbińskiego* mający postać listu, w którym, jak pisze prof. Gasparski, „zwierzam się i informuję o zdarzeniach, jakie zaszły bądź zachodzą w bliższym i dalszym otoczeniu”.

Podsumowując: myśl Kotarbińskiego nadal brzmi świeżo, mimo że przemijają kolejne pokolenia uczniów. Mam nadzieję, że następni podejmą zadanie troski o praktyczną racjonalność podejścia do nauki i kultury w Polsce, które kulturowali Kotarbiński i jego uczniowie.

Marek Lechniak

Wojciech GASPARKI, *Filozofia praktyczności. Traktat o filozofii Tadeusza Kotarbińskiego oraz similia*, Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2021.

Infodemia



Agnieszka Demczuk w motcie książki przytacza wypowiedź Tedrosa Ghebreyesusa, dyrektora generalnego Światowej Organizacji Zdrowia: „Walczyliśmy nie tylko z pandemią, walczyliśmy z infodemią”. To doskonale podsumowanie tego, co dzieje się obecnie na całym świecie. Chociaż wydawałoby się, że „cywilizacja informacyjna” – jak za Piotrem Sienkiewiczem nazywa nasze czasy autorka książki – powinna ułatwiać nam dostęp do wiedzy, paradoksalnie nas od tej wiedzy oddala. Dziś

każdemu się wydaje, że może być ekspertem, ponieważ zdobycie informacji jest bardzo łatwe, wystarczy odszukać odpowiednią stronę w internecie. Nie nauczono nas jednak, jak filtrować zawartość, którą tam znajdziemy. A ludzie poszukują informacji coraz bardziej atrakcyjnych, odciążających i sensorycznych, zwłaszcza w czasach lockdownu, który oszczędził nas od wielu atrakcji, pozostawiając internet jako jedną z niewielu dostępnych rozrywek. Co więcej, algorytmy internetowe same dopasowują treści do naszych zainteresowań, wybierając te najbardziej skrajne. Tu liczą się prawa rynku – im więcej klikniemy, tym na większe pieniądze może liczyć dany portal. Doprowadza to do tego, że poszczególne grupy zamkają się w swoich bańkach informacyjnych, nie dopuszczając żadnych danych sprzecznych z założoną przez nie tezą, co przyczynia się do dalszej polaryzacji poglądów.

Dyskurs publiczny na temat SARS-CoV-2 i COVID-19 zdominowały dezinformacje, propaganda i plotki. Oparty jest on na emocjach oraz narracjach spiskowych. Niesprawdzone informacje i fałszywki pochodzą głównie od niedoinformowanych internautów, ale także od celowo działających członków formalnych i nieformalnych społeczności cyfrowych, którzy czerpią z tego konkretne zyski. Nie tylko jest silnie spolaryzowany, lecz także spolityzowany – prowadzonej przez władze walce z covid przypisuje się polityczny sens, a sama walka została podporządkowana regułem bieżącej gry politycznej. Jak pisze autorka: „Czas pandemii ukazał jak w soczewce niszczącą siłę internetu jako idealnego przekazańnika i wirtualnego pudła rezonansowego wykorzystywanego do rozsiewania niezliczonej ilości szkodliwych społecznie i politycznie treści. [...] Jednocześnie wciąż brakowało internautom podstawowej wiedzy na temat destrukcyjnego wpływu tych treści i praktycznych umiejętności radzenia sobie z tym zjawiskiem”. Nieumiejętność weryfikowania prawdziwości informacji ma realny wpływ na zdrowie całej światowej populacji. Od lat obserwowany jest pogłębiający się deficyt zaufania do instytucji publicznych, w tym mediów, oraz „negatywizm naukowy”. Zjawisko to określa się jako „śmierć ekspertyzy”.

Autorka przywołuje mity na temat pandemii, opisuje mechanizmy ich powstawania oraz charakteryzuje społeczności, które je tworzą. Przytacza wiele przykładów fałszywych narracji. Omawia strategie dyskursywne kształtujące opinie Polaków na temat koronawirusa. W zakończeniu książki postuluje podjęcie działań przez decydentów politycznych w celu ograniczenia dezinformacji i propagandy. Można wykorzystać do tego inicjatywy polityczne, finansowe, narzędzia informatyczne czy edukację medialną. W grudniu 2020 roku Komisja Europejska rozpoczęła prace nad nową regulacją dotyczącą usług cyfrowych. Jej zadaniem jest wprowadzenie odpowiedzialności pośredników internetowych za publikowane treści.

Tymczasem w Polsce rozpoczęła się kolejna fala pandemii i nic nie wskazuje na to, by była ostatnią. Im więcej rozumiem na temat mechanizmów powstawania dezinformacji, tym bardziej wątpię w szybkie sposoby przeciwdziałania ich skutkom.

Justyna Jakubczyk

Agnieszka DEMCZUK, *SARS-CoV-2 i COVID-19. Plotki, dezinformacje i narracje spiskowe w polskim dyskursie publicznym*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2021.

Planeta wielorazowego użytku



Wakacyjny czas. Ocean, rzeka albo morze i las. Błogi spokój, słońce oraz wszechobecne śmieci. Wyrzucone na brzeg albo upchnięte w krzakach plastikowe kawałki kolorowego sznurka, zużyte patyczki do uszu, reklamówki i woreczki, kawałki zabawek albo zdekonstruowane części czegoś, co w procesie rozkładu straciło swoją pierwotną nazwę. Tak wygląda rzeczywistość całego świata. Ucieczka z przynębiającej rzeczywistości jest o tyle bezcelowa, że niechciane odpadki i tak dogonią każdego, niezależnie od tego, gdzie chce się ukryć.

Tropami resztek będących świadectwem ludzkiej aktywności podąża Stanisław Łubieński. W swojej *Książce o śmieciach* ewidencjonuje katalog wyrzuconych przedmiotów napotykanych w czasie swoich licznych peregrinacji. Problematyczne odpryski codzienności stanowią dobry punkt wyjścia do podjęcia refleksji o konsekwencjach zmiany statusu otaczających człowieka rzeczy. Łubieński docieka przyczyn sytuacji, kiedy to używanie jednorazowych produktów stało się synonimem życia na wysokim poziomie. Warto przeszedźić za autorem historię cyklu pewnych ludzkich zachowań, których początek sięga celowo sprokurowanej reformy języka, wprowadzającej kategorię twórczego marnowania, czyli społecznego przyzwolenia na wyrzucanie starego i kupowanie nowego. Naprawianie czy odnawianie używanych sprzętów stało się równoznaczne z oporem wobec postępu. Każdy, kto nie chciał zostać hamulcowym ewolucji, ulegał więc presji niepoahamowanej konsumpcji. W ten sposób ludzkość doszła do etapu, kiedy masy niepoddających się łatwemu i szybkiemu rozpadowi odpadów zaczęły anektować coraz większe przestrzenie. Pływające, dryfujące czy unoszące się w powietrzu resztki tworzą równoległą rzeczywistość, sprawiając swoim istnieniem ogromny problem dla świata, który nie dysponuje skutecznymi metodami utylizacji gigantycznych ilości wyrzucanych przedmiotów.

Opowieść Łubieńskiego o śmieciach jest tak naprawdę opowieścią o człowieku, o jego emocjach, aspiracjach i lękach, o szkodliwych zachowaniach, a także o braku odporności na techniki manipulacyjne stosowane przez wszystkich, którzy dążą do nieustannego zwiększania sprzedaży. Można ją potraktować także jako pewną formę rozważań o tym, jak sprytnie współczesność zmodyfikowała hierarchię potrzeb, eksponując chęć posiadania i powiązane z nią oczekiwania poklasku. Warto przy okazji lektury zatrzymać się na chwilę, by podumać nad kondycją homo sapiens beznadziejnie uwikłanego w powtarzający się cykl nabywania. Może uchroni to niektórych przed podjęciem kolejnej, często pochopnej decyzji o zakupie rzeczy przestarczającej się za chwilę w kłopotliwy odpad, przerzucany często niczym gorący kartofel do bliższych lub dalszych sąsiadów. Nie można zapomnieć, że dla śmieci ustanowione przez ludzi granice państwowe nie istnieją. To, że ktoś usunie je z własnego podwórka, nie znaczy jeszcze, że nie spotka ich potem na jakiejś piaszczystej plaży, gdzie wypłute przez dławiący się od odpadków ocean, będą wysychać w palącym słońcu, po raz kolejny zmieniając swój kształt. Egoistyczne traktowanie planety jak przedmiotu jednorazowego użytku, na co – podkreśla Łubieński – ludzkość dłużej nie może sobie pozwolić, eliminuje ze społecznej świadomości fakt, że Ziemia jest wspólnym dobrem wszystkich istot ją zamieszkujących.

Dzisiaj wiele, szczególnie młodych, osób zmagają się ze zwiększonym niepokojem związanym z obserwowanymi zmianami klimatycznymi. Sam autor przyznaje się do nerwicy ekologicznej, inni wskazują na smutek oraz głębokie przynębienie i złość towarzyszące im w chwilach, kiedy myślą o nadchodzącej przyszłości. Trzeba mieć świadomość, że zostało naprawdę mało czasu na zmianę nawyków oraz przede wszystkim na wprowadzenie praktycznych i skutecznych regulacji prawnych.

Aneta Zawadzka

Stanisław ŁUBIEŃSKI, *Książka o śmieciach*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020.

W nowym świetle



W czerwcu 2021 roku minęło 65 lat od jego samobójczej śmierci w Nowym Jorku. Ostatnie lata borykał się z ciężkim stanem psychicznym, z problemami osobistymi, oderwany od Polski i jej kultury, które były najbliższe jego sercu. Jan Lechoń, bo o nim mowa, nie był już tym samym człowiekiem – celebrytą swoich czasów, buńczuczny Skamandrytą znanym z donośnego, zaraźliwego śmiechu. Wydawałoby się, że o twórczości wielkiej piątki związanej z kawiarnią artystyczną „Pod Pikadorem” napisano już wszystko. Lechoń nie był tym najczęściej ana-

lizowanym Skamandrytą, ale jego twórczości historycy literatury poświęcili sporo uwagi. Nakładem Instytutu Literatury ukazało się kolejne opracowanie, które udowadnia, że my, czytelnicy, nadal poruszamy się w kregach utartych klisz, które od wielu lat przekazywane są nam w podręcznikach i na lekcjach języka polskiego.

Autorem analizy *Poeta niemodny. O twórczości poetyckiej Jana Lechonia* jest Waclaw Lewandowski, profesor, historyk literatury, na co dzień pracownik naukowy Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Edytor dzieł między innymi Jerzego Andrzejewskiego czy Bolesława Leśmiana. Wstęp do jego opracowania stanowi biografia Lechonia, która choć krótka, opisuje najważniejsze wydarzenia kształtujące młodego poetę, a także tło historyczne towarzyszące powstawaniu tomów jego poezji. W kolejnych rozdziałach mierzy się autor z dotychczasową recepcją takich tomów, jak *Karmazynowy poemat*, *Srebrne i czarne* oraz wierszami z okresu wojny i emigracji, a także szczegółowo omawia wybrane przez siebie wiersze Lechonia. Odnosząc się do funkcjonujących analiz, pokazuje, jak przez kilkadziesiąt lat literatura polonistyczna powiała czytelnice intuicje pierwszych odbiorców. Rozważania autora są wyjątkowo dociekliwe, nie tylko pokazują, jak bardzo szeroki był świat poezji Lechonia, ale rzucają także nowe światło na utwory, z których wydawałoby się, odczytano już wszystko.

Opracowanie twórczości Jana Lechonia wchodzi w skład Biblioteki Krytyki Literackiej, serii wydawniczej towarzyszącej kwartalnikowi kulturalnemu „Nowy Napis”. Na pojedynczy tom składa się monografia wybranego pisarza (na rynku dostępne są już analizy twórczości Baczyńskiego, Poświatowskiej, Miłosza oraz wielu innych znamienitych autorów), a także skomponowana przez autora opracowania antologia tekstów. Skąd pomysł na powołanie do życia owej serii? Wydawca pisze o tym wprost: „Od wielu lat z kręgu środowisk polonistycznych płyną alarmujące głosy o stanie świadomości literackiej Polaków. (...) Dość dużo wiemy również o kryzysie czytelnictwa – o tym, że ma on dwa wymiary. Najbardziej uchwytne jest ten ilościowy – Polacy czytają niewiele. Warto pamiętać jednak również o aspekcie jakościowym”. Ów aspekt jakościowy pojawił się, zdaniem wydawców, wraz ze zmianą systemu kształcenia. Jeszcze w latach osiemdziesiątych polscy uczniowie mieli bowiem szansę zdobywania umiejętności, które umożliwiały im dekodowanie teksów wyrafinowanych artystycznie. Dekadę później używany przez wiele lat system zamieniono na taki, który pozwala opanować umiejętność czytania tekstów użytkowych. Aby wspomóc tych, którzy wierzą jeszcze, że literatura zajmuje wysokie miejsce w hierarchii dóbr kulturowych, Instytut Literatury powołał do życia niniejszą serię. Wydawcy pragną, aby była ona współczesną wersją doskonale znanej każdemu polonistom „Biblioteki Analiz Literackich”. Sami przyznają: „Zdajemy sobie sprawę, że proponowane przez nas opracowania nie są w stanie wypełnić wszystkich luk w polskiej świadomości literackiej. Wierzymy jednak, że stając się częścią szerszej zakrojonych działań służących zahamowaniu czy nawet odwróceniu opisanych wyżej tendencji, będą one ważnym elementem procesu przywracania naszej zbiorowej pamięci nie tylko znaczących pisarzy oraz ich dzieł”.

Katarzyna Krzyżanowska

Waclaw LEWANDOWSKI, *Poeta niemodny. O twórczości poetyckiej Jana Lechonia*, Instytut Literatury, Kraków 2020, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej.



Leszek Szaruga

Na zachodzie są zmiany

Życie w przestrzeni kształtowanej przez dyskurs polityczny rozgrywa się, najogólniej rzecz ujmując, na osi zachód-wschód: patrząc na mapy raczej spoglądamy w lewo i w prawo niż z góry w dół lub odwrotnie, choć oczywiście zdarzają się epizody naracyjne zwracające uwagę na napięcia między „bogatą północą” i „biednym południem”, bądź, zwłaszcza w odniesieniu do Europy, „słonecznym południem” i „mroczną północą”. Można nawet mówić tu o odruchach ukształtowanych przez polityczną tresurę. Przy czym – przynajmniej w naszej przestrzeni cywilizacyjnej – pojęciem centralnym tego dyskursu jest Zachód. A zaczęło się to zapewne w czasie, gdy pod koniec IV stulecia cesarz Teodozjusz Wielki zdecydował o podziale Imperium Romanum na dwie części: zachodnią ze stolicą w Rzymie i wschodnią ze stolicą w Konstantynopolu. Był to okres naszej cywilizacji (europejskiej), gdy świat, praktycznie rzecz biorąc, ograniczony był do obszaru Morza Śródziemnego.

Imperium Romanum skurczyło się do części zachodniej, by niebawem, w roku 476, po zdobyciu Rzymu przez Odoakera i zdetronizowaniu przezeń ostatniego cesarza rzymskiego, podane zostało władztwu Konstantynopola, dokąd ten wódz germańskiej prowencji odesłał insygnia cesarskie. Cały obszar dawnego imperium uznawał wszakże nadal panowanie religii chrześcijańskiej wprowadzonej w 337 roku przez Konstantyna Wielkiego. W zasadzie ta jedność utrzymywała się do roku 1054, gdy doszło do rozejścia się dróg Rzymu i Bizancjum. Od tej pory można mówić o sensowności używania terminu „Zachód” w rozumieniu, jakie mu przydajemy do dnia dzisiejszego.

Ale też niebawem miało dojść do istotnej zmiany. Zachód rozpoczął serię mniej lub bardziej udanych przedsięwzięć mających na celu odzyskanie z rąk „niewiernych” Ziemi Świętej. Wyprawy krzyżowe stanowią też bez wątpienia jedno z formacyjnych doświadczeń państw zachodnich – właśnie w nich powstawały zakony rycerskie, których rola w kształtowaniu przemian cywilizacyjnych wciąż, mimo dość pogłębionych badań historyków, nie jest wystarczająco zobrazowana: dość wszakże zgłębić literaturę średniowieczną, by zdać sobie sprawę z tego, jakie znaczenie wydarzenia owe miały w kształtowaniu przemian społecznych i politycznych (nie od rzeczy wydaje się zwrócenie uwagi na fakt mniej lub bardziej dyskretniej obecności zakonów także w dniu dzisiejszym). Zarazem jednak wyprawy krzyżowe – do dziś obecne w politycznym dyskursie ludzi islamu określających ludzi Zachodu mianem „krzyżowców”, a tym samym wpisane dość trwale nie tylko w euro-

pejską tradycję – stanowiły impuls dla rozwoju techniki, co skutkowało zwłaszcza ulepszeniem budowy okrętów, co niebawem miało się przyczynić do wyjścia Zachodu poza obszar basenu śródziemnomorskiego i wyścigiem w budowaniu potęg kolonialnych.

IV wyprawa krzyżowa z roku 1204, choć celu, jak i poprzednie, nie osiągnęła, doprowadziła jednak do zrujnowania potęgi Bizancjum wystawionego później na sztych turecki. Co jednak ważne, elity Konstantynopola, ludzie uczeni, przepawali się w kierunku Italii, przywożąc ze sobą biblioteki i upowszechniając studia nad dorobkiem antyku, co stało się impulsem dla włoskiego, później zaś europejskiego, renesansu. Centrum, jakie stanowiła Akademia Florencka, upowszechniało nie tylko nauki od biedy znanego na zachodzie Arystotelesa, ale także niemal zapomnianego Platona – to oczywiście tylko jeden z przykładów.

Postępujące zmiany, nade wszystko w sposobie żeglugi, wyprowadziły Zachód na szerokie wody. Opanowywanie nowych, „zamorskich” terytoriów jeszcze w pierwszej połowie XX wieku było celem Europejczyków – Niemcy nawet dorobili się swoich kolonii, a podobne zamiary miała Liga Morska i Kolonialna powstała w wyzwolonej Polsce – co z jednej strony miało oznaczać „cywilizowanie” tubylców, a w istocie pomnażało majątność zdobywców, z drugiej zaś skutkowało swoistą „wymianą kulturalną”. Tą „wymianę” cechował dramatyczny asymetryzm: ludom poddawanych narzucano własne wartości i sposób widzenia świata, z ich zaś kulturowego dorobku wybierano co bardziej interesujące i intrygujące elementy, dostosowując je zarazem do własnych kontekstów, co prowadziło niejednokrotnie do całkowitego ich zafalszowania lub zdeformowania, jak to ma miejsce w wypadku choćby japońskich wierszy haiku.

Zachód dziś to nie tylko Europa Zachodnia, ale także USA, Kanada, Australia czy Nowa Zelandia. Wraz z postępem dekolonizacji jednak coraz większą wagę świat – już bez Zachodu w centrum – zaczyna przywiązywać do zharmonizowania i uniwersalizacji doświadczeń globalnej rodziny of man. Nie jest to proces łatwy i bezbolesny. Nie jest sprawą prostą wyzbycie się przekonania Zachodu o własnej „wyższości cywilizacyjnej” i przyznawanie się do historycznych zbrodni popełnianych na ludach traktowanych jako pozbawionych praw ludzkich „dzikusów”. A w każdym razie warto sobie zdać sprawę, że mamy do czynienia dopiero z początkiem tego procesu, o którego przebiegu ostatecznie zadecyduje demografia.



Politechnika Wroclawska

prof. Randall J. Platt,

badacz z ETH Zurich,
ekspert w dziedzinie
inżynierii genetycznej

laureatem
Europejskiej Nagrody Naukowej
im. Stanisława Lema w 2021 roku

Dziękujemy wszystkim 38 naukowcom,
którzy przystali aplikacje.
Zgłoszone osiągnięcia Kapituła
oceniła bardzo wysoko.

#LemPrize



Fundatorzy

NOKIA

SATREV⁺



BERGMAN ENGINEERING™
An engineering contracting company

KACZMARSKI
GROUP





Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi
Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych

SZANOWNI TWÓRCY DZIEŁ NAUKOWYCH I TECHNICZNYCH!

Stowarzyszenie KOPIPOL uprzejmie informuje, że przystąpiło do repartycji środków zainkasowanych w **2020 roku** tytułem opłat o których mowa w art. 20 oraz 20¹ ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, tj. od producentów i importerów urządzeń reprograficznych (kserokopiarek, skanerów, drukarek, itp.) oraz tzw. punktów ksero. **Środki te stanowią formę rekompensaty strat ponoszonych przez twórców na skutek kopiowania ich prac za pomocą urządzeń reprograficznych w ramach dozwolonego użytku osobistego.** Jednocześnie informujemy, że Stowarzyszenie KOPIPOL kontynuuje repartycję środków zainkasowanych za lata 2008 – 2019.

Wszystkich uprawnionych Twórców uprzejmie prosimy o zgłaszanie się do Stowarzyszenia w celu podjęcia należnych środków.

Każdy Autor może sprawdzić swoje uprawnienie do otrzymania należnych wynagrodzeń oraz wygenerować niezbędne dokumenty korzystając z wyszukiwarki uprawnionych autorów znajdującej się pod adresem wyszukiwarka.kopipol.org.pl.

Wyjaśniamy przy tym, że uprawnionymi do otrzymania wynagrodzenia z systemu repartycji indywidualnej są ci autorzy, którzy publikowali swoje utwory naukowe i techniczne w wydawnictwach, których udział, oszacowany na podstawie badań statystycznych przeprowadzonych przez CEM Instytut Badań Rynku i Opinii Publicznej Sp. z o. o. w Krakowie, wyniósł w danym roku podziałowym co najmniej 1% ogółu publikacji wszystkich wydawców.

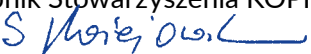
W podziale środków zainkasowanych w 2020 roku biorą udział autorzy publikujący w następujących wydawnictwach: *Wolters Kluwer, Wydawnictwo C.H. Beck, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydawnictwo Lekarskie PZWL, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Helion oraz PWN Wydawnictwo Szkolne.*

Wykaz wydawnictw objętych systemem repartycji indywidualnej w latach 2008-2019 dostępny jest na stronie internetowej Stowarzyszenia w zakładce *Strefa Autora*.

Serdecznie prosimy wszystkich uprawnionych Twórców do zapoznania się z zasadami repartycji indywidualnej oraz szczegółowymi informacjami na temat działalności Stowarzyszenia dostępnymi na stronie internetowej www.kopipol.pl.

Informacje o systemie repartycji indywidualnej udzielane są również telefonicznie pod numerem: (41) 341 54 39 lub drogą e-mailową pod adresem repartycja@kopipol.org.pl.

Czekamy na Państwa dokumenty.

Skarbnik Stowarzyszenia KOPIPOL

dr hab. Sylwia Hożejowska, prof. PŚk